983

MIESIĘCZNIK

11 (74) LISTOPAD 1988 CENA 200 ZŁ

Fantastyka

PL ISSN 0209–1631

NR INDEKSU 35839

Karl Michael Armer

Tubylcy z betonowej dżungli

MARZENA KAWALEROWICZ

H.R.G.

GALERIA



Nr 21: bez tytułu, 1964



43

Rycerze, pegazy, czary. Te tradycyjne atrybuty fantasy tym razem zostały wykorzystane w utworze, który choć mieści się w konwencji, jest jednocześnie godną uwagi próbą odejścia od stereotypów „magii i miecza", ukazania nie tylko efektownej szermierki i mrożących krew w żyłach przygód.

Waldemar Płudowski: „Ballada o rycerzu i dwóch pegazach".

...3...2...1...

Mimo wielu moralnych a także i fizycznych oporów, jakie manifestują zarówno autorzy współczesnej fantastyki jak i jej czytelnicy wobec nauki, a szczególnie wobec jej wielu ekstrawaganckich tworów technicznych i ich celów (inżynieria genetyczna na przykład), w naszym piśmie nauka jest w wielkiej estymie. Świadczy o tym dobitnie duże uznanie tych, co nas czytują, dla materiałów o nauce u nas zamieszczanych oraz przyznane bezwzględne pierwsze miejsce wśród autorów Maciejowi Iłowieckiemu za jego felietony.

Dzieje się tak chyba dlatego, że staramy się ukazywać na naszych łamach z nauki to, co wiąże się z pytaniami, z kwestiami poruszanymi przez literaturę gatunku, który preferujemy. Są to najczęściej pytania tyleż podstawowe, co – jak się często je określa – naiwne: o pochodzenie człowieka, jego jakość (dobry czy zły z natury), jego dążenia, cele, jego stosunek do bliźnich, do społeczności. Ponieważ uważamy, że Freud i jego teorie odegrały dość znaczącą rolę w rozwoju nie tylko psychologii jako nauki, ale także i psychologii jako metody literackiej, zamieściłem niedawno w tym samym miejscu, w ramach naszego comiesięcznego orbitowania felieton o wydanym przez PWN w Bibliotece Klasyków Psychologii znakomitym dziele Freuda zatytułowanym „Psychologia życia codziennego" „Marzenia senne". Dotyczył on zwłaszcza wstępu znakomitego znawcy problemu, profesora doktora Włodzimierza Szewczuka, w którym uczony ocenia wartości teorii Freuda, krytykując przy tym ostro freudowską wersję „dzikiej bestii tkwiącej w naturze ludzkiej". A chodziło przecież o zasadnicze pytanie – jaki jest naprawdę człowiek z natury – zły czy dobry, a więc o pytanie typowe dla miłośników sf i wydawało mi się, że pesymizm Freuda ma dużą dozę zasadności.

Profesor Szewczuk nadesłał w odpowiedzi list, który prawie w całości (pomijając jedynie wstęp) zamieszczam, dziękując za spontaniczną i szybką reakcję i za próbę wyjaśnienia problemu. Niestety nasza nauka dość rzadko podejmuje takie wyjaśnienia w stosunku do laików.

Pisze Pan Redaktor, że został „zbulwersowany stanowczością, czy nawet wręcz apodyktycznością jego (chodzi o mnie – W.S.) sądów w stosunku do człowieka, którego rola, mimo dziesiątków mniej lub więcej dociekliwych badań i krytyk, nie została chyba w pełni oceniona i doceniona." Zaczynam od końca. Każdy



uważny czytelnik znajdzie w moim wstępie „Zygmunt Freud i jego koncepcja człowieka" wyliczenie wszystkich najważniejszych zasług twórcy psychoanalizy oraz podkreślenie, że zapewniły mu one „trwałe miejsce w gronie najwybitniejszych psychologów".

Odrębną jest sprawa krytycznej analizy freudowskiej koncepcji człowieka. Gdyby moja krytyka ograniczała się do tego, co napisałem w tym wstępie, każdy czytelnik miałby prawo czuć się zbulwersowanym stanowczością i „apodyktycznością" autora. Ale z samej lektury wstępu można się dowiedzieć, że jego autor opublikował monografię „Wstęp do antypsychoanalizy", gdzie przedstawił bardzo szczegółowo, punkt po punkcie, materiał dowodowy podważający w sposób zasadniczy cały mit o kopernikowskim przewrocie dokonanym w psychologii przez Freuda. Wykazałem w sposób sprawdzalny, że podstawowa koncepcja nieświadomości nie jest wcale oryginalnym dziełem Freuda, przedstawiając dostatecznie szczegółowo jej rzeczywistą genezę historyczną („wypartą" przez Freuda skrupulatnie w „Portrecie własnym"). Wykazałem, że ani czynności pomyłkowe, ani zapominanie, ani marzenia senne, ani wreszcie nerwice nie dostarczają podstawy dla budowania na takim materiale empirycznym (nie mówiąc już o podstawowych błędach metodologicznych) koncepcji człowieka, jaką Freud przedstawił w swoich pracach. Nie spotkałem w ciągu minionych piętnastu lat ani jednej pracy, która podważałaby moje wywody przedstawione w monografii. Osobno chciałbym poruszyć sprawę mitu „dzikiej bestii tkwiącej w naturze ludzkiej" (sformułowanie własne Freuda), którego obrońcą Pan Redaktor czyni się w swoich rozważaniach. W cytowanej monografii piszę w zakończeniu: „Ani Freud, ani nikt ze współczesnych agresologów kontynuujących jego mit o dzikiej bestii tkwiącej w naturze ludzkiej nie potrafił zrozumieć, że człowiek może być zarówno oprawcą jak i bohaterem, że w punkcie wyjścia nie jest ani jednym, ani drugim, że jednym i drugim staje się w zależności od całokształtu warunków społeczno-politycznych, w jakich żyje, od złożonego splotu czynników jego ludzkiego biegu życia". Sam zwrot „dzika bestia" jest dowodem na istnienie zasadniczego nieporozumienia w ujmowaniu istot żywych. Żadne, absolutnie żadne zwierzę nie jest „dziką bestią". Tzw. agresja mięsożernych sprowadza się do chwytania, rozszarpywania i pożerania innych zwierząt. Ale to nie jest agresja!!! Zwierzę mięsożerne nie może iść do restauracji i zamówić sobie pieczeń czy golonkę. A że czynność zdobywania przez niego pokarmu może budzić grozę, to już zupełnie inna sprawa. Przestańmy więc wreszcie obrażać zwierzęta nazywając je „dzikimi bestiami". Zwierzę w normalnych warunkach nie zabija ponad potrzebę. Tylko człowiek zabija swoich bliźnich, ale czyni to nie dlatego, że jest „dziką bestią". A dlaczego? Historia wszystkich wojen daje na to pytanie jednoznaczną odpowiedź. Pan Redaktor nie omieszkał wspomnieć o Koperniku, mówiąc o Freudzie. Panie Redaktorze, Freud był jednym z najwybitniejszych psychologów, ale nie był ani Kopernikiem, ani Darwinem. Przykre tylko – szczególnie w zestawieniu z ogromną skromnością Kopernika i Darwina – że sam się do nich przyrównywał.

Łączę wyrazy poważania
Włodzimierz Szewczuk

Tyle uczony. Zgadzam się, że określenie „dzika bestia", zarówno w stosunku do człowieka, jak i do zwierzęcia brzmi nieadekwatnie i przesadnie, ale... właśnie, jest pewne ale. Niestety, historia ludzkości to przede wszystkim dzieje krwawych wojen i najazdów, a im bliżej naszych czasów, im wyższy poziom cywilizacji, tym wyniki zmagań ludzkich coraz drastyczniejsze. W wieku XVII w wojnach poległo przeszło 3 miliony osób, w XVIII ponad 5 milionów, w XIX – 5,5 a w naszym kończącym się właśnie XX stuleciu – grubo ponad 40 milionów istnień ludzkich! Czy nie jest to jakaś wrodzona jednak agresywność, czy winne są tylko mniej czy bardziej obiektywne „warunki społeczno-polityczne", sama złożoność „splotu czynników... ludzkiego biegu życia"? Oto jest pytanie.
10– 9 – 8 – 7 – 6 – 5 – 4 – 3 – 2 – 1 – 0.

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK LITERACKI **Fantastyka**

Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA
ul. Mokotowska 5/6.
Telefony: 25-34-75 (red. nacz., sekretariat, działy: techn., graf.), 25-50-51 (sekretariat, działy: zagr., literatury polskiej), 25-35-36 (z-cy red. nacz., dział krytyki).

Redaktor naczelny: Adam Hollanek.
Zespół redakcyjny: Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczmyk (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Latała (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, Andrzej Niewiadowski (z-ca red. nacz.), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nacz.), Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Darosław J. Toruń, Marek K. Zalejski, Rafał A. Ziemkiewicz.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Warszawskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Al. Jerozolimskie 125/127, 02-017 Warszawa, tel. centr. 28-52-31.
Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklamy Prasowej i Ogłoszeń, ul. Poznańska 38, 00-689 Warszawa, tel. 28-23-09.
Skład, druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.
Nakład 167 000 egz.
Zam. 3150/88 U-78

NR INDEKSU 35839 PL ISSN 0209-1631 Oddano do składu 31 sierpnia 1988 r.

Czytelnicy i „Fantastyka"

Lądowanie LXIX

***Piszę ten list podczas słuchania** muzyki science fiction – płyty z „Back to the Future", nadanej we czwartek 23 czerwca, w audycji „Słuchajmy razem". Dochodzę do wniosku, że „Fantastyka" powinna mieć swój kącik w radiu, koniecznie w 2–stereo. Nadawane w niej byłyby powieści w odcinkach, muzyka, odpowiedzi na listy nadesłane do „Fantastyki". A wtedy bardzo krótki byłby czas oczekiwania na taką Waszą odpowiedź.*

***Jerzy Marszałkowicz** z Wrocławia*

***Ja oczeń lublu „Fantastiku"**.Dostaju jejo gdie można. W żurnale „Technika Mołodioży" proczytał interwiu Waszego gławnogo redaktora. Iz niewo uznał, szto na żurnał Wasz odkryta swobodnaja podpiska. Oczeń proszu soobszczytie kak można podpisatsa na Wasz żurnał. Mnie 16 let, w etom godu ja okonczył szkołu... **K. Proskurin**, ZSRR, Altajskij Kraj, gorod BARNAUŁ, ul. Suworowa 7–5.*

***Mam nadzieję**, że dzięki „Komiksowi–Fantastyce" będziemy mogli, my autentyczni miłośnicy „Fantastyki", obejrzeć wzmożoną dawkę Funky'ego Kovala. Najlepiej jakby różne opowiadania o Funkym Kovalu były jednocześnie w „Fantastyce", „Małej Fantastyce" i w „Komiksie". I jeszcze jedno – Yans to facet bez przyszłości, ale ta jego dziewczyna z kółkiem na czole to już przesada. Poszukuję Trylogii Tolkiena i 5 numerów „Fantastyki" – 5/8/83, 6/9/83, 5/32/85, i 7/34/85. **Andrzej Baciński jr.**, ul. Szymanowskiego 4 m 110, 03–477 WARSZAWA.*

***Jeżeli macie jakikolwiek wpływ** na politykę wydawniczą w zakresie pozycji książkowych z dziedziny SF – błagam Was: zróbcie coś by udostępniono nam więcej powieści, nie zaś antologii–opowiadań. Przekażcie też wydawnictwom, proszę, że ogromne rzesze czytelników oczekują kontynuacji rozpoczętych cykli powieściowych „Deathworld" w Czytelniku, „Diuny" – w Iskrach, „Fundacji" w Wyd. Poznańskim itp. Książki mogą mieć praktycznie dowolną objętość, niech więc to będzie wykorzystane, niech zawierają teksty długie i bardzo długie. Opowiadania i nowele pozostawmy natomiast „Fantastyce" i fanzinom. Serdecznie pozdrawiam Wasz Zespół.*

***Tomasz Jan Kudrewicz** z Bydgoszczy*

***Czytam Was od pierwszego numeru** i mam wszystkie numery Waszego pisma. Słów krytycznych co do poziomu nie mam. Jeżeli wydaliście „Małą Fantastykę" dla dzieci i młodzieży, to proponuję, aby „Fantastykę" dużą wydawać naprawdę dla dorosłych. Nawet jak trochę w niej znajdzie się erotyki, okrucieństwa tc na pewno nie obrazicie tym swoich czytelników.*

***Eugeniusz Ejlak** z Bartoszyc*

***Cześć Kochana Redakcjo!** A więc to już ponad 5 lat. Przyznam się, że kiedy brałem do ręki Wasz pierwszy numer, wątpiłem czy uda się Wam utrzymać dłużej niż 3–4 lata. Bardzo pragnąłem, by się tak nie stało, ale mimo wszystko się obawiałem. Na szczęście istniejecie nadal. Nawet nie wiecie jak bardzo się cieszę, że mogę wciąż Was czytać. Wydawałoby się, że mając dostęp do takich pism jak „Omni" czy „Analog" (lub innych, np. australijskich periodyków) mógłbym darować sobie „Fantastykę", prezentującą przecież bardziej zawężony obraz SF na świecie. A jednak – nie. Coś mnie trzyma przy Waszym piśmie. Co? Trochę sentyment, trochę tęsknota, a trochę fakt, że prezentujecie polską fantastykę. Jest ona naprawdę dobra. Dowód – „Wrócieeś Sneogg, wiedziaaam" Huberatha – praca nagrodzona na Waszym konkursie, doskonała. Tak trzymać, Kochani. Pozdrowienia od Kangura.*

***Lech Jakubik** z Australii*



Grzegorz Kowalski

***Mam 19 lat**, rysuję jak mam tylko wolny czas, głównie fantastykę, przedtem malowałem dla klubu fantastyki w Lublinie. Chciałbym żeby moje rysunki przydały się na coś. Dlatego pragnąłbym porysować trochę dla Waszego czasopisma.*

***Grzegorz Kowalski** z Lublina*

Bardzo wiele osób, od których na przełomie piątego i szóstego roku istnienia „Fantastyki" otrzymujemy listy – to zupełnie lub prawie zupełnie nowi Czytelnicy. Nic dziwnego, że w takiej sytuacji powtarzają się te same pretensje i żądania, które nadchodziły do nas na początku wydawania pisma. Ciągle ciężko wytłumaczyć, że na rodzaj papieru, na jakim jesteśmy drukowani, ani na jakość farby, nie mamy najmniejszego wpływu. Obawiam się, że nie ma także wpływu na te ważne komponenty druku i sama oficyna drukarska, jako że wykorzystuje te materiały, których się im dostarcza. Niepokoi nas zjawisko, znowu z dużą siłą w korespondencji występujące, żądania utworów *par excellence* rozrywkowych, wielu naszych młodych czy młodziutkich respondentów chce przede wszystkim rozrywki i fantasy na najniższym literackim poziomie. Z takimi aspiracjami ci młodzi startują, czy przygotowują się do startu w dorosłe życie. Czyja to wina?

Sam mam dzieci i wiem jak bardzo, mimo toczących się ciągle dyskusji i istnienia specjalnych „ciał programowych", program nauczania się nie zmienia. Przeładowani wiadomościami i informacjami, z których nikomu nic w życiu dalszym nie przyjdzie, mało uczuleni na wartości humanistyczne, młodzi po prostu szukają ucieczki – kazałbym panom od oświaty poczytać trochę korespondencji od młodzieży, może by ich to otrzeźwiło, może zrozumieliby sytuację, może by przyśpieszono dzięki temu bieg reform, a w każdym razie zerwano z praktyką „uczyć dużo i po łebkach", trzymać młodych jak najdłużej w szkole, żeby nauczyciele mogli zarobić pieniądze za „swoje" godziny lekcyjne. Bo tak ustawione są – nonsensownie – ich zarobki, polegające na jakiejś godzinowej zależności wzajemnej między uczniem a nauczycielem. Słowo „nonsens" jest tu oczywiście eufemizmem.

Niestety, nauczyciele rzadko czytują pisma młodzieżowe i rzadko w takim systemie pracy mają możność na dokształcanie się i zajmowanie sprawami wychowawczymi. Muszą sami kuć, aby wychowywać dzieci na kujonów. Od czego powinni się odżegnać jak diabeł od święconej wody, tego im życzy

Wasz Redaktor

PS. W jaki sposób w krajach socjalistycznych można zamówić prenumeratę na nasze pismo i dodatki – podawaliśmy w „Fantastyce" nr 6/88.

OD AUTORA: Granice między nauką i fantastyką wydają się czasami mgliste. Twierdzenie to nigdy nie było prawdziwsze niż w przypadku egzobiologii lub SETI, czyli „The Search for Extra-Terrestial Inteligence" (Programu Poszukiwania Inteligencji Pozaziemskiej – przyp. tłum.).

Większości zainteresowanych tym tematem wydaje się dziś, że jesteśmy samotni, że przybysze z odległych gwiazd nigdy nie odwiedzili Ziemi (bajki Ericha von Dänikena i innych entuzjastów UFO opisują istoty, których wyobrażone zachowanie nie pozwala na użycie określenia: „Inteligentne").

Nowa hipoteza, nazywana „Uniqueness View" (Hipotezą Wyjątkowości – przyp. tłum.) głosi, że obcy nie mogą istnieć, bowiem gdyby istnieli, już dawno zaludniliby galaktykę. Przywódca zwolenników tej teorii, Frank Tipler z Tulane University twierdzi, że ludzie ciągle jeszcze marzący o kontakcie cierpią na właściwy ludzkości strach przed samotnością, strach przed śmiałym rozwojem i przed Wszechświatem, który wypełnią nasi potomkowie.

Obrońca teorii Kontaktu, Carl Sagan, kontratakuje twierdzeniem, że Tipler i jemu podobni cierpią na właściwy ludzkości strach przed obcym, przed jego śmiałym rozwojem... łatwo dokończyć to zdanie.

Brałem udział w tej debacie, toczącej się na łamach pism astronomicznych. Nie zaskarbiłem sobie niczyjej sympatii głosząc: „Wstrzymajcie się! Obie strony mogą mieć rację!" Na razie możemy zyskać więcej dzięki ostrożności i gromadzeniu danych niż kłócąc się między sobą.

Niektóre hipotezy są jednak zbyt dziwaczne, by publikować je w czasopismach naukowych nawet jako spekulacje. „Kryształowe sfery" rozwijają taki właśnie pomysł. Nie odważyłem się zawrzeć go w mojej naukowej książce poświęconej SETI, pomyślałem jednak, że można z tego zrobić niezłe opowiadanie.



Piotr Łopatka

David Brin

Kryształowe sfery

(The Crystal Spheres)



Tylko łut szczęścia sprawił, że zostałem odmrożony właśnie teraz – w tym samym roku, w którym kosmopróbnik 992573-aa4 wysłał sygnał informujący o odkryciu Dobrej Gwiazdy ze strzaskaną kryształsferą. Byłem jednym z zaledwie dwunastu kosmonautów ciepłożywych w tym czasie, więc naturalnie wziąłem udział w tej przygodzie.

Z początku nic jednak nie wiedziałem. Kiedy przybył latacz, wspinałem się akurat po zboczach sycylijskiego płaskowyżu, wielkiej doliny, w którą ostatnie zlodowacenie zmieniło, dobrze kiedyś mi znane, Morze Śródziemne. Wspólnie z pięcioma innymi, świeżo obudzonymi Śpiącymi wędrowaliśmy i biwakowaliśmy wśród przepięknych widoków, aklimatyzując się do nowych czasów.

Stanowiliśmy prawdziwą mieszaninę z różnych epok, choć nikt nie był starszy ode mnie. Właśnie obejrzeliśmy zatopione niegdyś ruiny Atlantydy i wracaliśmy z wyprawy leśną ścieżką, oświetloną blaskiem wiszącego wysoko pierścieniemiasta. W ciągu wieków, które przespałem, błyszczący, giętkotrwały pas mieszkalnoprzemysłowy otaczający nasz świat, wyraźnie zgrubiał. Na średnich szerokościach noce były blade, a w pobliżu równika niemal nic nie odróżniało ich od dni – tak jasno świeciło niebo.

Jednak gdyby nawet uwolniono je od wszystkich dzieł człowieka, nasza noc w niczym nie przypominałaby nocy znanej memu dziadkowi, gdy był jeszcze chłopcem. Od XXII wieku na wieczność pozostały na niebie Skorupy, błyszczące kolorowo w miejscach, z których świeciły niegdyś gwiazdy i galaktyki.

Nic też dziwnego, że nikt z powierzchni Ziemi nie żałował wiecznego wygnania nocy. Ludzkość, żyjąca na planetkach, może i musiała przyglądać się Skorupom, mieszkańcy Ziemi nie mieli jednak najmniejszej ochoty na to, by bezustannie przypominać sobie o tym, co oznaczały.

Rozmrożony zaledwie rok temu, nie byłem jeszcze gotów by zapytać, w którym wieku żyję, nie mówiąc już o wybraniu zawodu na to życie. Rozbudzeni Śpiący dysponowali zazwyczaj dziesięcioleciem, żeby cieszyć się poznawaniem różnic,

wyrosłych na Ziemi i w Kosmosie podczas ich nieobecności. Potem przychodził czas dokonywania wyborów.

Dotyczyło to w szczególności kosmonautów podróżujących przez dziesiątki lat świetlnych. Państwo – bezwieczne bardziej niż każdy z jego niemal nieśmiertelnych obywateli – darzyło nostalgicznym uczuciem nas – dziwaków, oficerów nie istniejącej już armii. Kiedy budził się kosmonauta, był zachęcany, żeby bez przeszkód wędrować przez przemienioną Ziemię, żeby uczyć się nieznanego; mógł wyobrażać sobie, że przemierza dobry świat, na którym nie postała jeszcze noga człowieka, że oddycha innym powietrzem, którym nie oddychał już przez tyle wieków.

Spodziewałem się, że moja nowonarodzeniowa podróż pozbawiona będzie niespodzianek. Stojąc na leśnozboczu Sycylii ze zdumieniem patrzyłem na jasnobiały, Sol-rządowy latacz przebijający koronkę chmur i zbliżający się do obozowiska, które moja grupa czasowych rozbiła po to, żeby odpocząć i plotkować o wydarzeniach zakończonego dnia.

Wstaliśmy wszyscy patrząc jak nadlatuje. Zerkaliśmy na siebie podejrzliwie zgadując, kto z nas jest wystarczająco ważny, żeby zmusić zawsze dyskretne władze do pogwałcenia naszej prywatności i wysłania tego strzępka rzeczywistości aż za wzgórza Palermo, do rezerwatu, do którego tak bardzo nie pasował.

Nie podzieliłem się z nikim moimi domysłami, ale wiedziałem, że przybywali po mnie. Nie pytajcie – skąd? Kosmonauci wiedzą takie rzeczy. To wszystko. My, którzy byliśmy poza potrzaskaną Skorupą kryształsfery Układu Słonecznego i przyglądaliśmy się z daleka innym światom niedostępnym, ukrytym w swych odległych muszlach... My, którzy rozpłaszczaliśmy nosy o szyby zamkniętych sklepów ze słodyczami wpatrzeni w to, czego nigdy nie dostaniemy. Tylko my pojmujemy całą głębię własnego upadku, rozumiemy spłatany nam przez Wszechświat żart.

Miliardy podobnych do nas ludzi – tych ludzi, którzy nigdy nie wyszli spod miękkich, złotych skrzydeł Słońca – potrzebują psychistów by dowiedzieć się o swym nieodwracalnym kalectwie. Większość z nich przepływa przez życie cierpiąc tylko na krótkie ataki głębokiej depresji, łatwe do wyleczenia lub kończące się Ostatecznym Snem.

Lecz my, Kosmonauci, my szarpaliśmy pręty naszej klatki. Wiemy, że nasze neurozy wyrosły z największego żartu Kosmosu.

Poszedłem w stronę przesieki, na której zatrzymał się latacz. Byłem tym, na kogo inni mogli zrzucić winę za zakłócenie spokoju. Czułem na plecach ich palące spojrzenia.

Jasna kropla otworzyła się przed wysoką kobietą o urodzie posągowej i dalekiej, która nie była w modzie podczas żadnego z moich ostatnich czterech okresów życia. Ta kobieta najwyraźniej nie poddawała się biorzeźbie.

Bez wstydu przyznaję, że jej nie poznałem, choć w czasie wolnopłynących lat oczekiwania trzykrotnie byliśmy małżeństwem. Pierwsze co dostrzegłem, pierwsze na co zwróciłem uwagę był jej mundur, „przysypany naftaliną" (cóż za określenie!) tysiąc lat temu. Srebrny na tle granatu, granatowe oczy...

– Alice! – szepnąłem po długiej chwili. – A więc stało się? Po latach...

Zbliżyła się i ujęła mą dłoń. Musiała wiedzieć, jaki byłem napięty, jaki słaby.

– Tak, Joshua. Jeden z próbników znalazł strzaskaną sferę.

– Czy to nie pomyłka? Czy to Dobra Gwiazda?

Skinęła głową, jej oczy mówiły „tak". Czarne loki upadły na policzki, błyszcząc jak płomień silnika rakiety.

– Próbnik dał sygnał alarmu klasy „A" – uśmiechnęła się. – Wokół tej gwiazdy krążą Skorupy, oświetlając nocne niebo, tak jak u nas. Jest tam także świat. Świat, którego można dotknąć!

Roześmiałem się głośno i przytuliłem ją. Moi towarzysze pochodzili najpewniej z czasów, kiedy czegoś takiego po prostu się nie robiło, bowiem zza pleców usłyszałem pełne zażenowania szepty.

– Kiedy? Kiedy się dowiedzieliście?

– Kilka miesięcy temu. Byłeś już rozmrożony, rząd zadecydował, że musisz jednak mieć ten rok dla siebie. Jestem tu, bo właśnie się skończył. Czekaliśmy zbyt długo, Joshua. Moishe Bok zbiera wszystkich żyjących dziś kosmonautów.

– Joshua, chcemy, żebyś był z nami. Potrzebujemy cię. Wyruszamy za trzy dni. Dołączysz do nas?

Nie musiała pytać. Jeszcze raz przytuliliśmy się do siebie, tylko że teraz musiałem powstrzymać łzy.

Już od kilku dni, podczas wędrówek zastanawiałem się, jaki zawód wybiorę sobie na to życie. Lecz, cóż za radość, nie sądziłem, że znów będę kosmonautą.

Że jeszcze raz włożę mundur i jeszcze raz polecę do gwiazd.



Przygotowania były całkowicie tajne. Rządowi psychiści zadecydowali, że jako rasa nie znieślibyśmy kolejnego rozczarowania. Obawiali się wybuchu epidemii głębokiej depresji, kilku próbowało nawet powstrzymać nas przed zorganizowaniem ekspedycji.

Na szczęście pamiętano o pradawnej umowie. My, kosmonauci, dawno temu zgodziliśmy się wstrzymać loty, żeby nie budzić w ludziach fałszywej nadziei. W zamian za to wysyłaliśmy miliardy automatycznych próbników i mieliśmy zezwolenia na sprawdzenie każdego nadesłanego przez nie sygnału o strzaskanej kryształsferze.

Kiedy dolecieliśmy z Alice do Charona, zakończono już przegląd naszego statku. Miałem nadzieję, że użyjemy „Roberta Rodgersa" lub „Prince de Leon", którymi kiedyś dowodziłem, wybrano jednak starego „Pelenora", wystarczająco dużego do celu, któremu miał służyć, lecz nie niezdarnego.

Rządowe holowniki ładowały na pokład dziesięć tysięcy zamrożonych ciał; widzieliśmy to, Alice i ja, z promu mijającego Plutona i rozpoczynającego manewry cumowania. Stąd, z jednej dziesiątej drogi do Granicy, Skorupy błyszczały świecąc niesamowitymi kolorami. Pozwoliłem Alice pilotować i patrzyłem na płonące fragmenty strzaskanej, słonecznej kryształsfery.

Gdy mój dziadek był chłopcem, Charon był świadkiem podobnej, gorączkowej krzątaniny. Tysiące podenerwowanych mężczyzn i kobiet tłoczyło się wokół asteroidalnego statku wielkości połowy niewielkiego księżyca, prawdziwej arki przyjmującej na pokład przyszłych kolonistów, ich zwierzęta, ich dobytek.

Ci wcześni podróżnicy wiedzieli, że nie dotrą do miejsca przeznaczenia, lecz to ich nie martwiło. Nie znali głębokiej depresji. Odlatywali swym jakże prymitywnym statkiem pełni nadziei, że ich wnukowie osiądą na planecie, która, jak dowodziły czułe teleskopy, oczekiwała ich, zielona i przyjazna, krążąc w układzie Tau Ceti.

Dziesięć tysięcy lat później i ja patrzyłem na przesuwającą się poniżej, gigantyczną Stocznię Charona. Szereg za szeregiem spoczywały w niej przycumowane statki. Przez dziesiątki wieków wybudowano ich tysiące: oto wielkie statki pokoleniowe, barki hibernacyjne, frachtowce i dumne jednostki zwiadowcze.

Były tam wszystkie, z wyjątkiem tych nielicznych zniszczonych w katastrofach i tych, których załogi odebrały sobie życie z rozpaczy. Wszystkie wróciły na Charona, pobite, zwyciężone.

Widziałem najstarsze z nich. Myślałem o czasach, gdy mój dziadek był chłopcem, gdy „Poszukiwacz" przekroczył radośnie Granicę i z prędkością równą jednej setnej prędkości światła uderzył w wewnętrzną powierzchnię kryształsfery Układu Słonecznego.

Załoga nigdy nie dowiedziała się, co ich zmiażdżyło.

Przechodzili przez zewnętrzne mielizny Układu Słonecznego – Obłok Oorta, złożony z miliardów komet tańczących jak płatki śniegu w słabym uścisku grawitacji słonecznej. Instrumenty „Poszukiwacza" drążyły Obłok natrafiając na pojedyncze, ruchome, lodowe kule. Przyszli koloniści zamierzali skracać sobie czas długiego lotu badaniami naukowymi. Między innymi zamierzali rozwiązać zagadkę masy komet.

Dlaczego – zapytywali przez setki lat astronomowie – wszystkie te lodowe ciała mają ten sam wymiar, kilka mil?

Instrumenty „Poszukiwacza" miały znaleźć odpowiedź na jedno z gnębiących ludzi pytań. Jego piloci nie wiedzieli, że znajdą dowód żartu Bogów.

W momencie zderzenia kryształsfera rozciągnęła się na kilka minut świetlnych. „Poszukiwacz" miał akurat tyle czasu, żeby nadać jeden komunikat laserowy, załoga wiedziała wyłącznie, że dzieje się coś dziwnego, że coś rozrywa statek na kawałki, że rozdziera się sama osnowa Wszechświata.

A później krzysztalsfera pękła.

I tam, gdzie kiedyś było dziesięć miliardów komet, było ich teraz dziesięć kwadrylionów.

Nikt nigdy nie znalazł wraku „Poszukiwacza". Być może wyparował w momencie zderzenia. Niemal połowa ludzkości zginęła w Wojnie przeciw Kometom, a gdy po wiekach planety były już bezpieczne, statek znikł.

Nigdy nie dowiedzieliśmy się w jaki sposób, dzięki jakiemu przypadkowi, zdołał rozbić kryształsferę. Wielu ciągle jeszcze sądzi, że to właśnie niewiedza załogi, nieświadomość faktu samego istnienia sfery, umożliwiły jej dokonanie tego, czego nikomu nie udało się powtórzyć.

Ziemię zaś oświetliły Skorupy. Układ Słoneczny błyszczał otoczony pierścieniem światła, odbijanego przez kwadrylion komet... znak jedynej Dobrej Gwiazdy osiągalnej dla człowieka.

– Zbliżamy się – powiedziała Alice. Usiadłem i spojrzałem na jej zręczne dłonie, tańczące wśród przycisków. A później, w polu widzenia pojawił się „Pelenor".

Wielka kula świeciła w blasku rzucanym przez Skorupy. Praca silników już powodowała drżenie przestrzeni wokół statku.

Holowniki skończyły ładowanie kolonistów i odlatywały. Dziesięć tysięcy ciał nie potrzebowało opieki podczas lotu, więc my, dwunastu kosmonautów, będziemy mieli czas na prace badawcze. A jeśli to rzeczywiście Dobra Gwiazda świeci nad właściwą planetą, obudzimy zamrożonych mężczyzn i zamrożone kobiety z głębokiego snu i dostarczymy ich na ich nowy świat.

Bez wątpienia wybrano właściwych ludzi, dobrych przyszłych kolonistów, ale wydane nam rozkazy były jasne: nie wolno budzić nikogo, dopóki możliwość powstania kolonii nie zostanie udowodniona. Być może i ta podróż zakończy się kolejnym rozczarowaniem i jeśli tak, nikt z nich nigdy nie dowie się, że przeleciał dwadzieścia tysięcy parseków tam i dwadzieścia tysięcy parseków z powrotem.

– Dokujmy – powiedziałem niecierpliwie. – Ruszajmy!

Alice uśmiechnęła się.

– Prawdziwy kosmonauta, zawsze niecierpliwy. Odpocznij dzień lub dwa, Joshua. Już wkrótce wyfruniemy z gniazda.

Nie warto było tłumaczyć, że czekałem dłużej niż ona, zapewne dłużej niż ktokolwiek z jeszcze żyjących. Zachowałem więc swą niecierpliwość dla siebie i wsłuchałem się w brzmiącą mi w głowie muzykę sfer.

Za moich czasów znano cztery sposoby ominięcia praw Einsteina i dwa oszukania ich. W tej podróży „Pelenor" używał wszystkich. Poruszaliśmy się okrężną drogą: od punktu spoczynku, przez kwantum, do kolapsara. Nim dolecieliśmy, miałem sporo czasu na zastanowienie się, jakim cudem próbnik zdołał odbyć tę drogę, a zwłaszcza drogę powrotną.

Znalazł ją w pobliskiej, pomniejszej galaktyce Rzeźbiarza. Podróżowaliśmy dwanaście lat czasu pokładowego. Po drodze minęliśmy co najmniej dwieście Dobrych Gwiazd, samotnych, stabilnych, ciepłożółtych. Każdą z nich okrążały planety. Kilkanaście razy przelatywaliśmy wystarczająco blisko, żeby przez superskopy dostrzec kuszące, jasnobłękitne wodoświaty, na których nigdy nie będzie nam dane stanąć.

Dawno temu określilibyśmy dokładnie ich położenie i pełni nadziei zatrzymalibyśmy się tuż poza niebezpieczną granicą. Wszystkimi instrumentami badalibyśmy te światy, tak bardzo podobne do Ziemi. Uważnie i dokładnie sporządzilibyśmy ich mapy, oczekując na dzień, w którym ludzkość nauczy się dokonywać świadomie to, co „Poszukiwacz" osiągnął przypadkiem.

Raz zatrzymaliśmy się nawet i staliśmy oddaleni o dwa dni świetlne od gwiazdy – tuż za granicą jej kryształsfery. Być może byliśmy głupcami zbliżając się aż tak blisko, ale nic na to nie potrafiliśmy poradzić. Ten wodnoświat przemawiał do nas modulowanymi falami radiowymi! Dopiero po raz czwarty odnaleziono cywilizację techniczną. Spędziliśmy fascynujący rok na umieszczaniu automatycznych strażników i rejestratorów obserwujących ten fenomen.

Jednak nawet nie staraliśmy się nawiązać łączności. Widzieliśmy już, co się stanie. Każdy wysłany próbnik uderzy w kryształsferę, rozbije się, obrośnie lodem a jego wrak zatonie w megatonach wody. Pojawi się nowa kometa.

Każdy rodzaj promieniowania, który spróbujemy wysłać w stronę planety, uruchomi podobną reakcję, tworząc lustro, od którego odbiją się wszystkie nasze wysiłki, każda próba kontaktu z mieszkańcami. Ale... mogliśmy słyszeć ich głosy! Kryształsfery były barierą jednostronną, zatrzymującą modulowane fale radiowe i światło, barierą chroniącą przed inteligencją. To, co wychodziło z planety, nie było przechwytywane.

W tym wypadku trafiliśmy na jeszcze jedną cywilizację mrowiska. Te istoty nie stworzyły nawet koncepcji podróży kosmicznych, więc nie mogły się nimi interesować. Rozczarowani, pozostawiliśmy na miejscu strażników i odlecieliśmy.

Cel objawił się nam z całą oczywistością, gdy tylko się do niego zbliżyliśmy. Zdenerwowanie i zaciekawienie rosło w miarę, jak przekonywaliśmy się, że próbnik nie kłamał. Oto była Dobra Gwiazda: stabilna, stara, samotna, a jej przyjazny, żółty blask załamywał się w bladej, błyszczącej otoczce dziesięciu kwadrylionów śnieżnych płatków... pozostałych po strzaskanej kryształsferze.

– Jest pełen zestaw planet – ogłosił nasz kosmofizyk, Yen Ching. Jego dłonie poruszały się wewnątrz holitanku, czując w jego mrocznym wnętrzu to, co instrumenty statku odkryć mogły z tej odległości.

– Czuję trzy gazowe giganty, około dwóch milionów małych ciał, asteroidów i... pozwolił nam czekać, podczas gdy sam wyczuwał dokładnie, dla pewności... trzy światy.

Krzyknęliśmy z radości. Jeden z trzech powinien krążyć wewnątrz Strefy Życia.

– Czekajcie... tak, jest tu mały świat, który ma – podniósł palec, polizał go i smakował przez chwilę z oczami wzniesionymi w niebo, niczym koneser próbujący doskonałego wina...

– Woda – powiedział powoli. – Tak! Dużo wody! Czuję też życie – typowo adeninowe życie węglowe. Hmmm... w rzeczywistości jest też chlorofilowe i lewoskrętne.

Wśród radosnej paplaniny, która nastąpiła po tym oświadczeniu nasz kapitan, Moishe Bok, musiał podnieść głos.

– W porządku! Słuchajcie! Jasna sprawa, że nieprędko trafimy do łóżka! Biolog Taiga, czy lista ciał do odtajania na wypadek odkrycia właściwej planety jest przygotowana?

Alice wyciągnęła listę z kieszeni.

– Gotowe, Moishe. Biologowie, technicy, planetolodzy, krystalografowie...

– Lepiej obudzić także kilku archeologów i kontaktowców – dodał sucho Yen.

Obejrzeliśmy się i zobaczyliśmy, że trzyma dłonie w holitanku, a twarz ma rozmarzoną.

– Nasza cywilizacja potrzebowała trzech tysięcy lat, żeby umieścić asteroidy na orbitach optymalnych do kolonizacji. W porównaniu z tym systemem jesteśmy ciągle amatorami. Tory wszystkich małych ciał znajdujących się w tym systemie zostały zmienione. Maszerują, jak starożytni żołnierze na defiladzie. Inżynierii na taką skalę dotąd nawet sobie nie wyobrażałem.

Wzrok Moishe spotkał się z moim. Jako pierwszy oficer miałem obowiązek bronić statku, gdyby popadł w kłopoty... i zniszczyć go w razie groźby przechwycenia.

Dawno temu doszliśmy do jednego wniosku: jeśli Dobre Gwiazdy bez kryształsfer są tak rzadkie, jeśli marzy o nich sfrustrowana ludzkość, to każda inna rasa, władająca sekre-

H.R.G.

GALERIA

Nr 94: „Hommageá 9. Beckett" II, 1968, olej, 100 x 80 cm



H.R.GIGER urodził się 5 lutego 1940 r. w Chur. Zaczął malować w 1959 roku. W latach 1962-66 studiował w Künstgewerbeschule w Zurychu na wydziale projektowania przemysłowego



tem podróży kosmicznych czuje zapewne to samo co my. Jeśli inny gatunek zdołał wyrwać się ze swej skorupy i wędruje po Wszechświecie szukając dostępnej Dobrej Gwiazdy, co może pomyśleć o naszym statku?

Wiem, co my byśmy pomyśleli. Pomyślelibyśmy, że intruz przybył z systemu otwartego!

Moim zadaniem było dopilnowanie, żeby nikt nie śledził wracającego na Ziemię „Pelenora".

Skinąłem na moją asystentkę, Yoko Murukami i przeszliśmy razem do kuli walki. Odblokowaliśmy konsolę ognia, Moishe nakazał ostrożne zbliżenie...

Yoko patrzyła na konsolę z powątpiewaniem. Najwyraźniej nie dowierzała skuteczności nawet naszego mega-terawatowego lasera wobec technologii o skali opisanej przez Yena.

Wzruszyłem ramionami. Spełniłem swój obowiązek w momencie uzbrojenia statku, ujmując dźwignię samozniszczenia. W ciągu kilku następnych godzin uważnie śledziłem następujące po sobie wydarzenia i pamiętałem... pamiętałem.

Dawno, dawno temu, nim „Poszukiwacz" rozbił skorupkę Słońca i rozpoczął dwustuletnią Wojnę przeciw Kometom, ludzkość dojrzała już do sporu, który ówczesnym myślicielom przysporzył wielu bezsennych nocy. Poprawiła się jakość teleskopów, biolodzy zaczęli pojmować zagadkę życia i przykrawać je na swą miarę, a ludzie, których było coraz więcej i więcej wpatrywali się w niebo pytając: „Gdzie się oni, do diabła, podziali?".

Wielkie kamery umieszczone na Księżycu śledziły planety okrążające najbliższe żółte słońca. Okruchy życia potrafił wykryć nawet ten, jakże prymitywny, sprzęt z XXI wieku. Filozofowie mnożyli nerwowe obliczenia udowadniając, że galaktyki muszą roić się od życia.

Już myśliciele przygotowujący pierwszy gwiezdny statek zaczęli wątpić. Jeśli podróże kosmiczne są tak łatwe, to czemu żyznych gwiazd nie obsiał ktoś inny? W końcu i my byliśmy gotowi do kolonizacji. Ostrożne obliczenia stopnia ekspansji wskazywały na to, że człowiek powinien zasiedlić galaktykę w ciągu kilku milionów lat.

Więc dlaczego ktoś już jej nie zasiedlił? Dlaczego brak śladów międzygwiezdnej komunikacji? Dlaczego nie została wykryta sieć galaktycznej łączności?

Co więcej – czemu brak śladów kolonizacji Ziemi w przeszłości? Byliśmy już całkiem pewni, że nie gościliśmy nigdy przybyszów z innych planet, a dowodem na to był prekambr.

Nim nastała epoka gadów, przed rybami, trylobitami i amebami, w ciągu dwóch miliardów lat historii Ziemi jedynymi jej mieszkańcami były prymitywne, jednokomórkowe organizmy bez jądra – procariota – z mozołem szukające podstawowej formy życia.

W tym czasie nie przybył na Ziemię nawet jeden kolonista! Wiemy to na pewno, bo gdyby się zjawił, nawet pozostawione przez niego śmiecie zmieniłyby całą historię życia na Ziemi. Jedna nie całkiem szczelna latryna wypełniłaby oceany istotami wyższymi, bez kłopotu podbijającymi naszych prymitywnych przodków. Dwa miliardy lat bez kolonizacji... milcząca pustka Wszechświata ... dwudziestowieczni filozofowie nazywali ją Wielką Ciszą. Mieli nadzieję, że statki kosmiczne znajdą odpowiedź na ich pytania. I pierwszy z nich, „Poszukiwacz", zdołał jakoś rozbić kryształsferę, o której istnieniu nie miał nawet pojęcia, wyjaśniając nam tę zagadkę ostatecznie.

Podczas Wojny przeciw Kometom niewiele mieliśmy czasu na puste filozofowanie. Urodziłem się na polu bitwy, pierwsze sto lat życia spędziłem w surowych warunkach na małych, hałaśliwych stateczkach, rozwalając jedyne lodowe kule i unikając zderzenia z nimi. Gdyby któraś z nich spadła na nasz delikatny światek, zniszczyłaby go bezpowrotnie.

Mogliśmy sobie na to pozwolić. W końcu przeszło połowa ludzkości żyła już w koloniach, łatwiejszych do obrony niż wystawiona na każdy strzał wielka planeta. Byłoby to nawet logiczne, ale na wieść o zagrożeniu Matki Ziemi ludzkość dostała ataku lekkiego szaleństwa. Koloniści wystawiali na ciosy bryły lodu miasta zamieszkałe przez miliony, chroniąc wielki świat znany im wyłącznie z książek i z bladoniebieskiego błysku na ciemnym niebie Psychiści długo próbowali domyślać się ich motywów. Zakrawało to na epidemię boskiego szaleństwa.

W końcu zwyciężyliśmy. Oswoiliśmy komety i znowu mogliśmy podnieść wzrok. Zbudowaliśmy nowe statki, lepsze od poprzednich.

Musiałem czekać na miejsce w dwunastym z nich i to oczekiwanie uratowało mi życie. Straciliśmy pierwsze siedem. Nadając radosne komunikaty i opisując kwitnące, zielone światy do których się zbliżały – uderzały w kryształsfery i ginęły. I – przeciwnie niż „Poszukiwacz" – ginęły bez sensu. Obracające je w lodowe kule kryształsfery pozostawały nietknięte.

Żywiliśmy tak wielkie nadzieje... choć ci pamiętający „Poszukiwacza" trochę się jednak niepokoili. Żywiliśmy nadzieje na spokój, na to, że podłożymy innym światom kukułcze jaja, że po raz pierwszy będziemy bezpieczni, wolni od strachu przed przeludnieniem, stłoczeniem, stagnacją. Wszystkie nasze nadzieje załamały się naraz, strzaskane o niewidzialne, lecz śmiertelnie niebezpieczne bariery.

Całe wieki zabrały badania, jak odkryć obszary śmierci. Pytaliśmy: czemu? Dlaczego Wszechświat jest tak przewrotny? Co to za wielki, kosmiczny psikus? Czym są kryształsfery, istniejące mimo znanym nam zasadom fizyki, trzymające nas z dala od pięknych, małych, tak bardzo pożądanych światów.

Na trzy wieki szaleństwo znów zawładnęło ludzkością. Mnie ominęły najgorsze lata głębokiej depresji, byłem w grupie badających sferę otaczającą Tau Ceti i nim powróciłem sprawy nieco się już uporządkowały. Lecz wróciłem do układu, który miał złamane serce. Długo musiałem czekać, by na Ziemi lub w koloniach usłyszeć wybuch serdecznego śmiechu.

Cała załoga westchnęła z ulgą, gdy kapitan Bok kazał mi zabezpieczyć broń. Nareszcie mogłem zdjąć dłonie z autodestruktora. Napięcie rozładowało się w biegnących po całym ciele dreszczach i Alice musiała mnie przez kilka chwil podtrzymywać, choć w końcu stanąłem pewnie na nogach.

Moishe odwołał alarm, ponieważ system okazał się martwy.

Mówiąc dokładniej pulsował życiem, brakowało tylko inteligencji. Większe asteroidy posiadały cudowne, samowystarczalne ekosystemy, absorbujące światło przez gigantyczne „okna". Potężne kopuły na dwudziestu księżycach okrywały wielkie lasy. Brakowało tylko komunikacji, przekazów radiowych lub świetlnych, a detektory Yena nie odkryły ani śladu aktywności mechanicznej lub telepatycznej, charakterystycznych dla istot analitycznych.

Niesamowite wrażenie sprawiała podróż między uporządkowanymi ciałami niebieskimi systemu. Do tej pory robiliśmy takie manewry wyłącznie w doskonale znanym nam Układzie Słonecznym. Podczas pierwszych wieków kryzysu po rozpadzie kryształsfery, niektórzy ludzie nadal uważali, że możliwe jest życie wśród gwiazd. W większości byli to koloniści, którzy głosili, że planety są ciężkie i niezdarne, że nikt planet nie potrzebuje. Więc... podróżowali do Złych Gwiazd: czerwonych gigantów i maleńkich, czerwonych karłów, ciasnych układów podwójnych i układów słońc niestabilnych. Złych Gwiazd nie broniły kryształsfery. Przyszli koloniści znajdowali dryfujące wokół nich okruchy materii i budowali miasta na wzór ziemskich. Każda kolejna próba kończyła się klęską. Ludzie tracili po prostu wolę prokreacji.

Psychiści zdecydowali w końcu, że miało to bezpośredni związek z atakiem szaleństwa, który umożliwił nam zwycięstwo w walce z kometami. Mówiąc najprościej, ludzie mogą żyć na asteroidach tylko pod warunkiem, że czują bliskość błękitnego świata, że widzą go na niebie. Taka jest wada naszego charakteru, bez wątpienia wada – nie możemy żyć samotnie.

Musimy czuć bliskość wodnoświata, jeżeli Wszechświat kiedykolwiek ma być nasz.

Ten świat nazwaliśmy Quest od imienia potwora, którego tak długo poszukiwał król Pelenor, którego imieniem ochrz-

czono nasz statek. Quest świecił błękitem i brązem, ukrytymi za białą pieluchą chmur. Krążyliśmy nad nim cztery godziny, nie mogąc powstrzymać łez.

Alice obudziła dziesięciu naukowców. Zapewniono nas, że tych ludzi nie załamie nowa fala nadziei. Obserwowaliśmy ich, gdy przyszła na nich kolej oglądania planety, widzieliśmy łzy radości spływające po ich policzkach i płakaliśmy wraz z nimi.

❋ Sam „Pelenor" nie podołałby zadaniu zbadania tego systemu. Spędziliśmy rok na odszukiwaniu i modyfikowaniu starych statków, dryfujących wokół nowej planety, żeby zespoły mogły się rozdzielić i zbadać najdalsze zakątki systemu.

W drugim roku naszej obecności już stu biologów obozowało na powierzchni Quest. Podnieceni, studiowali cechy genetyczne miejscowej fauny i flory, i już gotowi byli do modyfikacji ziemskich roślin tak, żeby włączyły się one w ekosystem nie powodując jego załamania. Nadchodził czas, kiedy z genotanków naszego statku miały być wydobyte także zwierzęta.

Inżynierowie obserwujący małe ciała niebieskie stwierdzili z radością, że zdołają uruchomić systemy podtrzymywania życia, pozostawione na nich przez rasę władców. Mieliśmy miejsce dla miliardów kolonistów – tak na początek.

Najbardziej niecierpliwie oczekiwaliśmy jednak raportów archeologów. W czasie gdy nie pilotowałem akurat promów, pracowałem właśnie z nimi. Byłem w starych ruinach Miasta, poznałem zbocza Wielkiej Doliny, widziałem odkrycia, które były katalogowane i mozolnie badane.

Dowiedzieliśmy się, że władcy Quest sami siebie nazywali Nataralami. Wyglądali dokładnie tak, jak mogliśmy się spodziewać: dwunożni, dziewięciopalcy, dziwaczni. Do ich twarzy można się było jednak przyzwyczaić i – patrząc wystarczająco długo na rzeźby i obrazy – rozpoznawało się nawet subtelne różnice między osobnikami i delikatne szczegóły ekspresji. Gdy złamaliśmy kod języka, oprócz nazwy tej rasy poznaliśmy także fragmenty jej historii.

W odróżnieniu od kilku innych społeczności, które obserwowaliśmy z daleka, Natarale byli osobniczy i nastawieni na ekspansję. Tak jak my, podbili system po wypełnieniu swej historii planetarnej, barwnej i trochę dobrej, trochę złej jak nasza. I – tak jak my – śnili dwa sprzeczne sny. Marzyli o gwiazdach, o tym, żeby rosnąć. Marzyli też o tym, żeby zobaczyć inne twarze, żeby mieć sąsiadów.

Nim wybudowali pierwszy statek kosmiczny, zrezygnowali z myśli o sąsiadach. Wiedzieli już, że nikt nigdy nie odwiedził ich planety. Z gwiazd dobiegała ich tylko cisza. A jednak gdy byli gotowi – wysłali pierwszy statek wezwani przez drugi ze snów: Przestrzeń.

W kilka dni później pękła kryształsfera ich słońca.

❋ Przez dwa tygodnie sprawdzaliśmy tłumaczenia. I znów je sprawdzaliśmy. Tysiącleciami szukaliśmy przecież sposobu, żeby skruszyć bariery otaczające Dobre Gwiazdy... żeby powtórzyć to, co udało się przypadkiem „Poszukiwaczowi". I teraz dopiero poznaliśmy tajemnicę.

Tak jak i my, Natarale potrafili skruszyć tylko jedną kryształsferę – swą własną. Wzór powtarzał się – mieli swą Wojnę przeciw Kometom, która omal nie zniszczyła ich wysoko rozwiniętej cywilizacji. Wnioski narzucały się same: bariery śmierci można było skruszyć, lecz tylko od środka.

I właśnie wtedy, gdy idea ta przybrała ostateczny kształt, archeologowie odkopali Obelisk.

David BRIN

Urodził się w 1950 r. w Kalifornii. Z wykształcenia jest inżynierem, fizykiem i astronomem, pracuje jako konsultant California Space Institute, zajmując się między innymi badaniami nad technologią promów kosmicznych. Na Uniwersytecie Kalifornijskim w San Diego uczy fizyki i... „sztuki pisania" (creative writing).

Kilkakrotnie nominowany do najbardziej prestiżowych nagród, parę razy je zdobywał. Otrzymał m.in. Hugo i Nebulę za powieść „Startide Rising" (jest w planach wydawnictwa „Alfa"), John W. Campbell Award za powieść „The Postman". Prezentowane tu opowiadanie przyniosło mu nagrodę Hugo.

K.Sok.

❋ Nasz czołowy lingwista, Garcia Gardenas, miał talenty dramatyczne. Kiedy odwiedziliśmy go wraz z Alice w obozie położonym u stóp świeżo odkopanego monolitu, zdecydowanie odłożył dyskusję o swym odkryciu do następnego dnia. Razem ze współpracownikami przygotował za to dla nas uroczystą kolację, z toastem na cześć Alice.

Alice wstała i z humorem przyjęła hołdy, po czym usiadła, żeby dalej opiekować się naszym dzieckiem.

Stare nawyki umierają długo i tylko kilka kobiet zdołało zdecydować się na dawanie życia. Alice jako jedna z pierwszych postanowiła uaktywnić jajniki i wzbogacić nasz nowy świat o dziecko.

Wcale nie byłem zazdrosny. W końcu pławiłem się w nieco tylko mniejszej chwale ojcostwa. Ale całe to halo wokół dziecka trochę mnie irytowało. Z wyjątkiem Moishe Boka byłem tu w końcu najstarszym chyba człowiekiem – wystarczająco starym by pamiętać, że ludzie mieli kiedyś dzieci tak, po prostu, ale mieli też trochę czasu na inne sprawy.

Uroczystość dobiegła wreszcie końca. Garcia Gardenas skinął na mnie i wyszliśmy przez tylną ścianę namiotu. Poszliśmy do terenu wykopalisk, ścieżką prowadzącą stromo w dół, oświetloną słabym światłem jasnych małych ciał, które Natarale pozostawili nad równikiem planety.

Dotarliśmy w końcu do błyszczącej, metalowej ściany, wznoszącej się wysoko ponad naszymi głowami i zbudowanej z materiału, który technicy zaczęli dopiero analizować, niemal całkowicie odpornego na działanie czasu. Była na niej wyryta historia ostatnich dni Natarali.

Pewne jej fragmenty znaliśmy z innych, już przetłumaczonych źródeł. Samo zakończenie pozostawało jednak tajemnicą i to tajemnicą wywołującą niepokój. Zaraza? Bunt maszyn, na których opierała się i ich, i nasza cywilizacja, obracających się przeciw swym władcom? A może to skomplikowana bioinżynieria wymknęła się spod kontroli? Tylko jedno wiedzieliśmy z pewnością: Natarale cierpieli. Tak jak ludzie wylecieli w przestrzeń i odkryli Kosmos, który był przed nimi zamknięty. Oba z ich wielkich snów: ten o przestrzeni i ten o spotkaniu innego umysłu, zostały zniszczone, jak bariera śmierci wokół macierzystej gwiazdy. I podobnie jak ludzie, oni też trwali przez pewien czas w stanie zachwianej równowagi umysłowej.

Gardenas obiecał mi, że znajdę odpowiedzi w ciemnych jamach wykopalisk.

Podczas gdy przygotowywał instrumenty, słuchałem odgłosów otaczającej nas dżungli. Planeta obfitowała w życie. Było tu wiele cudownych, wysoko rozwiniętych stworzeń, częściowo najzupełniej naturalnych, czasami stanowiących wynik skomplikowanej biorzeźby. Patrząc na nie, poznając sztukę i architekturę i powody, dla których Natarale rozpaczali, widziałem ich podobieństwo do nas. Przypuszczałem, że mógłbym ich polubić.

Byłem szczęśliwy, że zdobyliśmy ten świat dla ludzkości, mogło to bowiem oznaczać ratunek dla naszego gatunku. Żałowałem jednak, że ta rasa zniknęła.

Gardenas przywołał mnie do holitanku, ustawionego u stóp obelisku. Gdy wsunęliśmy dłonie w ciemność, na jego ścianie pojawiło się światło. Dotykaliśmy miejsc, po których wędrowało światło i czuliśmy namiętność targającą Nataralami podczas ich ostatnich dni na tej planecie.

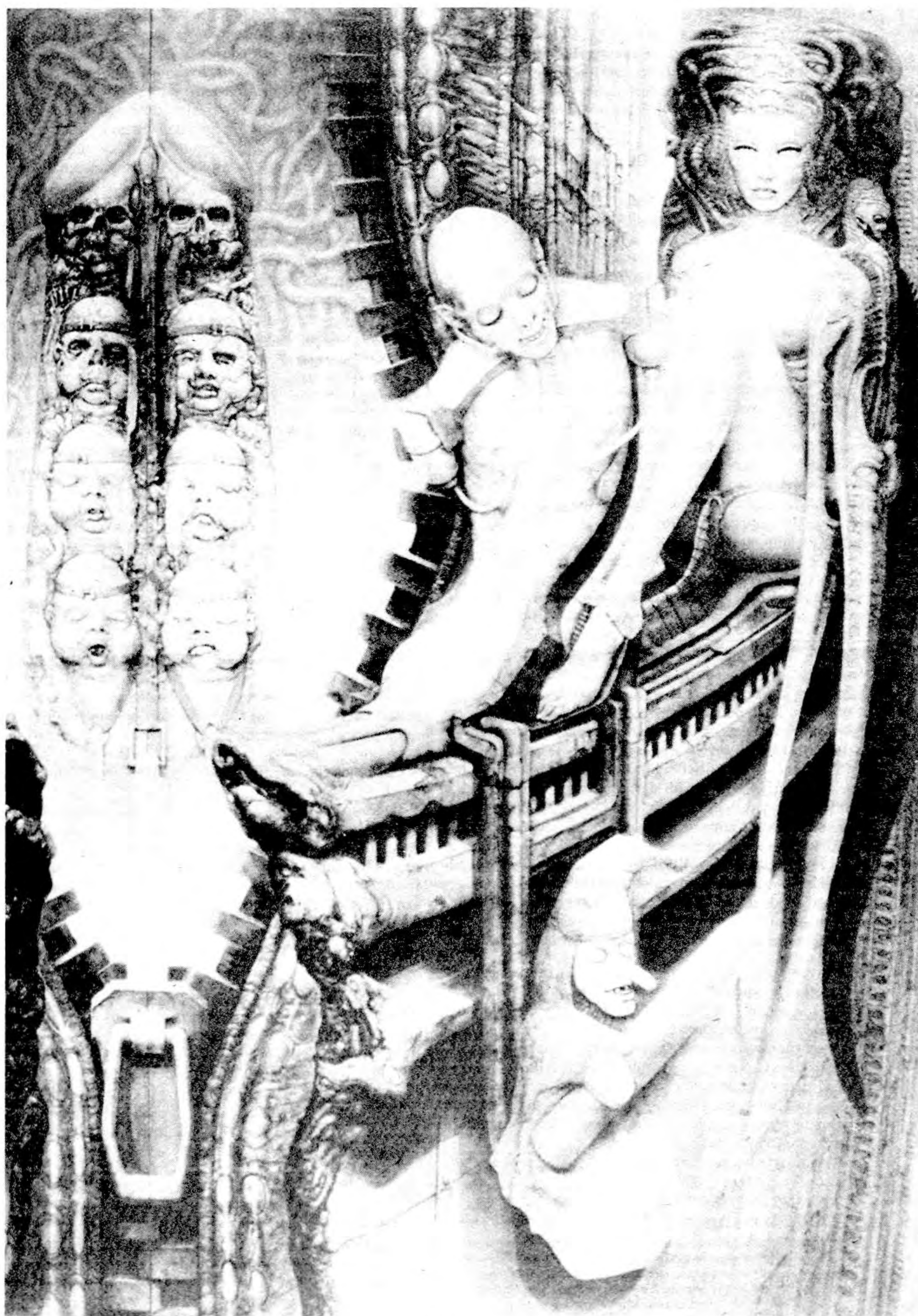
Dotknąłem dostrojonej, miękkorezonującej powierzchni. Gardenas poprowadził mnie i poczułem czas końca Natarali tak, jak chcieli, żeby go czuć.

❋ Tak jak i my, Natarale przeszli przez długi okres załamania, cierpieli nawet dłużej niż my. I im wydawało się, że Wszechświat potrafi płatać gorzkie, chore żarty.

Znaleźli życie kwitnące wśród gwiazd. Ale inteligencja zdarzała się rzadko i dojrzewała powoli, a kiedy już się pojawiła, to często w formie nie pożądającej przestrzeni i gwiazd.

Lecz gdyby nie istniały kryształsfery, życie wypłynęłoby w Kosmos ze swych nielicznych siedzib. Podobne do nas gatunki rozpoczęłyby ekspansję i w końcu spotkałyby się, zamiast na wieki szukać ziarenka piasku wśród wydm. A rasa starsza mogłaby spotkać rasę młodszą, stojącą u początku drogi i pomóc jej w rozwoju.

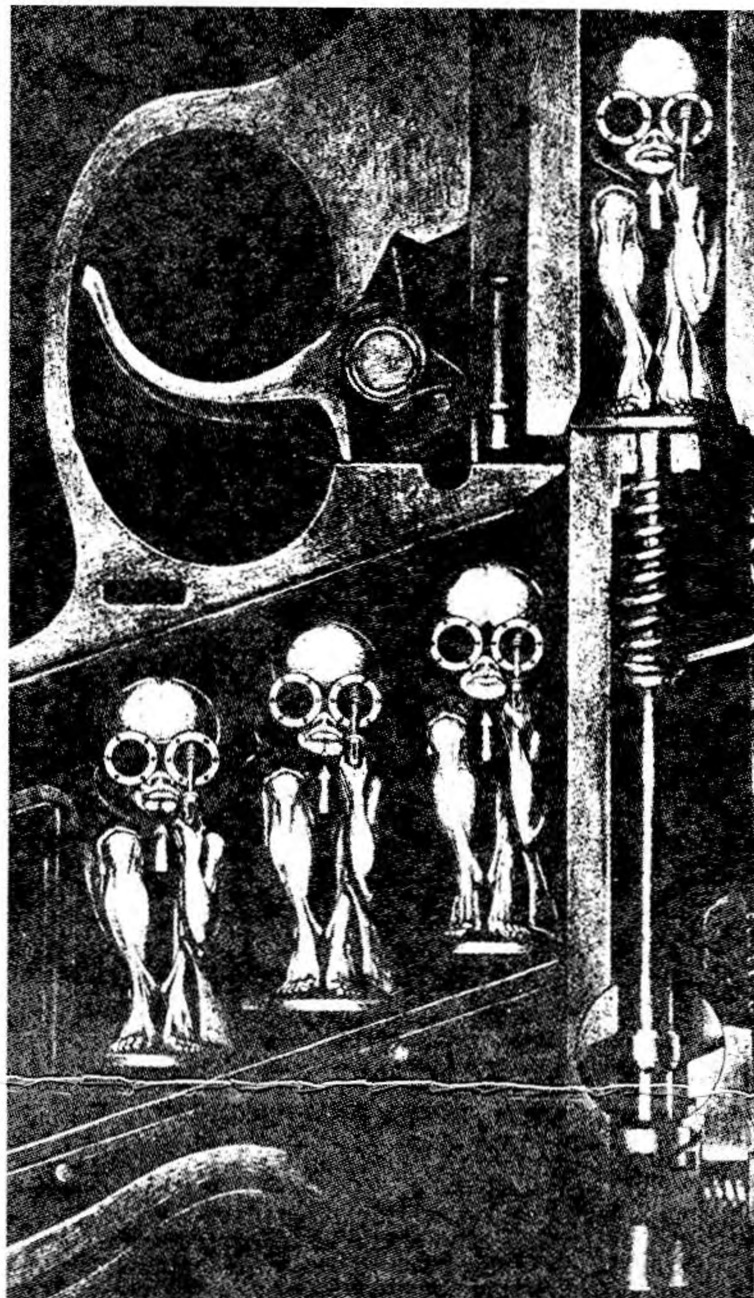




Nr 261: Passagen-Tempel „Leben", 1974, akryl na papierze, 240 x 260 cm (fragment)

H.R.Giger

Pierwszy Pasażer NOSTROMO



Gdy przed ośmiu laty wchodziłem z żoną do sali warszawskiego „Relaxu" na film „Alien", witały nas maskujące przerażenie uśmieszki bileterek. „Odważna paniusia... lepiej było w domu zostać..." - mówiły ich oczy, co niejeden film widziały. Moja żona była w dziewiątym miesiącu.

Nazajutrz pojechaliśmy do szpitala, wieczorem urodziła się nasza córka.

Tak oto zawarłem bliższą znajomość ze szwajcarskim malarzem Hansem Ruedim Gigerem – tatusiem ósmego pasożyta, sorry – pasażera „Nostromo".

Malarstwo H.R. Gigera nie należy do przyjemnych w odbiorze. Sami mogą Państwo się o tym przekonać, oglądając niewielki wybór z tego panopticum, w jakim na co dzień żyje Giger. Zaczynał skromnie – jako kreślarz w biurze architektonicznym, równolegle studiował w wyższej szkole artystycznej w spokojnym Zürichu. W tym okresie rysował: surrealistyczne rysunki przypominające Bellmera, Magritte'a; a nawet nieodległe od stworków, które ciągle jeszcze do nas przysyłacie. W szkole zajmował się rzeźbą – poliestrowe głowy kobiet już niosą w sobie zalążek przyszłego, o 20 lat starszego Gigera.

W 1972 roku odkrył dla siebie aerograf. W tym czasie eksperymentował w duchu Maxa Ernsta, tworząc wielkoformatowe rysunki automatyczne. „Zaczynałem od lewego górnego rogu i pracowałem, póki nie dotarłem do prawego dolnego. Rysunki powstawały bez pomysłu i szkicu". Zbytnia skromność – gdyż pomysłów Gigerowi nie brakowało. Zaludniał swoje kartony i role papieru barokowo zbudowanymi strukturami, stworami o ciałach pięknych kobiet, ptako–gadami itp. Pracował w monochromie, rozbielając światła i gasząc czernią głębokie cienie. Taka technologia gwarantowała niezbędną szybkość.

I wtedy zaczęła się jego przygoda ze światem, który istnieje w chorych snach jedynie.

Odrażająca, sino–czerwona wpadająca w fiolet kolorystyka, śliskie i obłe glisty wyrastające miast włosów z głów kobiet o kocich oczach, tatuaże, szkieletowe formy rozpięte na płaskich brzuchach, wargi sromowe w miejsce powiek i kły, kły, kły... wszędzie kły.

Nasz Franek Starowieyski, wydawałoby się mistrz perwersji, jest skromnym przedszkolakiem w zestawieniu z Gigerem. Bo też Starowieyski nie jest nekrofilem, jak jego szwajcarski kolega; jest znawcą i miłośnikiem ludzkiego ciała.

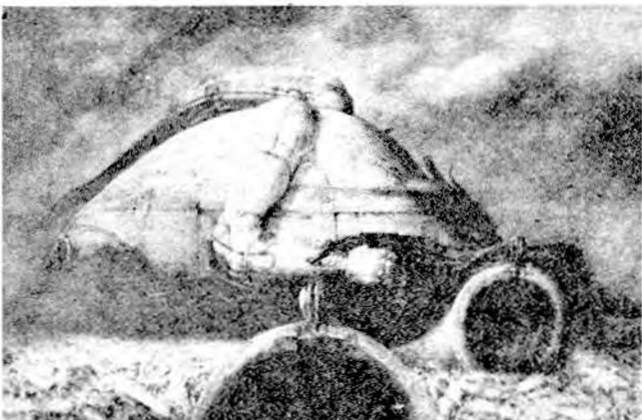
Powiadają, że jest Giger archeologiem „Jetzt und Morgen" – Dziś i Jutra. Ta reklamowa formułka ma oswoić patologiczną wyobraźnię Szwajcara z ptasimi móżdżkami masowych odbiorców kultury (na Zachodzie) – nikt nie lubi być straszony fekaliami własnej wyobraźni, jeśli już musi, to w kulturalnej galerii, na kartach nieskazitelnie wydrukowanego albumu.

I trafił Giger do masowej wyobraźni – głównie przez film „Alien", ma na koncie nieliczne koperty do płyt (Emerson, Lake and Palmer). Albumy autorskie „Necronomicon", „New York City" i wiele innych. Mało brakowało, byśmy obejrzeli jego wizję „Dune" Franka Herberta – zabrakło Jodorowskiemu pieniędzy na kolejną superprodukcję i zamiast wizji artystycznej obejrzeliśmy barokowy kicz filmowy o chłopcu z niebieskimi oczętami.

W moim odczuciu Giger jest wspaniałym malarzem, odważnym artystą, który do końca zrealizował założenia surrealizmu. Pokazuje nam nasze prywatne strachy, wyjaśnia czemu moczymy się nad ranem, dlaczego krzyczymy – podobno irracjonalnie – w nocy. Jest obrzydliwy. Więcej jest spraw obrzydliwych w nas i wokół nas, byśmy mieli wstydzić się oglądać Gigera. I drukować go.

Marek K. Zalejski





Nr 292 i 290: projekty scenograficzne do filmu „Dune", 1975



Gdyby nie istniały kryształsfery...

Lecz tak się nie mogło zdarzyć! Życie nie potrafiło opanować Wszechświata, bowiem kryształsfery rozbić można tylko od środka. Jakże okrutny okazał się Wszechświat!

Właśnie tak myśleli Natarale.

I przetrwali. W ciągu stuleci, strawionych na poszukiwaniu cudu Dobrych Gwiazd, wysłane z Quest próbniki znalazły ich pięć, nie bronionych przez bariery śmierci.

Drżała mi ręka, którą dotykałem współrzędnych dostępnych dla nas planet. Gardło ściskała mi myśl o wspaniałości tego daru, otrzymanego za pośrednictwem obelisku. Nic dziwnego, że Gardenas kazał mi czekać! I ja nie od razu pokażę to Alice!

Nagle zastanowiło mnie jedno. Gdzie zniknęli? I dlaczego? Dostępność sześciu planet z pewnością podniosła ich morale.

Było na obelisku jedno skomplikowane zdanie... coś o Czarnych Dziurach, coś o czasie... Dotykałem tego zdania raz za razem, a Gardenas przyglądał mi się uważnie.

– Na Jajo! – krzyknąłem nagle. Objawienie prawdy spowodowało, że wieść o pięciu planetach nagle zbladła.

– A więc po to są kryształsfery?

Nie mogłem uwierzyć.

Gardenas uśmiechnął się.

– Strzeż się teleologii, Joshua. Bariery sugerują istnienie i działanie Twórcy, to prawda. Ale mogą być także prostą koniecznością, a nie wynikiem kreacji. Wiem tylko jedno: gdyby nie kryształsfery, nie byłoby nas. Inteligencja pojawiałaby się rzadziej, a i tak nie jest powszechna. Gwiazdy niemal całkowicie pozbawione byłyby życia.

– Przeklinaliśmy kryształsfery przez dziesięć tysięcy lat – westchnął lingwista. – Nataralom zabrało to nawet więcej czasu, lecz w końcu i oni to zrozumieli.

Gdyby kryształsfery nie istniały...

Myślałem o tym nocą, patrząc na rozproszone, blade światło dryfujących Skorup i przeświecający przez nie blask gwiazd.

Gdyby kryształsfery nie istniały, każdą galaktykę opanowałaby pierwsza cywilizacja gwiezdnych wędrowców. I choć większość cywilizacji nie czuje potrzeby kolonizowania innych planet, odwiedziny agresywnego gatunku nie ominęłyby także i ich.

Gdyby kryształsfery nie istniały, pierwsi gwiezdni wędrowcy wylecieliby w przestrzeń i zagarnęli wszystkie znane sobie światy. Osiedliliby się na każdej wodnej planecie, na każdym małym ciele, krążącym wokół każdej Dobrej Gwiazdy.

Dwa wieki przed odkryciem naszej kryształsfery my, ludzie, już rozważaliśmy przyczyny samotności Ziemi. Dlaczego, w ciągu trzech miliardów lat, podczas których była ona „posiadłością do wzięcia", żadna podobna do nas rasa nie przybyła i nie wprowadziła się do pustego domu.

Odkryliśmy, że zawdzięczamy to otaczającej Sol barierze śmierci, chroniącej naszych prymitywnych przodków przed wpływami z zewnątrz. Odkryliśmy że nasz własny świat wypieścił nas w spokoju i w izolacji.

Gdyby nie kryształsfery, pierwsi z gwiezdnych wędrowców wypełniliby z pewnością galaktykę, być może Wszechświat. Tak właśnie postąpilibyśmy my, gdyby nie zatrzymały nas kryształsfery. Zmienilibyśmy na zawsze historię skolonizowanych światów. Nie sposób wyobrazić sobie katastrofalnych skutków tego rodzaju aktywności.

Tak więc bariery śmierci chroniły światy, dopóki nie stworzyły one życia zdolnego do skruszenia ich od środka. Lecz o co tu chodziło? Jaki mógł być zysk z wychowania młodej istoty tylko po to, żeby dojrzała do gorzkiej, smutnej samotności dojrzałego wieku?

Wyobraźcie sobie, jak przedstawiało się to pierwszej rasie zdobywców gwiazd. Nigdy, choćby mieli cierpliwość Hioba, nigdy nie zdobyli Dobrej Gwiazdy dla siebie. Dopóki nie rozbiło się kolejne jajo, nie mogli spotkać sąsiada, by zamienić z nim kilka słów.

Nic dziwnego, że popadli w rozpacz zanim to się stało.

A teraz my, ludzkość, otrzymaliśmy w darze sześć przepięknych planet. Jeśli nawet nigdy nie spotkamy Natarali, możemy przecież czytać ich książki i poznawać ich. Z kolei, dzięki dokładnym badaniom jakie przeprowadzili Natarale, możemy poznać wcześniejsze rasy, rozkwitłe na każdym z pięciu światów, także badające niegdyś Pustkę Wszechświata.

Być może za kolejny miliard lat Kosmos bardziej przypominać będzie fabuły fantastyki naukowej z czasów dzieciństwa mego dziadka. Być może handel ożywi drogi łączące ze sobą światy.

Lecz my – i Natarale – rozwinęliśmy się zbyt wcześnie. Jeśli będziemy czekać na ten błogosławiony dzień, zostaniemy przeklęci, staniemy się Starą Rasą.

Spojrzałem raz jeszcze ku konstelacji, którą nazywamy Feniksem, do której Natarale polecieli przed milionem naszych lat. Nie mogłem dojrzeć czarnej gwiazdy, będącej ich celem, lecz wiedziałem dokładnie, gdzie ona jest. Zostawili dokładne wskazówki.

A później odwróciłem się i wszedłem do namiotu, który dzieliłem z Alice i naszym dzieckiem, opuszczając i gwiazdy, i Skorupy.

Jutro będę miał ciężki dzień. Obiecałem Alice, że zaczniemy budować dom, na zboczu wzgórza, niedaleko Starego Miasta.

Wyszeptała coś przez sen i gdy tylko wślizgnąłem się do łóżka przysunęła się do mnie. Dziecko spało spokojnie w stojącej opodal kołysce. Przytuliłem się do Alice, oddychając powoli. Jednak sen nie przychodził. Myślałem o tym, co dali nam Natarale.

Poprawka... O tym, co nam pożyczyli!

Możemy używać ich sześciu światów pod warunkiem, że będziemy się z nimi dobrze obchodzić. Ten sam warunek zaakceptowali i oni, dziedzicząc cztery światy dawno opuszczone przez Lap-Klenno, ich poprzedników na samotnych ścieżkach Kosmosu... A Lap-Klenno zgodzili się na to przejmując trzy słońca Thwoozoonów...

Tak długo, jak długo chcieliśmy się jeszcze rozrastać, mieliśmy i te światy, i światy, które sami znajdziemy.

Lecz pewnego dnia zamarzymy o czymś innym. Przestaniemy domagać się tylko przestrzeni. Coraz częściej – i to zrozumieli Natarale – będziemy za to myśleli o samotności.

Wiem, że mieli rację. Pewnego dnia mój prawnuk do n-tej potęgi nie będzie już mógł znieść Wszechświata, w którym rozlega się tylko jego głos. Znudzi się przepięknymi światami i powiedzie swój naród ku ciemnej gwieździe. I tutaj, wewnątrz horyzontu wielkiej, czarnej dziury, znajdzie Natarali, Lap-Klenno i Thwoozoonów, czekających w kokonie zawieszonego czasu.

Słuchałem wiatru łagodnie poruszającego płótnem namiotu i zazdrościłem swym potomkom. W końcu i ja chciałbym spotkać inne rasy, tak bardzo podobne do nas.

Cóż, moglibyśmy czekać te kilka miliardów lat i doczekać odległych czasów, w których pęknie większość sfer i Wszechświat się ożywi. Lecz do tej pory bardzo się zmienimy. Staniemy się Starą Rasą.

A który z gatunków, pozostających przy zdrowych zmysłach, zdecyduje się na taki los? O ileż lepiej jest pozostać młodym oczekując na to, żeby Kosmos stał się wreszcie miejscem, w którym warto żyć.

Rasy, które nas wyprzedziły, czekają na tą chwilę śpiąc wewnątrz Czarnych Dziur. Czekają tam na nas, a kiedy przybędziemy, powitają nas i wspólnie przeżyjemy puste, jałowe lata Kosmosu.

Rozważałem wyjście, które znaleźli Natarale i czułem, jak opadają ze mnie resztki głębokiej depresji. Tak długo baliśmy się Wszechświata i jego żartu, sądziliśmy, że jesteśmy jego przypadkowymi ofiarami. Lecz teraz, wreszcie!, obawy rozpadły się jak skorupa jajka, jak ściany kryształsfery.

Przytuliłem się do swojej kobiety. Westchnęła i zamruczała coś przez sen. Zanim i ja w końcu zasnąłem, poczułem się lepiej niż kiedykolwiek w ciągu tego tysiąca lat... i poczułem się także bardzo, bardzo młody.

Przełożył **Krzysztof Sokołowski**

Karl Michael Armer

Tubylcy z betonowej dżungli

(Die Eingeborenen des Betondschungels)

Neon

W blasku księżyca plac sprawia wrażenie wymarłego. Neonowa reklama dużego domu towarowego odbija się w kałużach pokrywających betonowe płyty. Jest mokro i zimno. Poświata ma w sobie coś z nierzeczywistej bladości nocnej fatamorgany. Cienie zagnieździły się głęboko w arkadach centrum handlowego, okalających plac ze wszystkich stron.

Foxx stoi pośrodku placu i czeka. Jest nieruchomy jak posąg. Na jego mokrym skórzanym płaszczu połyskuje światło reklam. Niebieskie, czerwone, niebieskie, czerwone. Jego twarz, skryta pod czarnymi jak węgiel okularami przeciwsłonecznymi, jest blada, ekstatyczna. W jasnej, pełnej poświacie księżyca rzuca ostry cień.

Dekoracja Chirico* z betonu, nocnych neonów i milczenia. Zimna i prosta. Podoba mi się. To nasza scena.

Ach, jakiż to byłby wspaniały film. Ujęcie pierwsze: wieżowce z Neu-Perching z lotu ptaka. 60 000 pogrążonych we śnie ludzkich mrówek w osiedlu z betonu. W nielicznych oknach widać niebieskawą poświatę ekranów telewizyjnych. Najazd kamery na plac. Utopione w kałużach odblaski neonów. Z okien wystawowych supermarketu spływa kliniczne, zimne światło jarzeniówek. Wewnątrz stos pralek bębnowych, niczym ofiary dla niepojętego bóstwa. Zwrot na nieruchomą postać w niebiesko-czerwonym-niebiesko-czerwonym płaszczu. Foxx, mój wice. Dzisiejszej nocy wygląda na starszego niż siedemnaście.

A potem ciszę przerywa ten DŹWIĘK. Wyłaniają się z cieni i okrążają Foxxa. To Zombie. Uszminkowane na biało twarze, rozczapierzone palce, rytualne pochrząkiwanie. Noc żyjących zmarłych. Ale ich ofiara nie jest bezbronna.

Prztykam palcami. Nasza grupa bojowa wychodzi z ukrycia.

– Gang Neonowy – mówi naczelny Zombie głosem drżącym z emocji.

Witamy się z nimi, wymachując naszymi azjatyckimi pałkami. Foxx powoli wyciąga spod płaszcza chemiczną maczugę.

Nie tracimy ani chwili.

– Akcja – wołam.

Zaczyna się walka obu band. Szybkie kroki do przodu. Pałki bojowe grzmocą z rozmachem, z bezwzględną precyzją, w sposób przećwiczony już 1000-krotnie. Łańcuchy dzwonią o beton, ten i ów zatacza się do tyłu, Zombie wrzeszczą. Pałki grzmocą raz po raz, twarz wygląda po takim ciosie jak pęknięta szyba.

Prask! Napływ adrenaliny! O, jak piękna jest siła! Miażdżymy ich. Kopniak w żołądek, cios w kark, i następny! Wspaniale, precyzyjnie, elegancko. Niebiesko-czerwony balet bojowy Opery pekińskiej, ale krew jest prawdziwa. Prask! Nieruchoma twarz w kałuży. Jesteśmy wspaniali. Jesteśmy niezwyciężeni. Tak, tak! Prask! Hahaha! Gang Neonowy atakuje. W feerii barwnych błysków neonów reklamowych niszczymy przeciwnika.

Kiedy zanika już w mózgu migotliwa biel, leżą na ziemi; dziesięciu wszawych Zombie, którzy sądzili, że dadzą radę pięciu wspaniałym z Gangu Neonowego. Zabawni bezmózgowcy! Przecież wszyscy wiedzą, że spośród wszystkich gangów w Neu-Perching my jesteśmy na samym szczycie.

Plastic Spastic kopie ich jeszcze przez chwilę, potem poprawiamy sobie ubrania. To ma kapitalne znaczenie.

– Byliśmy dobrzy. – Foxx zakłada z powrotem swoje przeciwsłoneczne okulary. – Pierwszorzędna nauczka.

– Nauczka na sto dwa! – przytakuje Siegfried, uśmiechając się mile. – Nauczka roku! – Poprawia sobie rękawiczki i przygładza starannie jasną czuprynę. – A teraz, Dawidzie?

A więc uparcie próbuje nadal. Nie reaguję na to. Wyciągam z kieszeni lusterko, sprawdzam swój makijaż i poprawiam go konturówką „Unisex dark blue metallic".

– A teraz, Pierwszy? – pyta jeszcze raz Siegfried. No, to już lepiej.

– Akcja karna przeciw przywódcy Zombie – mówię.

Godzilla oblizuje sobie wargi. Ten potwór rzeczywiście uwielbia totalną przemoc. Co do mnie, to wcale nie zależy mi na odwecie. Ale to właśnie należy do rytuału.

Bierzemy się za Pierwszego gangu Zombie i masakrujemy go metodycznie. Dokładnie według podręcznika anatomii. Dokładnie według zasad naukowych. Na pewno upłynie co najmniej rok, zanim będzie mógł znowu chodzić.

Następnie wrzucamy go do ozdobnej fontanny w samym środku placu. Jutro rano napędzi stracha gosposiom, które wybiorą się po zakupy. Ale dzisiejszej nocy tylko księżyc spogląda na niego, kiedy tak leży w bezruchu, w kałuży neonowej krwi.

Bunkier

Już po raz 2880 wsuwam dziś plastykowy element pod prasę. Ważący tonę ciężar pędzi w dół jak pięść King Konga, wydaje odgłos przypominający mlaśnięcie, po czym wypluwa dziwacznie uformowaną rzecz z dziurkami i wybrzuszeniami.

Biorę do ręki ten plastykowy wyrób, wrzucam na plastykową pochylnię, na której zsuwa się do plastykowego pojemnika. I znowu myślę sobie: Godzilla, ty debilu, zrobiłeś już chyba z milion tych dziwadeł, a nie wiesz nawet, do czego właściwie są potrzebne. Najprawdopodobniej sprzedawane będą w plastykowym domu towarowym ludziom z plastyku.

Przez osiem godzin dziennie produkuję to gówno. Co dziesięć sekund: wumm-cmok. To daje 6 na minutę, 360 na godzinę, 2880 na dzień. 2880 razy słyszę mlaśnięcie tego plastykowego potworka. Czasem wydaje mi się, że mój mózg jest również z plastyku.

Fajrant. Neonowe oświetlenie gaśnie. Jedna z jarzeniówek w szatni mruga. Należącymi do firmy schodkami ruchomymi zjeżdżam na peron metra. Blaszany głos z megafonów. Opóźnienie. Awaria sieci energetycznej. Prośba o cierpliwość. Wreszcie pociąg nadjeżdża. Drzwi zasuwają się, wumm-cmok. Jest ciasno i duszno. Tytuły w gazetach krzyczą na cały świat o najnowszych kryzysach. *Czy zimą czeka nas brak energii elektrycznej? Konflikt w Korei nara-*

sta coraz bardziej. Wojna gangów na stadionie: liczne ofiary śmiertelne!

O Boże!

Ta duchota zwala mnie z nóg. Również nuda. Każdy wlepił wzrok przed siebie. Wyplute, wymiętoszone typy. Odgadnąć 30 stron strategii sprzedaży. Wypełnić 150 metrów regałów. Zrobić 2880 razy wumm-cmok. Spoglądam na reklamę. *Dlaczego nie zostaniesz policjantem? Nasz kraj potrzebuje mężczyzn takich jak ty!* Jakiś rozpromieniony facet w mundurze siedzi na BMW 1200, niedbały uśmiech i do mnie należy cały świat. Zmilitaryzowany gigolo. Człowiek na określone chwile, hahaha!

Właściwie mogłoby być to coś dla mnie. Godzilla w akcji. Wziąć się za to porządnie i już! Szanowana osoba z pewną pensją. Może by mnie nawet przyjęli. Nie jestem wprawdzie orłem, ale nie można mnie też nazywać debilem, tylko dlatego, że nie skończyłem szkoły. Po prostu starzy woleli, żebym zadbał o trochę szmalu.

Wumm-cmok. Neu-Perching, wszyscy wysiadać! Wielki ścisk i zamęt. Rzygać się chce na tę kotłowaninę. Ktoś odpycha mnie łokciem, daję mu kopniaka w kolano. Pada na ziemię, inni tratują go, a ja czuję się od razu lepiej.

Ale wszystko, co dobre, kończy się szybko. Winda do bloku B nawaliła. „Proszę przejść schodami!" To oczywiście wkurza wszystkich. – Za co właściwie płacę podatki? – pyta jakiś rozeźlony, wychudzony kurdupel w krawacie. I już wrzawa jak na stadionie. Kamera kontrolna zwraca się od razu w tę stronę, szeryfowie szykują się, aby dobyć koltów. „Zwracamy uwagę – chrypią głośniki – ... uszkodzenie przedmiotów... pociągnięci do odpowiedzialności ... areszt natychmiastowy aż do czasu wyjaśnienia sprawy..."

To oczywiście działa na emocje jak kubeł zimnej wody. Rozdrażnieni przeciskamy się schodami pod górę. A tam zataczam się, jakby ktoś rąbnął mnie z całej siły.

Słońce świeci!

Dopiero teraz uświadamiam sobie, że widzę słońce po raz pierwszy od trzech czy czterech dni. Rano do windy: światło neonowe. Metrem do pracy: światło neonowe. W hali fabrycznej: światło neonowe. Wieczorem powrót. Metro, winda: światło neonowe. Dwie godziny snu, potem do dyskoteki: światło neonowe. Chyba zrobił się już ze mnie prawdziwy kret.

Niebo jest zdecydowanie niebieskie, jak ekran przesterowanego telewizora. Typowa warstwa wyziewów i mgły zniknęła. To z pewnością fen. Promienie słońca padają dosyć ukośnie, są złociste, wszystko wygląda tak świeżo i apetycznie. Jak w kinie. Film reklamujący naszą Piękną Nową Ojczyznę.

Takie jesienne widowisko to nie na moje siły. Zupełnie, jakby ktoś wyciągnął do ciebie rękę ze wspaniałym prezentem, o którym wiesz, że i tak nie będzie twój. Obiecanki cacanki. Zresztą nie czuję się dobrze, kiedy stoję tak pod gołym niebem, bezbronny. Odnoszę wrażenie, jakby w każdej chwili ktoś mógł mnie stąd zdmuchnąć. Nie jestem też przyzwyczajony do takiej ilości świeżego powietrza. Wieje wiatr, jest dosyć zimno.

Naprawdę oddycham z ulgą, kiedy zostawiam wreszcie za sobą słońce, niebieskie niebo i wszystkie te bzdety i zamykam się znowu w swoim bloku mieszkalnym. Tu czuję się bezpiecznie. W windzie mruga poczciwe stare światło neonowe.

Beton

Na marmurowej tablicy widnieje napis: NEU-PERCHING. *Pomnik nieznanego mistrza ku przestrodze* dopisał ktoś pod spodem.

WYBIEGAJĄCY W PRZYSZŁOŚĆ MODEL NOWEJ URBANIZACJI I BUDOWNICTWA MIESZKANIOWEGO DLA CZŁOWIEKA. ZBUDOWANY W LATACH 1987-1989 WEDŁUG PROJEKTU PROF. DR WALTERA HEUERMANNA.

A dlaczego ten cwaniak sam tu nie mieszka? – pyta jaskrawoczerwony dopisek pod nazwiskiem profesora.

– Bo kupił sobie dom na Lazurowym Wybrzeżu, frajerze – mówię cicho.

Plastic Spastic unosi nieco głowę. – Cóż to, Godzillo, rozmawiamy sami ze sobą?

– To nic.

Wałęsamy się po schodach okalających Centrum Kultury i Komunikacji i zdychamy z nudów. Oczywiście można by iść do biblioteki, ale to nie dla nas. W środku siedzi jakaś zeskleroziała miłośniczka klasyki, a obok niej dwa czterdziestoletnie typy, jeszcze z późnego okresu hippisów, wspominające nadal Woodstock. Według nich „Blowin in the wind" to coś bardzo postępowego. Po prostu nie są na bieżąco. Zresztą w bibliotece przestali grzać, odkąd Arabowie zrobili się tacy ważni, a my dostajemy już tylko tę drogą ropę z Wenezueli.

– Cholera, ale zimno – mówi Siegfried. – Te przeklęte wieżowce już teraz rzucają cień.

Nic dziwnego, mają co najmniej 40 pięter. Przez jakiś czas wieżowce nie były w modzie, ale odkąd ceny działek budowlanych ruszyły w górę, widać je znowu na każdym kroku.

Pierwszy podziwia szary skafander, który dopiero co kupił.

– Fajnie to wygląda – mówi rozmarzony. Foxx, Drugi w Gangu Neonowym, ma nieco kwaśną minę. Według niego Pierwszy jest za mało przebiegły i zbyt próżny.

– Sporo mnie to kosztowało – wyjaśnia Pierwszy. – Jestem teraz zupełnie spłukany. – Wstaje z miejsca – Załatwię sobie kredyt.

Zaczepia pierwszego lepszego, jaki przechodzi akurat ulicą. – Daj mi 50 marek – mówi do tamtego, jakiegoś gryzipiórka w okularach i z aktówką pod pachą.

– Jak to? – dziwi się ten naiwniak. Jeszcze jeden z tych, którzy nie są na bieżąco.

– W przeciwnym razie wybiję ci kilka zębów – wyjaśnia mu uprzejmie Pierwszy. Jest jak zwykle uprzejmy wobec tubylców. – Za coś takiego, nasz kochany doktor stomatolog żąda 8000 marek, a ubezpieczenie też drożeje z dnia na dzień. Myślę, że w takim układzie 50 marek to dla ciebie całkiem niezły interes, a może się mylę?

Jego słowa trafiają do przekonania kredytodawcy. Zaczyna grzebać w portfelu. – Ale mam tu tylko setkę.

– To nic – mówi Pierwszy wspaniałomyślnie. – Przyjmuję również większe drobne. A teraz zmyj się stąd.

Po tym drobnym przerywniku przychodzi znowu wielka nuda. Co za dzień! Zupełnie nic się nie dzieje. W wieżowcach ryczy na raz jakieś dwadzieścia różnych programów telewizyjnych. Tubylcy tkwią przy oknach, wyglądając na zewnątrz, jakby na coś czekali.

– Nie mają chyba nic do roboty – mówię po to tylko, aby przerwać milczenie.

– A co mogą robić? – odpowiada Foxx. – Przecież nikt z nich nie ma pieniędzy. Nowa nędza, rozumiesz? 40% na podatki, 40% na czynsz i 15% na ubezpieczenie. Nie zostaje więc dużo, nawet jeżeli zarabia się dobrze.

Siegfried wyciąga rękę.

– Spójrzcie!

Jakiś pijak demoluje właśnie karuzelę na placu. My i około 300 gapiów z okien przyglądamy się następnie, jak rozwala huśtawki. Niezła rozrywka. Placu zabaw i tak nie żałujemy, teraz to tylko siedlisko kundli.

– Pamiętacie – odzywa się Plastic Spastic – jak dawniej się oburzano, kiedy bawiliśmy się w wandali? A teraz sami rozwalają wszystko na drobny mak.

Pierwszy wybucha śmiechem.

– Beton pobudza agresję, tak zawsze mówi mój stary. A potem wychodzi z mieszkania i kradnie żarówki z klatki schodowej.

– Też mała strata – pociesza go Foxx. – I tak wszystko zardzewieje, wcześniej czy później. Tak, jak my teraz mieszkamy, żyły dawniej męty społeczne. Ale odkąd zaczęły się braki energii i surowców, a co za tym idzie, zakłócenia w eksporcie, cały system się załamał. Wychuchane, luksusowe apartamenty zamieniają się w bunkry, nie nadające się do zamieszkania. Ale czasem myślę, że to mi się nawet podoba; stwarza nastrój degeneracji, wynaturzenia.

– Chrzanisz – przerywa mu Siegfried.


Andrzej Brzezicki

Ale Foxx wpadł już w trans; to przecież jego ulubiony temat.

– Po prostu nie należy traktować brzydoty jako coś nienormalnego – wyjaśnia – lecz zaakceptować ją. I wtedy ujrzysz nagle w naszym otoczeniu brutalną, perwersyjną piękność. Beton jest piękny, plastyk jest piękny, metal jest piękny. Źle oświetlony garaż podziemny, duży, ale pusty parking ze swoją geometrią stanowisk, idealnie wyszorowana knajpa o pół do czwartej nad ranem, w której świecą się różowe jarzeniówki – to właśnie całe piękno, człowieku. Nowa estetyka. Twórcze dopasowanie się do struktury otoczenia – to obowiązujący trend!

Wywody Foxxa zaczynają mi już działać na nerwy. Dlatego oddycham z ulgą, kiedy znowu zaczyna się akcja. Gdzieś na dwudziestym piątym piętrze jakaś młoda kobieta wdrapała się na poręcz balkonu, a teraz stoi tak w górze, w kwiecistym fartuszku, przytrzymuje się jedną ręką i spogląda w dół, na betonowe płyty.

– Hej, zdaje się, że jedno mieszkanie będzie wolne – cieszy się Plastic Spastic.

– Ciekawe, dlaczego to robi – mówię.

– Może wzięła nieodpowiedni proszek do prania i nie wyprała jak należy koszuli swojego starego – mówi Pierwszy, wyraźnie rozbawiony. – A on spojrzał na nią wściekłym wzrokiem, no i dla niej zawalił się świat.

– Tak właśnie kończy się życie dzielnej gospodyni – wzdycha Plastic Spastic. – Wzruszające. Jeszcze trochę, i czuję, że się rozpłaczę.

Tymczasem gapiów przybywa coraz więcej. Nie tylko na dole. Również balkony i okna są gęsto oblepione ludźmi. Rozbrzmiewa głośny śmiech. Nastrój jest wesoły. Nareszcie coś się dzieje.

– Ta przynajmniej nie może się uskarżać na brak zainteresowania – mówi Foxx.

Tak jakby było to umówione hasło, nadjeżdża telewizja. Patrzę na zegarek. Trzy minuty, całkiem nieźle. To z pewnością chłopcy z kanału 16, mają tu przecież od siebie tylko dwa kroki.

– Najpierw widok ogólny – krzyczy reżyser do pierwszego kamerzysty. Jest wyraźnie rozgorączkowany. – Uchwycisz ją jako drobną mrówkę w betonowej dżungli. To da efekt. Kamera szybkobieżna bierze z dołu, zrobimy żabią

perspektywę. Podejdź pod sam balkon! To musi wyglądać, jakby spadała ci prosto na kamerę. Kiedy wreszcie ta kretynka skoczy?

– Właśnie, skacz już! – krzyczy jeden z widzów. – Pokaż, co potrafisz!

– Pośpiesz się, chcemy coś zobaczyć! – wrzeszczy inny. Z przygotowaną do filmowania INSTAMATIC stoi na sąsiednim balkonie.

Kobieta rozgląda się na wszystkie strony, jakby nie była zdecydowana, co robić. Za nią widać w mieszkaniu jakieś gorączkowe ruchy. Niektórzy już się pośpieszyli, aby zająć się jej mieniem.

Nagle, kilka domów dalej, rozbrzmiewa wycie syreny straży pożarnej. A ci czego tu chcą? Niech to diabli, nie chodzi nam przecież o to, by ujrzeć, jak wygląda akcja ratunkowa, chcieliśmy być świadkami ładnego skoku, z dużą ilością krwi! Kilka zaparkowanych w pobliżu samochodów ustawia się momentalnie na drodze dojazdowej, jako barykada, ale ci zidiociali brutale spychają je po prostu na bok swoim potężnym strumieniem wody.

Tylko że w ten sposób niczego nie wskórają. Z okien lecą już butelki, roztrzaskują się przed kołami czerwonego samochodu. Plopp, plopp, opony pękają jedna po drugiej i wkrótce samochód straży pożarnej zatrzymuje się na samych felgach. Załoga wyskakuje na zewnątrz, nie kryjąc zdenerwowania, i usiłuje rozpiąć płachtę ratunkową. Z okien zaczyna sypać się natychmiast prawdziwa lawina odpadków, i to wreszcie zniechęca strażaków.

– Do diabła, czy tu wszyscy zwariowali? – pieni się ich dowódca.

Jakoś nie może zrozumieć, że przeszkadzają nam w oglądaniu tego widowiska. Że wszystko psują. W końcu każdy z nas ma prawo do rozrywki, prawda?

Kiedy wreszcie nadchodzi moment, w którym kobieta rzeczywiście wyskakuje z balkonu, panuje już taki rozgardiasz, że umyka to uwadze wszystkich zebranych. Ale na szczęście pokażą to dziś wieczorem w telewizji. W zwolnionym tempie.

Mury

Jeszcze raz rozglądam się po swoim pokoju: typowo wspaniałomyślne wymiary asocjalnego budownictwa mieszkaniowego. Siedem metrów kwadratowych, jakie mają wystarczyć do prawidłowego rozwoju. Architekt musiał mieć w sobie jakiś ukryty instynkt zabójcy.

Ponieważ muszę zabezpieczyć swój cenny księgozbiór o sztuce i filmie, aktywizuję zegarowy zamek przy drzwiach i prześlizguję się obok pary obcych mi ludzi do ich pokoju, zajmującego powierzchnię 30 m^2.

– Dawidzie – odzywa się obca – Chłopcze.

– Daj mu spokój – mówi obcy.

Puszczam te odgłosy mimo uszu. Facet w windzie boi się mnie. To dobrze. Oglądam swoje odbicie w lustrze. Super. Dyskretna szminka, szary blezer, niebieskoszara koszula, ciemnoszary, wełniany krawat, a na wierzchu trencz z szarej skóry. To jest właśnie to, co nazywam elegancją na czasie. Cała gama odcieni szarości. Szary to cudowny kolor. Najładniejszy z tych, jakie znam.

Są tacy, co ubierają się jak hołota. Nieraz jeszcze w dżinsach i z długimi włosami. Trzydziestoletni emeryci. Co do mnie, to po prostu nie czuję się dobrze, kiedy jestem nieodpowiednio ubrany. Wprawdzie wymaga to nie lada szmalu, ale z tym muszę się już liczyć. W końcu trzeba przecież pokazać innym, że jest się na czele. A Gang Neonowy to tu absolutna elita. Jesteśmy najinteligentniejszymi chłopakami, nawet Godzilla, mimo że pracuje w fabryce.

Kiedy podchodzę do drzwi windy, słyszę cichy głos starego: – Banda faszystów.

Nie ma jeszcze pojęcia, jak świetnie jesteśmy wytrenowani. Demonstruję mu szybko, jakby od niechcenia, jak wygląda czysty cios kantem dłoni. Pada do przodu, rozwalając sobie nos. O mało nie opryskał mnie krwią, świntuch!

Wysiadam na czwartym poziomie podziemnego garażu. Teraz jest tu dosyć pusto. Jeden rzut oka na kamerę kontrolną pozwala stwierdzić, że jest zdemolowana. Może to pułapka? Przywieram do chłodnego muru z betonu i przebiegam wzrokiem po szarym sklepieniu. Ani widu, ani słychu. A więc to nie pułapka.

Podchodzę do naszego wozu bojowego. Ziemistoszary lakier metallic łazika połyskuje matowo w nikłym oświetleniu. Wspaniały wytwór techniki, statutowo: własność Pierwszego w Gangu Neonowym. Kiedy wyruszamy nim na akcję przeciw wrogim gangom, w pełnym umundurowaniu i przy akompaniamencie ogłuszających dźwięków syntezatora spotęgowanych przez osiem głośników – to graniczy już z ekstazą religijną. Jednostka doborowa, tak jak dawniej SS. Ludzie oglądają się za nami. Są też tacy, którzy odwracają wzrok. To przyjemne uczucie.

Samochód wspina się wyżej, pokonując wąskie zakręty korytarza. W świetle reflektorów widzę przez moment jakąś postać, która za pomocą plastykowej rurki ściąga benzynę z baku toyoty. Niezły interes. Dwie i pół marki na litrze, wolne od podatku.

Zapora przy wyjeździe jest znowu otwarta. Hartmann, portier w garażu, zniknął gdzieś. Z pewnością dał się komuś przekupić i wyszedł na godzinkę.

Na monitorach w jego pustej kabinie kontrolnej widoczne są jakieś zakłócenia.

A może go załatwili? Wszystko jedno, co mnie to obchodzi. Pełnym gazem pędzę przez Neu-Perching w kierunku centrum. Wytworne dzielnice willowe na peryferiach miasta są jakby wymarłe. Ich właściciele zamknęli się w swoich warowniach, wyposażonych w alarm, i boją się nawet wystawić nos na zewnątrz. Za mało policjantów i zbyt wielu drobnych rzezimieszków, którzy pragną konkurować z wielkimi rzezimieszkami.

Dojeżdżam do pierwszych bloków mieszkalnych. *Precz z państwem wyzyskiwaczy!*, napisał ktoś na murze fosforyzującą farbą. *Sprzedani przez parlament*, czytam tuż obok. *My musimy płacić podatki, a urzędnicy obrastają w tłuszcz!* To już na pewno robota SOO.

Ale to jeszcze nie wszystko. Przejeżdżając obok osiedla urzędników widzę, że okalający je mur jest zabezpieczony drutem kolczastym i workami z piaskiem. Przed bramą stoi kilku uzbrojonych po zęby szeryfów, z bronią maszynową gotową do strzału.

Widocznie doszło znowu do zamieszek. Nic dziwnego; odkąd liczba bezrobotnych zaczęła wzrastać, a starszy urzędnik pocztowy zarabia netto tyle samo, co kierownik działu w zakładzie przemysłowym, na urzędników patrzy się krzywym okiem. Samoobrona Obywatelska (SOO) i Bojowa Organizacja Sprawiedliwości Podatkowej (BOSP) występują aktywnie przeciw nim. Nie wyraża się o nich pozytywnie również opinia publiczna.

Ale co to mnie obchodzi! Mam w kieszeni tyle szmalu, ile mi trzeba, i zamierzam teraz odbyć w dyskotece swój wielki występ. Dyskoteka to jedyna oaza wspaniałości na tym nędznym ginącym świecie. I tylko to interesuje mnie w tej chwili.

I want to see the bright lights tonight, czy to jasne?

Hałas

„... Federalnego Urzędu Statystycznego w Wiesbaden wskaźnik wzrostu cen ustabilizował się w miesiącu sierpniu na wysokości 14,5%. TEL AVIV. Izraelskie koła rządowe wypowiedziały się krytycznie na temat wzrastającego w dalszym ciągu nacisku Stanów Zjednoczonych na Izrael, czego źródłem jest arabski bojkot naftowy. Rzecznik zapewnił, że rząd Izraela trwać będzie przy swoim stanowisku i w razie potrzeby jest gotów bronić go przy użyciu wszelkich dostępnych środków. SEUL. Z uwagi na mnożące się ostatnio incydenty zbrojne wzdłuż koreańskiej linii demarkacyjnej na 38° szerokości geograficznej, premier Korei Południowej, generał Kim, określił fakt wycofania oddziałów amerykańskich z terytorium swojego kraju jako zerwanie przymierza i kres polityki neo-izolacji. Rzecznik Ministerstwa Obrony w Waszyngtonie stanowczo odrzucił to oświadczenie, tłumacząc posunięcia Pentagonu jako rutynowe przemieszczanie oddziałów wojskowych. PRETORIA. W wyniku wczorajszej eksplozji bomby w południowoafrykańskim Ministerstwie Spraw Wewnętrznych zginęło według ostatnich do-

niesień osiemnastu białych i nie sprecyzowana bliżej liczba czarnoskórych. W wyniku ogłoszonego przez premiera van der Wilma stanu wojennego, oddziały specjalne poszukują sprawców zamachu, stosując środki radykalne. DÜSSELDORF. Do dokonanego w dzisiejszych godzinach porannych podpalenia japońskiego centrum handlowego przyznał się anonimowy rozmówca telefoniczny, który określił swój czyn jako protest przeciw polityce podnoszenia cen przez dominujące na rynku przedsiębiorstwa japońskie. Odpowiedzialność za zamach przyjęła na siebie również „Organizacja Ochrony Eksportu", która w ten sposób dopiero teraz ujawniła się publicznie. YOKOHAMA. W wyniku zderzenia statku obserwacyjnego Organizacji Ochrony Środowiska „Błękitna Planeta" z japońskim okrętem wielorybniczym „Nagasaki Maru" zginęli wszyscy członkowie załogi „Błękitnej Planety". Według zeznań naocznych świadków był to wypadek. LOS ANGELES. Światu zagraża nowa, gigantyczna eksplozja demograficzna, dotycząca przede wszystkim Trzeciego Świata. Mógł to spowodować rozwój hiszpańskiego serum antynowotworowego „Esperanza 90". Według komentarzy futurologów z Uniwersytetu w Kalifornii należy..."

Wyłączam tą szczekaczkę.

Stary, który usnął na kanapie (o ósmej wieczorem!), zrywa się raptownie, kiedy ustaje ta bzdurna paplanina.

– Czy coś się stało, Siegfried? – mamrocze zaspany.

– Nie – odpowiadam. – Nic, co by nas mogło obchodzić.

Letarg

Po omacku przedostaję się przez ciemny, wilgotny okop i zasieki z drutu kolczastego. Nade mną rozbrzmiewa ogłuszający ryk bombowca, z lewej strony dobiega kanonada. To karabiny maszynowe. Po chwili jestem już w środku sali.

„KĄPIEL STALOWA" jest jak zwykle zapchana po brzegi. To najnowsza i najbardziej wystawna dyskoteka w mieście. Klienci siedzą ze swoimi drinkami w gniazdach karabinów maszynowych. Panoramiczna projekcja na ścianach wokół sali wciąga w scenerię bitewną najbardziej wymyślnych rodzajów. W regularnych odstępach czasu podłogą wstrząsają głuche odgłosy wybuchów. Gdzieś z tyłu dudni miarowy krok żołnierskich butów, wrzaski komend krzyżują się z wyciem syreny. Najprawdziwsze piekło!

Podchodzi do mnie Siegfried. Jak zwykle ma na sobie mundur z szerokim pasem i wypolerowane do połysku buty galowe.

– Super buda, PS – krzyczy mi do ucha. – Aż podrywa cię na równe nogi!

Kiwam tylko głową i rozglądam się dokoła. Akcja w pełnym toku. Przede wszystkim II wojna światowa. W telewizji i na okładkach wielu płyt widać eleganckich łajdaków z SS w idealnie skrojonych mundurach; na tle rumowisk stoją oparci niedbale o czołg i sprawiają wrażenie, jakby jeszcze przed chwilą torturowali z rozkoszą dwudziestu jeńców. To rzeczywiście wywołuje dreszczyk – ta siła, ta zawadiacka postawa zdająca się mówić: „Już-jutro-mogę-być-martwy".

Ale jednak nie jest to w moim guście. Za bardzo nachalne, za mało wstrzemięźliwe. Odwracam się do Siegfrieda, macham mu ręką na pożegnanie i opuszczam wojenne widowisko.

Teraz mam w Centrum Dyskotekowym jeszcze trzy rozwiązania do wyboru. Ze „STUDIA" mogę chyba spokojnie zrezygnować; tam występuje jakaś mętna grupa o nazwie „Vinyla Fadsch", o której nikt dotąd nie słyszał. Z pewnością niewiele warta.

Mogę też pójść do „TRANSPORTERA". Jeszcze dwa lata temu była to nowatorska buda, bardzo konsekwentna: dyskoteka, w której nie rozmawia się już ani nie tańczy, tylko słucha muzyki wyłącznie dla siebie – ze zwisających z sufitu słuchawek. 210 słuchawek rozmieszczonych w siedmiu rzędach. I każdy, kto ma je na uszach, musi przebierać równomiernie nogami, gdyż pod nim przesuwa się transporter taśmowy, który w przeciwnym razie poniósłby go ze sobą. Najśmieszniej wygląda to wtedy kiedy „TRANSPORTER" jest zapchany gośćmi: wewnątrz grobowa cisza, a do tego 210 postaci, które wiszą przy słuchawkach i nieustannie przebierają nogami jak niewolnicy.

Zintelektualizowani pismacy, jak zwykle nieco w tyle, jeżeli chodzi o kryteria wartości, skoczyli natychmiast jak oparzeni, bełkocząc coś w kontekście „TRANSPORTERA" i jemu podobnych, o perwersji spędzania wolnego czasu itd. Tymczasem dziś sami wiszą przy słuchawkach, jako że trudno o coś lepszego, jeśli ktoś pragnie się wyłączyć i zapomnieć.

No cóż, na to nie ma rady. Przechodzę przez ogromną halę centrum dyskotekowego, gdzie roi się wprost od przechodniów. Rzeczywiście, nie szczędzono tu pieniędzy. Wszędzie światła, muzyka, fontanny, nisze, arkady, balkony. Wspaniała architektura Atlanty. Dziwne – te budy rozrywkowe są coraz bardziej wystawne, podczas gdy wokół nich wszystko rozpada się w proch. No i ci ludzie – mimo Nowej Biedy wydają tu swoje ostatnie grosze. Nic dziwnego, że mówi się już o „szalonych latach dziewięćdziesiątych".

Spoglądam w górę i wtedy dopiero uświadamiam sobie, że leżę na podłodze, a wokół mnie stoją jakieś uśmiechnięte postacie. A więc znowu miałem atak. Zaczynam wtedy kiwać głową to w przód, to w tył, bełkoczę coś kretyńskiego i przewracam się. Potem nic z tego nie pamiętam. To, jak również moje zamiłowanie do chłodnego w dotyku, gładkiego plastyku, zapewniło mi przydomek Plastic Spastic. Wszystko dlatego, że jakiś lekarzyna doradził mojej matce zażywanie nowych pigułek podczas ciąży.

Zrywam się na równe nogi, wściekłość przysłania mi wzrok. Przyciskam lekko skalpel do gardła pierwszego lepszego z tych uśmiechniętych gapiów, a kiedy ich krąg się rozwiera, odchodzę, zataczając się. Dopiero w „RZEŹNI" dochodzę powoli do siebie.

„RZEŹNIA" to dyskoteka, w której czuję się najlepiej. To niemal miejsce kultu. Wszędzie tylko białe kafelki i połyskujący chromem metal. Silne światło nie rzuca nigdzie nawet skrawka cienia. Muzyka nie jest zbyt głośna, ale wszechobecna. Elektroniczne dźwięki, powtarzane bez końca. Milczące postaci tańczą z wyreżyserowaną, chłodną precyzją, sprawiają wrażenie istot egzotycznych, nie z tej planety. Kobiety wyglądają jak mężczyźni, którzy wymalowali się jak kobiety. W tych kafelkowych zaświatach nie można być niczego pewnym.

Uwielbiam to miejsce. Przywodzi na myśl salę operacyjną dla dusz. Nie ma nic piękniejszego niż sala operacyjna. Białe maseczki i silne światło. Gigantycznie wzmocnione bicie serca. Syk tlenu płynącego z błyszczących butli, pojękiwanie hhhh-aaaa-hhhh-aaaaa. Wieści słane z wieczności przez oscylograf, sterylny przepych śmierci.

Miejsce jak wymarzone do manipulowania nożem.

Czule zaciskam dłoń na skalpelu i rozsiadam się wygodniej, zapominając o Neu-Perching, zapominając o szkole, zapominając o wszystkim. Chory obiekt na moim stole operacyjnym spogląda na mnie z przerażeniem, zanim zanurzy się w narkotycznym śnie. Biorę się do pracy.

Akta

Kiedy drzwi windy rozsuwają się, a ja uruchamiam kamerę, dziewczyna wzdryga się wystraszona, kryje twarz w dłoniach i wreszcie kuca w samym kącie kabiny, szlochając głośno.

Trrrrrrrrrrrrr, terkocze kamera. Zatrzymuję ją dopiero wtedy, kiedy drzwi windy zamykają się z powrotem.

Znowu kilka zdjęć do naszej kartoteki tubylców, myślę z zadowoleniem. Owo śledzenie to moje ulubione zajęcie. Daje mi poczucie siły i władzy.

Na ten pomysł wpadł Foxx. Pewnego dnia powiedział: „Powinniśmy kontrolować to, co robią tubylcy. Jesteśmy w końcu czymś w rodzaju elity, a to upoważnia nas do tego, abyśmy czasem popatrzyli prostaczkom na ręce. Co byście powiedzieli na to, gdybyśmy założyli taką małą kartotekę? W końcu wielu tak robi."

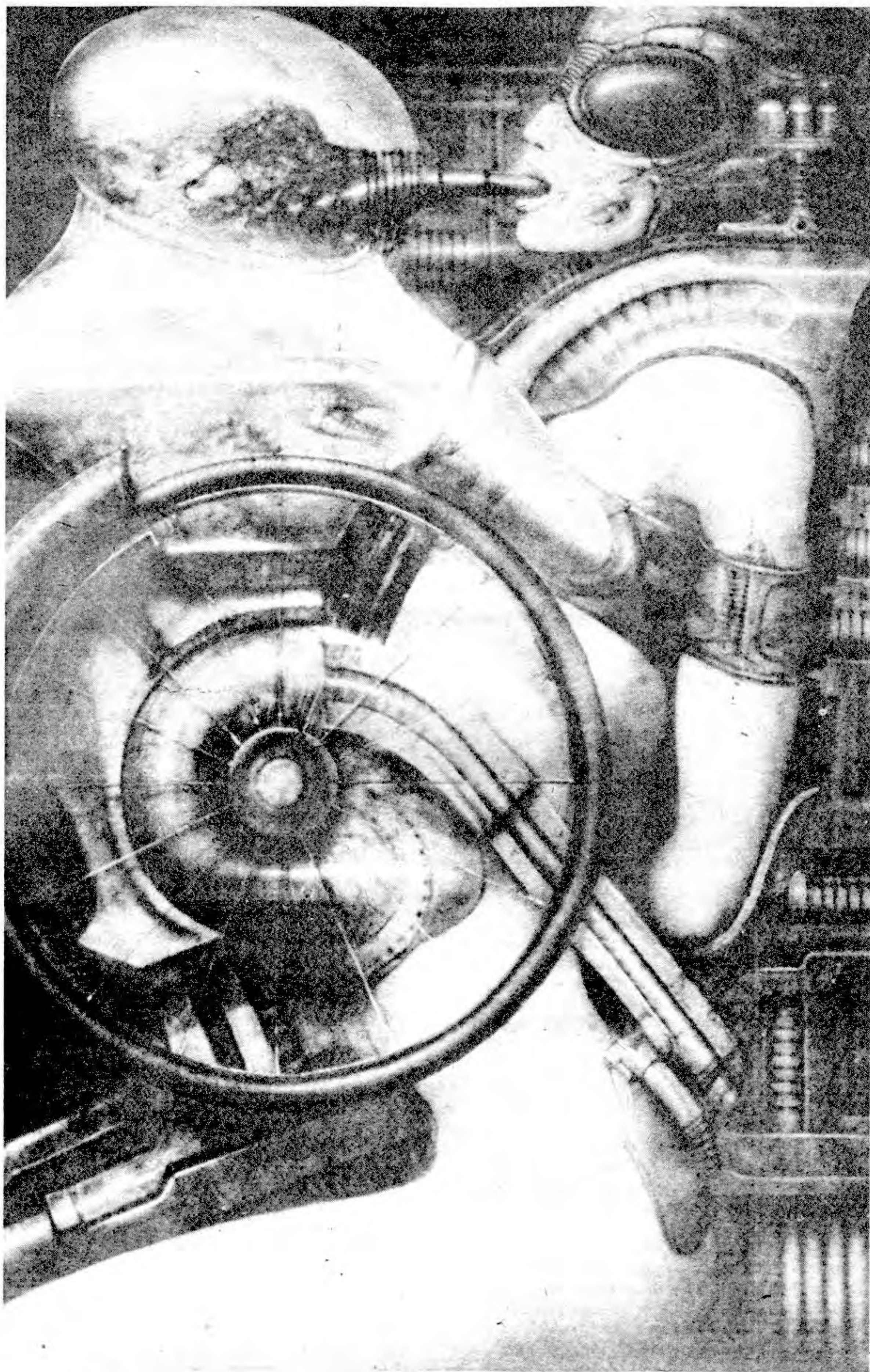
Uznaliśmy, że pomysł jest super, a Pierwszy dodał:

– To zajęcie akurat dla Siegfrieda. On lubi takie zadania.

☞

H.R.G.

GALERIA



Nr 308: „Biomechanoid", 1976, akryl na papierze, 100 x 70 cm

I od tego czasu robię to. Wyszukuję sobie kogoś, obojętnie kogo, i zaczynam go śledzić. I wcale nie kryję się z tym przed osobą, którą obserwuję; po krótkim czasie zaczyna się tak fajnie bać, gdyż myśli, że znalazła się na czarnej liście, chociaż nie wie, dlaczego. W dzisiejszych czasach jest mnóstwo takich czarnych list.

Dziewczyna, którą aktualnie obserwuję, ma w kartotece numer 38. Śledzę ją nieregularnie od trzech miesięcy i zebrałem na jej temat naprawdę niezłe dossier.

Nazywa się Caroline Müller, ma 19 lat. Wygląda na to, że jej inteligencja kształtuje się na poziomie poniżej przeciętnej, gdyż ukończyła jedynie szkołę podstawową. Pracuje jako prasowaczka w salonie bieliźniarskim. Zarabia bardzo kiepsko, mimo to posiada własne małe konto. Absolutnie przeciętna twarz. Absolutnie przeciętna figura. Hobby: brak. Ukończyła kurs tańca, nigdy jednak nie idzie potańczyć. Ulubione zajęcie wieczorem: oglądanie telewizji. Czytuje melodramaty, których akcja rozgrywa się w pałacach i egzotycznych krajach. Dwa razy w tygodniu stosunki seksualne, w 90% z tym samym partnerem, przez którego zresztą jest często bita. Pozostałe 10% odbywa za niewielkie kwoty pieniężne, które odkłada. Typ pasywny. Inne informacje: ma brązową, cętkowaną kocicę.

Foxx jest zachwycony tym materiałem. Kiedy będziemy już mieli 100 takich przypadków, mawia, zrobię z tego książkę. „Tubylcy z betonowej dżungli – Dossier antropologiczno-estetyczne". Według niego, wspaniale pasowałyby do tego moje zdjęcia, gdyż są takie chłodne. Tak jakby zrobił je przybysz z innej planety, albo jakby naukowiec obserwował pod mikroskopem amebę. Tak to określił.

Najbardziej podoba mu się zdjęcie, na którym numer 38 czeka po nocnej zmianie na metro. Skulona siedzi na peronie. Jest sama. Wymarły peron. Na jej twarzy zielonkawy odblask neonu. Za jej plecami, na ścianie pokrytej glazurą, cowboy z jakiejś reklamy pędzi na koniu na spotkanie wielkiej wolności.

– To bardzo romantyczne – mawia Foxx.

Podobają mu się też zdjęcia zrobione w podczerwieni, na których można obejrzeć, jak numer 38 gwałcą w podziemnym garażu kowboje-motocykliści. Jak w jaskrawym świetle reflektorów pędzi w stronę kamery, wytrzeszczając oczy, nagie, prześwietlone ciało, a za nią odziani w czarne skóry kowboje, z których jeden zarzuca właśnie na nią lasso.

– Wspaniała choreografia – komentuje Foxx. – Zupełnie jak balet. Bardzo dobrze udokumentowane.

Jego pochwała napawa mnie dumą. Potrzebny mi ktoś, kto będzie mi mówił, co mam robić. Dzięki temu wszystko na świecie staje się prostsze. A tak wszystko jest jakieś skomplikowane. Nieraz czuję, że sam chciałbym pokomenderować innymi. Na przykład taki komendant obozu, jak ich teraz często pokazują w telewizji, to by było coś dla mnie. Wsadziłbym ich wszystkich: zboczeńców i prostaków, włóczęgów i polityków, a także wszystkich Bambo z Afryki, którzy zagarnęli nasze kredyty, a teraz się na nas wypięli. O wschodzie słońca kazałbym im wystąpić na apelu porannym, a w tym czasie, kiedy szykowałby się pluton egzekucyjny, rozbrzmiewałaby muzyka. Coś wielkiego, wzniosłego: Zmierzch bogów, Wagner, Mahler, „Zdalne sterowanie", albo „Syntho and the Holocausts".

Bardzo szybko uporalibyśmy się z całym tym brudem i z chaosem, i z liberałami, którzy tylko komplikują wszystko. Świat byłby o wiele prostszy i bardziej zrozumiały. Ale do tego trzeba by silnej ręki. A może, gdyby w przyszłym roku wybory wygrał Malte Wilkendorff ze swoją Partią Narodowo-Etyczną...

No, ale teraz muszę zająć się znowu numerem 38, zgodnie z poleceniem. Wyzwolić w niej jeszcze kilka reakcji psychologicznych. Myślę, że najlepiej będzie, jeżeli zabiję jej kotkę. Zobaczymy, jak wtedy zachowa się nasz obiekt obserwacyjny.

Przemoc

– Chciałbym być jak beton – mówi Foxx. – Zimny, mocny, nieubłagany. Obojętny. Potężny. – Rozgląda się po szarej hali, w której stoją kontenery na śmieci. – Wiesz, PS, żyjemy w betonowym świecie, musimy więc być jak beton, jeżeli chcemy przeżyć. To prawo natury. Psychiczna asymilacja.

– Słusznie – mówię. – Tak samo jest z przemocą. Oto zabezpieczenie, aby zachować zdrowie duchowe. Zupełnie jak piorunochron. Nie dopuszczać do siebie ciśnienia z zewnątrz, lecz odprowadzić je z powrotem na zewnątrz. Na przykład ta pluskwa. – Kilkakrotnie kopię wijącego się słabeusza, który przypadkiem znalazł się przed nami. – Myślała, że będzie nami rządzić, ale my od razu wybiliśmy jej te rządy z głowy. I to było najrozsądniejsze wyjście z sytuacji.

– Jasne. – Foxx uwielbia takie intelektualne dyskusje. – Przemoc to akt higieny emocjonalnej w okresie stresów. Dzięki niej uzyskuje się wewnętrzną czystość. To szybsze i skuteczniejsze, niż wizyta w gabinecie psychorehabilitacji. Zresztą jeszcze kilka lat, i sami psychoterapeuci zorientują się, że najlepszą terapią w dzisiejszych czasach jest przemoc. – Uśmiecha się. – Zobaczysz, że zaczną wydawać „Terapeutyczny Dziennik Przemocy".

Jeszcze kilka razy kopiemy naszą ofiarę, aby jej uzmysłowić, że to samo czeka w razie czego jej rodzinę, po czym oddalamy się, pokrzepieni na duchu.

To nam dobrze zrobiło, jak zwykle zresztą.

Biznes

– Co ci jest, Foxx? Czy coś się stało?

– Nie, nic – odpowiadam machinalnie, ale myślami błądzę gdzie indziej. Plastic Spastic spogląda na mnie z powątpiewaniem i mruczy coś.

Co mu mam odpowiedzieć? Może to, że jestem przytłoczony pięknością tego pomieszczenia? Proporcjami, nastrojem? Na pewno by mnie nie zrozumiał. Co do mnie, to myślę, że nie ma piękniejszego miejsca. Trzeba tylko poddać się jego działaniu.

Nasz podziemny garaż. Zimne natężenie tego geometrycznego sklepienia sprawia za każdym razem, że jestem jak na haju. Gdyby nasz boks postojowy nr 3 wstawić do muzeum, wszyscy mogliby się przekonać, jakie to wspaniałe dzieło sztuki. Przestronność, cisza, potęga betonu. Gołe lampy neonowe, cienie i półcienie. Ruchy i odgłosy na granicy postrzegania. Przeczucia tajnych obserwatorów. Subtelność strachu. A potem odgłos niewidocznych kroków.

– Nadchodzą – szepcze Godzilla.

Pierwszy potakuje. – Przygotować kamerę – mówi krótko.

Czerwone oko nad obiektywem wideokamery zapala się. Włączone reflektory halogenowe oblewają wszystko jaskrawym światłem.

W naszym kierunku przesuwa się połyskująca czerwienią ściana mgły. Wyłaniają się z niej nieforemne postaci, skryte pod białymi kombinezonami ochronnymi. Twarze okrywają oliwkowozielone maski przeciwgazowe. Uzbrojone w żyletki pałki kołyszą się w dłoniach.

Obcy. Najbardziej zabójcza banda z Neu-Perching.

– Niezły występ – kiwa z uznaniem głową Siegfried.

– Wyeliminujemy was. – Poprzez maskę przeciwgazową głos stojącego na przedzie Obcego jest zniekształcony, jakby nieludzki.

Tym samym Obcy wypowiedzieli nam wojnę. Bitwa może się już rozpocząć.

– Ścieżka dźwiękowa – mówi spokojnie Pierwszy.

Z głośników rozlega się głuche dudnienie; potężne, przenikliwe dźwięki, które sprawiają, że po krzyżu przebiegają mnie ciarki. A potem rozpętuje się elektroniczna burza, gigantyczne grzmoty, szum ulewy, powódź, dalekie, piskliwe jęki. Zagłada świata.

Zagłada czeka też Obcych. Nasze zainstalowane uprzednio armatki strażackie zalewają ich gęstą pianą, pokrywają szczelnie, czynią bezradnymi.

Spadamy na nich jak atomowy cios, błyskawicznie i skutecznie. Walimy w nich i walimy i walimy.

Po dwóch minutach Obcy są już tylko bezładną kupą nieruchomych postaci w sarkofagu z piany, która powoli zabarwia się na czerwono. Piękny, surrealistyczny widok. Cudownie kliniczny.

Pierwszy filmuje to z różnych stron, stosując zbliżenia i

najazdy kamerą, szczególnie tam, gdzie widać rozbitą maskę przeciwgazową albo złamaną rękę. To właśnie są zdjęcia, które warto oglądać. Brakuje już tylko podkładu dźwiękowego. Jakieś jęki czy odgłosy rzygania i byłoby naprawdę super.

– Zarobimy na tym sporo szmalu – mówi z przekonaniem Plastic Spastic. On też sprawia wrażenie zadowolonego.

– Ile takich kaset będziemy mogli sprzedać, jak myślisz? – pyta Godzilla.

Pierwszy wzrusza ramionami. – Jeżeli załatwimy dobrze kolportaż, to nawet ze 100 000.

– To może chwycić – przytakuję. – Na przemoc w filmach jest teraz duży popyt.

To prawda. Przemoc to dziś hit numer jeden. W kinie, w telewizji kablowej i na kasetach wideo. Pornografia zeszła jakby na plan dalszy. Przemysł oferujący przemoc święci triumfy. A ludzie są za to naprawdę wdzięczni. Kiedy wieczorem wracają oklapnięci do domów, po tych wszystkich stresach, mogą jeszcze przed kolacją skopać kogoś, zbić, pomaltretować, zmasakrować – w kolorze i na dużym ekranie. Dzięki temu ten czy ów może odzyskać z powrotem swoją równowagę wewnętrzną. Po to jednak, aby widz mógł się łatwiej wczuć, kręci się wszystkie sceny kamerą subiektywną, a więc z punktu widzenia komendanta obozu, mordercy-psychopaty lub specjalisty od przesłuchań. Oczywiście wszystko z zachowaniem zasad pedagogiki, jako szokujące dokumenty ludzkich zabłąkań. Hahaha!

No i właśnie w tym businessie kręcimy teraz. Niech inne gangi tłuką się dla sławy lub honoru albo nawet dla niczego, proszę bardzo. My zarabiamy na tym jeszcze sporo forsy. Na tym polega profesjonalizm. Dzięki temu możemy sobie pozwolić na różne ciuchy, płyty i sprzęt.

– Przydałoby się jeszcze trochę krwi – mówię. – To przyciągnie więcej widzów.

– Już się robi – Plastic Spastic uśmiecha się i wyciąga z kieszeni skalpel. – Dobre cięcie to w kinie rzecz najważniejsza.

Siła

Czcigodny pan doktor Werner Osterwald, burmistrz Neu-Perching, uśmiecha się do mnie promiennie i energicznie potrząsa dłonią, którą mu podałem.

– Moje najserdeczniejsze gratulacje i wszystkiego dobrego, panie... eee... Foxx – kończy wreszcie.

Trzyma moją dłoń w żelaznym uścisku tak długo, żeby wszyscy reporterzy zdążyli nas sfotografować. Pozostali członkowie Gangu Neonowego stoją obok mnie, wszyscy bardzo szykowni w swoich szarych garniturach i z przyklejonym do twarzy uśmiechem. Nasi starzy też tu siedzą, w tej wyłożonej tworzywem drewnopodobnym sali obrad na ratuszu i nic już nie rozumieją na tym świecie.

My zresztą też.

Uczyniono z nas siły porządkowe. Czcigodny pan doktor Werner Osterwald podniósł nasz gang do rangi Pomocniczego Oddziału Policji Miejskiej.

Tak jakoś ładnie powiedział: „Pełni inicjatywy, wytrwałości i niezbędnej do tego odwagi ci oto młodzi obywatele przeciwstawili się bandyckiemu terrorowi w Neu-Perching i – że się tak wyrażę – zrobili porządek z tutejszymi nihilistycznymi bojówkami. Krótki film o unieszkodliwieniu będących postrachem naszej dzielnicy Obcych, który każdy z nas obejrzał z satysfakcją, to widoczny dowód ich działalności dla dobra społeczeństwa. Będzie to więc słuszne i sprawiedliwe, jeżeli owym prywatnym akcjom damy błogosławieństwo władzy i zaangażujemy tych młodzieńców jako honorowy oddział porządkowy do ochrony obywateli, taki odpowiednik straży pożarnej, ale do utrzymywania porządku".

Zastanawiam się, czy rzeczywiście jest tak naiwny, jakby wskazywało na to jego przemówienie. Rzeczywiście rozprawiliśmy się z wszystkimi gangami w Neu-Perching, ale tylko po to, żeby udowodnić naszą klasę. A teraz okazuje się nagle, że jesteśmy wspaniałymi rycerzami z betonowej dżungli. Ale na tym właśnie polega polityka: wszystko zależy od interpretacji. Zresztą burmistrz gada z pewnością to, co mu podszepnął Kaminke.

Alfred Kaminke – ze swoim byczym karkiem, figurą zapaśnika i przesadnie eleganckim, skrojonym na miarę ubraniem – przypomina ciemnego typa z komiksów. I jest nim naprawdę. Nasz czcigodny prefekt policji. Zawadiaka starej daty, pnący do góry, aby znaleźć się u władzy. To on zrobił z nas pomocników szeryfa, gdyż jesteśmy mu potrzebni.

Teraz, po zakończeniu części oficjalnej, podchodzi do nas.

– Jak się macie, chłopcy – mówi. – Przypuszczam, że wiecie, komu zawdzięczacie to wszystko. Ale to dopiero początek. Możemy uczynić dla was o wiele więcej.

Mówiąc „My", ma na myśli Partię Narodowo-Etyczną, prawicową frakcję istniejącego systemu partyjnego, która z wielkim hukiem usamodzielniła się przed laty i w miarę upływu czasu stała się zbiorowiskiem wszystkich zdezorientowanych – co w dzisiejszych czasach oznacza niemal każdego. Dzięki chwytliwym hasłom o bezpieczeństwie wewnętrznym, potrzebie radykalnych posunięć i przeciwstawianiu się infiltracji obcego kapitału, zerwaniu z pomocą zagraniczną, zmniejszeniu podatków i rozbudowie programu jądrowego zdobyli taką liczbę zwolenników, że mogli liczyć na pomyślny dla siebie wynik wyborów jesienią 1992 roku. Mówi się, że Kaminke zostanie wtedy ministrem spraw wewnętrznych. Ale przedtem musi się jeszcze rozprawić z kilkoma niewielkimi gniazdami oporu.

– Panu potrzebna jest bojówka PNE – mówię bez ogródek. Niech wie, że my wiemy, co tu jest grane.

– Powoli, powoli – uśmiecha się Kaminke. – Po co takie ostre słowa? Określmy to tak: to, czego potrzebujemy, to cwani chłopcy z trzeźwym spojrzeniem na świat, z inicjatywą, dużą siłą przebicia i – uśmiecha się jeszcze szerzej – zapałem.

– Czy pan... czy my.... dojdziemy do władzy? – pyta Plastic Spastic.

– Nie ma obawy, PS – oczy Kaminke zamieniają się w wąskie szparki. – Czas dojrzał dla nas. Ludzie mają już dosyć szoku związanego z zanieczyszczeniem środowiska naturalnego, kryzysów na półkuli północnej, energetycznych szantaży chciwych poganiaczy wielbłądów, recesji, tego całego bałaganu. Dziś pragną już tylko silnej ręki i przejrzystego, prostego punktu widzenia. To właśnie znajdą u nas. Może nie mamy jeszcze programu, jeżeli chodzi o kwestie natury zasadniczej, ale nie to jest najważniejsze. To, czego potrzebujemy przede wszystkim, to zdrowe emocje zamiast technokracji.

– Brawo! – woła Siegfried z zachwytem. Widać po nim wyraźnie, że ma ochotę stanąć na baczność.

Kaminke uśmiecha się do niego przyjaźnie, a potem staje się raptem oficjalny. – Powierzymy panu dobrą funkcję w organach bezpieczeństwa. Panu też, panie Sedelmaier. – Godzilla sztywnieje. – A wy, panowie – zwraca się do Pierwszego, PS i do mnie – obejmiecie wkrótce w naszej organizacji partyjnej ważne funkcje. Początkowo w strukturach niższych, ale nie na długo. Macie panowie dokładnie tę mentalność, jaka jest nam potrzebna. Z pewnością zajdziecie wysoko.

Patrzymy po sobie, wszyscy ubrani na szaro, i wiemy, że dopięliśmy swego. Dlatego, że byliśmy przystosowani do nowych czasów lepiej niż inni. Tak już jest, że w świecie, który schodzi coraz bardziej na psy, trzeba zważać przede wszystkim na to, aby zapewnić sobie jak najwięcej korzyści. Każdy dla siebie i każdy przeciw wszystkim.

Jeszcze trochę i staniemy się ostatecznie języczkiem u wagi. A wtedy my będziemy kształtować przyszłość.

Wspaniałą, szarą przyszłość.

Przełożył **Mieczysław Dutkiewicz**

* Giorgio Chirico – malarz włoski pozostający pod wpływem neoromantycznego malarstwa niemieckiego. Malował przepojone atmosferą tajemniczości widoki opustoszałych miast, dziwne postacie, tworzył surrealistyczne dekoracje teatralne. (przypis tłum.)

Jana Moravcova

Koniec sporu



Janusz Wieczorek

Cały spór, który miał takie zaskakujące zakończenie, został na szczęście zarejestrowany. Zresztą, gdyby nawet nie zachowały się wszystkie dokumenty, i tak przebieg sporu można by w większej części odtworzyć.

Po raz pierwszy Jon i Vek starli się podczas badań płytkich wód oceanów. Jon zażądał wówczas, by włączono go do ekspedycji mającej zająć się w pierwszym rzędzie badaniami życia delfinów. Zadanie to w owym czasie było niełatwe – naukowcy mieli podjąć próbę stwierdzenia, na jakich głębokościach delfiny przebywają i jak wpływa to na ich życie.

Oczywiście Jon miał zawsze skłonność do przeceniania inteligencji delfinów. Bezustannie gromadził informacje o ich życiu, zapuszczał się za nimi do niebezpiecznych stref oceanu. Częstokroć musiał używać tam skomplikowanych przyrządów ochronnych i przeróżnych skafandrów, bowiem różnica ciśnień wody sprawiała mu coraz więcej trudności.

Vek był przeciwny tym praktykom. Po pierwsze dlatego, że sam nie przykładał tak wielkiej wagi do kwestii delfinów, a po drugie dlatego, że zdrowie Jona naprawdę było zagrożone tym ustawicznym awanturnictwem. Jon wracał z tych wypraw coraz bardziej zmęczony, w końcu musiał nawet zostać dni kilka pod nadzorem lekarzy, którzy stwierdzili prawie całkowite wyczerpanie organizmu. Wydawało się, że była to już ostatnia wyprawa Jona, ale wykaraskał się z tego i jak tylko doniesiono mu, że szykuje się nowa ekspedycja, natychmiast poprosił o możność wzięcia w niej udziału.

Odmówiono mu.

I wtedy wystąpił na posiedzeniu ze swoją hipotezą, która zbulwersowała większość uczestników.

Oświadczył, że w oparciu o swoje obserwacje doszedł do wniosku, iż jest na tropie drugiej cywilizacji na naszej planecie.

– Ma pan na myśli delfiny – nie spytał, a raczej skonstatował Vek.

– Nic podobnego. Mam na myśli istoty, dla których na razie nie mamy nazwy. – I Jon przyznał, że w ostatnim okresie wcale nie badał życia delfinów, ale próbował z ich pomocą przeniknąć do obszarów, gdzie obce istoty, w świetle jego poglądów, mogły występować.

– Przypuszcza pan, że żyją w płytkich wodach oceanów? – zapytał Vek, który natychmiast przyjął w stosunku do hipotezy Jona ironiczną postawę.

– Nie wiem. Znalazłem tam jednak pewne ślady. Na myśl, że takie istoty istnieją w rzeczywistości naprowadziły mnie delfiny. Próbowałem niezliczoną ilość razy nawiązać z nimi kontakt, ale muszę

lojalnie przyznać, że pod tym względem kilku moich kolegów miało więcej powodzenia. Inteligencja delfinów jest wysoka, w to nigdy nie wątpiłem, ale pewnego razu doświadczyłem czegoś, co naprowadziło mnie na myśl, że właściwie nie wiemy, co jest za nimi... za delfinami... jeżeli mnie rozumiecie.

– Niezbyt – odpowiedział Vek.

– Wobec tego jaśniej: delfiny cechuje stosunkowo wysoka inteligencja. Jednak w wodzie może występować stworzenie, postawione na znacznie wyższym stopniu rozwoju umysłowego.

– Teoretycznie tak – przyznał Vek. – Ale w rzeczywistości jest to mało prawdopodobne. Pomyślcie – nasza technika jest dziś tak doskonała, że tego rodzaju istotę dawno już byśmy odkryli.

– Ależ dlaczego? – zdziwił się Jon. – Może dzielą nas przeszkody nie do pokonania... dotychczas nie do pokonania – poprawił się. – Na przykład głębokość oceanów. Różne organizmy przystosowane są do różnych ciśnień – z tym, niestety, sam się w ostatnim okresie zaznajomiłem aż nadto dokładnie – zauważył Jon.

– Szanuję odwagę, jaką pan wykazuje ryzykując własnym życiem – powiedział Vek – ale wątpię w praktyczny sens pańskich prób. Mówił pan o tym, że napotkał pan jakieś ślady istot rozumnych – czy mógłby pan zdradzić trochę szczegółów?

– Po raz pierwszy zostałem na tę myśl naprowadzony właśnie podczas badań życia delfinów. Spędzałem kilka dni w pobliżu ich stada. Śledziłem je ze swego statku – lub też obserwowałem, jak zwykle, lunetą z pokładu. Powtarzałem wcześniejsze próby. Wysłałem promienie V, powtarzałem sygnały i czekałem na ich reakcje. Delfiny wydawały mi się bardziej podniecone niż zwykle, poruszały się jakoś odmiennie, reagowały w nieoczekiwany sposób i śledzenie ich było bardzo uciążliwe. Nagle do stada dołączył nowy delfin. Wydawało się, że coś mówi pozostałym...

Vek rozejrzał się wokół znacząco.

– Mówiąc ściślej – poprawił się Jon – miałem wrażenie, że przekazuje coś pozostałym delfinom. Krążyły wokół niego – wyjaśniam zresztą, że ze zrozumiałych powodów nie miałem możności obserwować ich przez cały czas... po chwili ponownie wysłałem sygnał. Nowy delfin zareagował natychmiast. Odpowiadał. Doświadczenie powtórzyłem kilka razy... Wtedy właśnie odniosłem wrażenie, że był wyszkolony. Oczywiście wiedziałem, że dotychczas nikomu z moich kolegów nie udało się osiągnąć tego, aby delfin reagował w taki sposób... a mianowicie – powtarzał moje sygnały, usiłował przedostać się do ich źródła. Jestem osobiście przekonany, że próbował zrozumieć sens nadawanego kodu i nawiązać ze mną dialog – nawet jeśli wam się to wydaje przesadzone. Takich rezultatów jeszcze nikt z nas nie uzyskał. I wtedy wpadłem na myśl... że mógł być wyszkolony przez kogoś innego. Kogoś – jak to określiłem – z drugiej strony.

– To była pierwsza hipoteza. Wkrótce potem, podczas jednej z wypraw, znalazłem resztki jakiejś jednostki pływającej. Czegoś podobnego nikt z mojej załogi nigdy w życiu nie widział. Nie było to podobne do czegokolwiek co wytworzyliśmy my, ba, i materiał pochodził jakby z innego świata...

– Ależ proszę pana – rzekł z wymówką Vek – woda dokonuje cudów. Jak długo nie przedstawi się takiej rzeczy do analizy, nie można polegać na tym co się widziało. Zwykły kamień oblepiony rzęsą wygląda niekiedy wprost fantastycznie, czyż nie zauważył pan tego?

– Wiem o tym – potwierdził Jon. – Dlatego pragnę wziąć udział w nowej ekspedycji. Spróbuję przywieźć bezsporny dowód. Wiem już gdzie należy szukać. Jest to obszar niebezpieczny, ale myślę że warto podjąć ryzyko.

– Doceniam pana dobrą wolę i fantazję – nadmienił Vek – ale uważam, że pana informacje nie wychodzą poza ich granice.

– Wobec tego sugeruję, aby się pan zwrócił do załóg statków poprzednich ekspedycji. Na pewno opowiedzą panu o przedziwnych przedmiotach, które niekiedy widują w wodzie. Na pewno powiedzą o nieznanych statkach, których ruchy rejestrowane były najczulszymi przyrządami i o sygnałach, które niekiedy udaje się złapać.

– Ależ tak – zgodził się Vek. – Takie rzeczy opowiada się chyba na wszystkich pokładach wszystkich flot świata. Niezidentyfikowany obiekt – a potem okazuje się, że było to skupisko wodorostów, nieznany statek zarejestrowany przez najczulsze instrumenty – a może to być ławica ryb, sygnały zaś mogą być wywołane przez normalne jarzenie drobnych morskich żyjątek...

– Mogą, oczywiście, to wszystko może być, jak pan rozsądnie mówi. Ale tylko może! A jeśli tak nie jest ? Czyż nie możemy ani razu założyć, że to może być coś innego? Znajdujemy najprostsze albo wymagające najmniejszego wysiłku wyjaśnienie – i tego się trzymamy. Zbyt jesteśmy zarozumiali. Zakładamy, że jesteśmy najdoskonalsi i że nasza technika musiałaby już dawno odkryć inne inteligentne stworzenia. Tylko że wszystko przyrównujemy do siebie! Nie dopuszczamy myśli, że te rozumne istoty mogłyby żyć w całkowicie innym środowisku, że mogłyby wyglądać inaczej niż my, że po prostu byłyby inne! Wszystko wiemy – wobec tego i to, że w innym środowisku nikt nie może oddychać, że tam nie można widzieć, że tam po prostu nie można egzystować! Ale ja się pytam – dlaczego myślimy, że właśnie tak jest? Skąd nabraliśmy tyle pewności siebie i tyle samozadowolenia? Czyżbyśmy tak doskonale opanowali prawa natury? Nie! My ledwo, ledwo poznaliśmy własne prawa – i na nich ciągle bazujemy!

Jon zamilkł i dopiero po chwili – już spokojniej – dodał:

– Jest jeszcze jeden dowód, który mnie skłonił do tego poglądu. Przypuszczam, że widziałem... część ciała tej istoty. Prawdopodobnie zginęła gdzieś w pobliżu mojego statku.

– Skąd pan wie, że to była... – żachnął się Vek, ale potem spasował. – Nie ma sensu z panem dyskutować. Stawiam wniosek, aby kolega Jon został włączony do nowej ekspedycji – dodał i w tej chwili dopiero zdał sobie sprawę z tego, że przez cały czas zebrania tylko oni dwaj dyskutowali.

Tak więc prośba Jona została załatwiona pozytywnie. Oczywiście nie dlatego, iż przeciągnął pozostałych na swoją stronę. Wręcz przeciwnie. Uraził ich swoim wystąpieniem, wzburzył, ale wszyscy zgadzali się: niech jedzie! Szaleńcowi nie ma co przeszkadzać w samobójczej próbie. Chce uzyskać dowód? Myśli, że to takie łatwe i że wszyscy pozostali są ograniczonymi głupcami? Niech sobie jedzie!

Dowódca ekspedycji dostał polecenie, by dał Jonowi wolną rękę. Z jednym zastrzeżeniem: nikt z pozostałych członków ekspedycji nie może być postawiony do jego dyspozycji. Sam może przedsięwziąć na co tylko ma chęć, o ile nie narazi przy tym na niebezpieczeństwo innych.

Jon był szczęśliwy. Zażądał jedynie przydzielenia własnego „batyskafu", jak nazywano jeden z typów ministatków, i poprosił aby go wysadzono z pokładu ekspedycyjnego statku w ściśle określonym akwenie oceanu.

Dowódca ekspedycji osobiście sprawdził, czy komora dekompresji batyskafu jest w całkowitym porządku i że przyrządy oraz nadajnik działają bez zarzutu – po czym się z Jonem pożegnano.

Wtedy właśnie widziano go po raz ostatni. Przyrządy śledzące batyskaf Jona zarejestrowały, że oddala się szybko. Następnie zarejestrowano ruchy, które mogły oznaczać, że do stateczku Jona zbliża się kilka innych wielkich obiektów. Potem powstało jakieś zamieszanie, przyrządy reagowały dziwnie, wyglądało to tak jakby doszło do zderzenia. Po chwili jednak wszystko się uspokoiło i przyrządy znowu zaczęły działać normalnie. Ale nadajnik Jona milczał.

Nagle ktoś z załogi wykrzyknął. Zobaczyli odłamek zdruzgotanego batyskafu Jona. A w ślad za tym coś zdumiewającego: była to zapewne istota żywa. Miała cztery kończyny – dwie nagie i dwie czymś ściśle okryte. Głowa była częściowo pokryta włosami, z przodu było wyraźnie widać dwoje oczu, otwór gębowy i jakiś wyrostek.

– Biedny Jon, dostarczył swój dowód – powiedział dowódca ekspedycji – przeczuwałem, że zechce się zapuścić aż tak daleko. Wyłówcie to – polecił, wskazując w kierunku opadającego ciała. – Weźmy je ze sobą.

– Ta istota jest martwa – zameldował po chwili jeden z członków załogi.

– Zabierzemy ją – powtórzył dowódca – ale co z Jonem?

Członkowie ekspedycji długo jeszcze czekali, choć przecież już dawno widzieli szczątki stateczku Jona. A bez niego Jon nie miał szans przeżycia.

A potem wreszcie pogrążyli się z powrotem do bezpiecznych głębin oceanu.

Zebrani naukowcy doszli do wniosku, że egzystencję żywych istot nad powierzchnią oceanu można uznać za dowiedzioną.

Vek sceptycznie dorzucił, że co do stopnia rozwoju tych istot i możności nawiązania z nimi kontaktu dowodu oczywiście nie przedstawiono.

Przełożył **Zbigniew Jonszta**

Czy to możliwe, żeby był agentem Chaosu? Owszem, jednak podświadome wspomnienia, którym Holger wierzył w coraz większym stopniu, zdawały się twierdzić co innego. Spróbował postawić się w sytuacji Maura: wędrował, szukając bez powodzenia jakiegoś ważnego człowieka, z jakichś ważnych powodów, a potem spotkał innego błędnego rycerza, opowiadającego raczej naciągane historyjki. Tak, wspomnienia podpowiadały mu, że Carahue miał właśnie taki typ umysłu – niepowstrzymanie ciekawy, pragnący wyjaśnić wszystko wokół siebie. Poza tym Saracen mógł się domyślić, że sir Rupert z Graustark miał jakiś związek z osobą, której poszukiwał, być może wiedział nawet gdzie ta osoba się znajduje. A gdyby nawet te przypuszczenia okazały się nieprawdziwe, północne wyżyny same w sobie były warte przeszukania. W każdym więc przypadku Carahue miał uzasadnione powody, żeby trzymać się sir Ruperta.

– Bardzo mi zależy na zaszczycie towarzyszenia ci, panie – ponaglił Saracen. – A jeszcze bardziej, oczywiście, na twym, czarująca pani, towarzystwie. Tak mocno tego pragnę, że jeśli w swej wielkiej łaskawości wyrazicie zgodę, będę nalegał, żebyście byli mymi gośćmi od początku swego tutaj pobytu... Nie, nie, nie protestujcie, nie będę tego słuchał.

Holger i Alianora popatrzyli na niego i w spojrzeniu, którym im się odwzajemnił dostrzegli ślad ironii. Musiał być doskonale świadomy tego, że są bez grosza i w duchu zapewne śmiał się w kułak. A jednak trudno było się oprzeć perspektywie spokojnego opuszczenia miasta, bez konieczności narażania się na awanturę z właścicielem gospody.

– Dobrze! – Holger wyciągnął dłoń. Carahue ujął ją. – Czy przyrzekniemy sobie przyjaźń?

– Tak. Na mój rycerski honor.

– I na mój. – Holger czuł, że podjął właściwą decyzję. Carahue prawdopodobnie dotrzyma przyrzeczenia, przynajmniej do końca podróży. A gdy on, Holger, położy swą dłoń na Cortanie, Saracen przestanie być liczącym się przeciwnikiem.

– Nagie są plecy, gdy nie ma przyjaciela – powiedział impulsywnie.

Carahue podskoczył.

– Gdzie to słyszałeś? – spytał z napięciem.

– Co? Nigdzie, tak mi przyszło do głowy. Czemu pytasz?

– Znałem kiedyś człowieka, który zwykł tak mawiać. Prawdę mówiąc to ten, którego poszukuję. – Oczy Carahue przez chwilę spoczywały na nich uważnie, potem je odwrócił. – Chodźmy coś zjeść i przygotować się do wyjazdu. Myślę, że jutrzejszy ranek będzie na to najlepszy, hm?

Był bardzo zajmującym towarzyszem posiłku, żartował, śpiewał, snuł nieco ryzykowne wspomnienia. Potem razem z Holgerem sprawdzili swój ekwipunek. Zbroja Carahue składała się ze stalowego pancerza, rozszerzonego w ramionach i wymyślnie grawerowanego, szpiczastego hełmu z czepcem z kolczej plecionki oraz nagolennic, zakładanych na wierzch wysokich butów z miękko wyprawionej skóry. Jego tarcza nosiła znak sześcioramiennej gwiazdy, srebrnej na błękicie, w obramowaniu czerwieni ze złotymi liliami. Wśród jego broni znajdował się łuk wraz ze strzałami. Dosiadał smukłej, białej klaczy. Ciemnobrązowego wałacha Alianory ocenił jako dobrego konia, ale dodał, że lepiej będzie, jeżeli postarają się również o muła, na którym mógłby jechać Hugi z zapasami żywności. Pozostałą część popołudnia spędził na targowaniu cen rzeczy, które musieli dokupić.

Położyli się wcześnie, jednak Holger jeszcze przez godzinę nie mógł zasnąć. Wiedział, że mimo wszelkich środków ostrożności Morgan le Fay dowie się o celu jego podróży, jeżeli już nie wiedziała – i będzie się starała jakoś im przeszkodzić.

Rozdział X

Wróg odszedł przed świtem. Hugi powiedział, że bestie śpieszą się, gdyż muszą na czas dotrzeć do swoich siedlisk. Holger zastanawiał się jaka część światła słonecznego jest dla nich tak nieznośna. Promieniowanie aktyniczne? Jeśli tak, chciałby teraz mieć lampę ultrafioletową.

Hej, chwileczkę! To wyjaśniało zagadkę magnezowego sztyletu Alfrika. Tylko przypadkowo była to broń o takim kształcie. W potrzebie, mocno przyciśnięty przez swych rywali ze Środkowego Świata, książę mógł zapalić magnezowe ostrze. Jelec chroniłby jego dłoń przed intensywnym promieniowaniem ultrafioletowym, drugą ręką niewątpliwie naciągnąłby coś na twarz, płaszcz lub cokolwiek innego. Jego przeciwnikom nie pozostawałoby nic, poza ucieczką. No cóż, również śmiertelnikowi może się przydać taka nadzwyczajna pomoc.

Nie wyspawszy się w nocy, Holger, Hugi i Alianora zdrzemnęli się dwie czy trzy godziny przed śniadaniem. Po przebudzeniu Duńczyk stwierdził, że jest zupełnie nagi. Otrzymane w Faerie ubranie zniknęło. To było dość małostkowe ze strony Alfrika, pomyślał. Na szczęście Alianora ciągle spała – nie przypuszczał, żeby była szczególnie skrępowana, ale on na pewno nie czułby się najswobodniej. Ubrał się pośpiesznie w poprzedni strój podróżny, wkładając również kolczugę i hełm.

Bardziej odświeżeni niż mogliby przypuszczać, przygotowali się do dalszej drogi. Alianora ciągle dosiadała jednorożca. Dla Holgera pozostawało zagadką, w jaki sposób dziewczyna panuje nad tym płochliwym zwierzęciem.

– A teraz dokąd powinniśmy jechać? – spytał.

– Wiem tylko – odpowiedziała – że najlepiej zrobimy, szukając ludzkich siedzib. Teraz z pewnością już całe Faerie zaczęło na ciebie polować, Holger – zwróciła się do niego po imieniu, uśmiechając się przy tym z uwielbieniem – ale istoty pozbawione duszy nie mogą podejść blisko kościoła, więc będziemy mogli choć chwilę odetchnąć. Potem jednak musimy szukać ochrony potężnej, białej magii.

– Gdzie?

– Znam pewnego czarodzieja, mieszka w mieście Tarnberg. Ma dobre serce i posiadł pewne umiejętności. Myślę, że właśnie tam, do niego, powinniśmy się udać.

– Dobrze. Ale co będzie, jeżeli ta lokalna gwiazda stwierdzi, że nie może stawić czoła graczom pierwszej ligi?

Zauważył, że w jej pełnym uwielbienia wzroku zaczyna malować się niezrozumienie, więc pośpiesznie wyjaśnił:

– Chciałem powiedzieć, jeżeli ten lokalny praktyk nie będzie mógł sprostać takim mistrzom, jak Alfrik czy Morgan le Fay?

– Wtedy chyba powinieneś ruszyć do Imperium. Leży daleko na zachodzie, droga jest długa i niebezpieczna, ale oni chętnie przyjmą silnego rycerza. – Westchnęła, jej oczy się zamgliły. – A od czasów Karola nie było tam równego tobie.

– Jakiego Karola? Kim on był? – spytał. – Słyszałem już to imię.

– To przecież założyciel Świętego Imperium. Król, który zbudował potęgę chrześcijaństwa i zepchnął Saracenów z powrotem do Hiszpanii. Charlemagne, Carolus Magnus, na pewno o nim słyszałeś.

– Mmmmm... może i słyszałem. – Holger poszukał w pamięci. Trudno mu było określić jaka część jego wiedzy była wynikiem wykształcenia, a jaka pochodziła z tych niewytłumaczalnych wspomnień, które coraz częściej się w nim odzywały. – Masz na myśli Karola Wielkiego?

– Niektórzy właśnie tak na niego mówią. Widzę, że jego sława sięgnęła nawet twojej Południowej Karoliny. Mówi się, że miał przy sobie wielu dzielnych rycerzy, ale ja słyszałam tylko opowieści o Rolandzie. Tym, który padł w wąwozie Roncesvalles.

Holgerowi zakręciło się w głowie. Czyżby naprawdę był w przeszłości? Nie, to niemożliwe. Ale przecież Karol Wielki niewątpliwie był postacią historyczną.

Ach, przypomniał sobie. Cykl karoliński, *chansons de geste*, późniejsze średniowieczne romanse i ludowe ballady. Tak, to pasowało. Magiczna kraina i Saraceni, panny-łabędzice i jednorożce, czarnoksięstwo i Wzgórze Elfów, Roland i Oliver – rany Boskie! Czyżby w jakiś sposób znalazł się w... książce?

Nie, to nie miało żadnego sensu. Najrozsądniej było w dalszym ciągu trwać przy założeniu, że jest to inny wszechświat, w pełni ukształtowane czasoprzestrzenne continuum ze swoimi własnymi, odmiennymi od znanych mu prawami. Jeżeli założy się istnienie dostatecznie wielkiej liczby takich wszechświatów, któryś z nich musi pasować do każdego przyjętego wzorca, choćby ten wzorzec opierał się na prerenesansowych europejskich mitach.

Chyba jednak nie mogło to być aż tak proste. Zbyt wiele z jego własnych wspomnień i wiedzy miało swoje tutejsze odpowiedniki, a więc nie został przeniesiony bez przyczyny i gdziekolwiek, do jakiegoś przypadkowego kosmosu. Wynikało z tego, że istniał jakiś związek między tym a jego rodzinnym światem. Podobieństwa nie ograniczały się tylko do geografii i astronomii, dotyczyły również historii. Tutejszy Karol mógł nie być identyczny z jego Karolem Wielkim, ale obaj odgrywali podobne role w historiach swoich światów. Bardowie, wieszcze, poeci i różni inni pismacy w jakiś podświadomy sposób byli dostrojeni do siły, łączącej oba te kosmosy – tomy opowieści, które z biegiem czasu stworzyli, lepiej relacjonowały rzeczywistość, niż sami przypuszczali.

Niewątpliwie w grę wchodziły nie tylko dwa continua. Być może wszystkie, jakie istniały. Każdy z niezliczonych gwiezdnych wszechświatów mógł być tylko innym fasetem tej samej transcendentnej egzystencji. Holger nie zagłębiał się zbytnio w tę hipotezę. Na odpowiedź czekały bardziej konkretne pytania. Co jeszcze potrafił zidentyfikować w tym świecie?

Hugi mówi o Morgan jako o siostrze króla Artura. Tego Artura! Zaczął żałować, że nie czytywał starych mitów bardziej uważnie – miał o nich tylko mętne, nabyte w dzieciństwie wyobrażenie.

A co do reszty, przekonajmy się – wśród paladynów Karola byli Roland i Oliver i Huon i... prrrr! Skąd ja pamiętam Huona? Stanęła mu przed oczyma ciemna, dziwna twarz, przypomniał sobie sardoniczny humor, który tak często irytował innych. Huon de Bordeaux, tak, w końcu odszedł i został królem, księciem czy czymś tam w Faerie. Ale skąd to wszystko wiem?

Tok jego rozmyślań przerwało basowe mamrotanie Hugiego. Wspomnienia, już niemal uchwytne, znowu skryły się gdzieś w zakamarkach pamięci.

– Wesołą drogę mieć będziem, kiej każdej nocy przyjdzie nam słuchać wycia tych ichnich długonogich bestii.

– Nie, nie sądzę, żeby nadal próbowali tego samego – odpowiedziała Alianora. – Żaden to dla nich pożytek, szczególnie teraz, kiedy muszą zająć się zbieraniem oddziałów na wojnę. – Zmarszczyła brwi. – Jednak pewnie spróbują czegoś innego. Alfrik nie należy do takich, którzy łatwo wypuszczają zdobycz.

Ta myśl nie była najprzyjemniejszym towarzyszem podróży.

Wdrapali się wyżej na wzgórza, zmierzając, według wskazówek dziewczyny, na północny wschód. Do południa zaszli już dość wysoko. Widzieli daleko w każdą stronę, sięgając wzrokiem od oddalających się ciemności Faerie do potężnych, nagich wzniesień, przez które będą musieli się przeprawić, i prosto w dół, w głąb kanionów huczących spienionymi wodami lodowcowych strumieni. Po bladym niebie gnały postrzępione kłaczki chmur, światło było zimne i jaskrawe.

Zatrzymali się na obiad, znajdując schronienie u stóp stromej skarpy. Holger, z trudem rwąc zębami kromkę twardego jak kamień chleba i kawał gumiastego sera, nie mógł powstrzymać się od narzekania.

– Czy Dania jest jedynym krajem, w którym ludzie wiedzą jak się robi porządne kanapki? Jeśli tylko dalibyście mi trochę cienko pokrojonego pumpernikla, niewielką krewetkę, jajka i...

– To ty także umiesz gotować? – Alianora spojrzała na niego z czcią.

– No, niezupełnie, ale...

Przysunęła się blisko i przylgnęła do jego ramienia. Był tym trochę zakłopotany, gdyż przyzwyczaił się do myśli... czy też złudzenia... że inicjatywa należy do mężczyzny.

– Jak się nadarzy okazja – zamruczała – znajdę co ci jest potrzebne i urządzimy sobie ucztę, tylko we dwoje.

– Hmm – powiedział Hugi – tak sobie myślę, że pójdę popatrzeć jaka pogoda.

– Hej, wracaj! – krzyknął Holger, ale krasnolud już skrył się za pobliskim występem skalnym.

– Nie, nie, nic już nie mów. Nie śmielibyśmy wymagać większej pomocy ponad tę, której już nam udzieliłeś. Do widzenia, szlachetny człowieku. – Alianora ucałowała go w policzek i zanim zdołał ochłonąć wypchnęła Holgera za drzwi.

Kobiety! – pomyślał Duńczyk.

Po powrocie do gospody spotkali Carahue, przechadzającego się po podwórzu. Podszedł do nich i ukłonił się.

– Wasz krasnoludzi towarzysz wspomniał, że wkrótce podejmiecie swą podróż na nowo – powiedział.

– Tak – odpowiedział Holger. Zauważył kose spojrzenie, którym obrzucił ich właściciel gospody i dodał – Być może.

Carahue pogłaskał się po brodzie szczupłą, zdobną w pierścienie dłonią.

– Czy będę zbyt śmiały, pytając w którą udajecie się stronę?

– Na północ, jak przypuszczam.

– Na te dzikie obszary? Przygoda godna pieśni, jeżeli tylko przeżyje ktokolwiek, kto będzie mógł o niej opowiedzieć.

– Mówiłem ci, panie, że złożyłem śluby – mruknął Holger.

– Och, wybacz, przyjacielu – powiedział Carahue. – Nieuprzejmym byłoby dalsze wypytywanie o to, o czym nie chcesz mówić, jednak czy mogę służyć ci pewną radą? Jeżeli pragniesz zachować swój cel w tajemnicy, nie zostawiaj ludziom tak dużego pola do snucia przypuszczeń. Łatwo im będzie rozpuścić języki, jeśli nie będą ich krępować żadne konkretne fakty. I tak niektórzy mogą utrzymywać, że podjąłeś się rycerskiego czynu, jak zabicie jednego z trolli, które tamte wzgórza nawiedzają i często – jak słyszałem – porywają i pożerają ludzi. Chociaż miejscowi, z którymi zamieniłem parę zdań twierdzą, że ich zabicie jest niemożliwe. Inni z kolei mogą się upierać, że sir Rupert wyruszył, żeby wyzwać króla pogan. Jednak ponieważ chłopski rozum jest taki, jaki jest, większość będzie twierdziła, że poszukujesz złotego skarbu, zakopanego gdzieś w tamtych stronach. No dobrze, powiedzą inni, ale jak te wszystkie zamierzenia pogodzić z obecnością młodej damy u twego boku? Więc ludzie będą mleć ozorami w każdej wolnej chwili i plotka rozniesie się jak pożar po stepie. Jeśli tego nie chcesz, musisz wymienić jakiś cel konkretny, najlepiej tak niesamowity, że ludzie będą woleli w ogóle o nim nie myśleć.

Alianora połknęła haczyk.

– O, ta podróż jest wystarczająco dziwna – powiedziała szczerze. – Do przeklętego kościoła Świętego Grimmina.

– Przysiągłem odbyć pielgrzymkę w to miejsce – Holger próbował ratować co się da – żeby, hmm, ocalić kościelny dobytek, który tam jeszcze może się znajdować. A wolę o tym za wiele nie mówić, gdyż jest to, hmm, pokuta za czyn, którego wolałbym nie pamiętać.

– Ach, tak. Wybacz mi, proszę. – Wzrok Saracena spoczywał na nim nieruchomo. – A wiesz, panie, że są to rejony, w których dotychczas nie prowadziłem poszukiwań? Wydawało mi się, że jest mało prawdopodobne, żeby mój człowiek mógł się tam pojawić. Jednak teraz twoje słowa wzbudziły we mnie wątpliwości, czy rzeczywiście tam nie powędrował. Poza tym, jeśli będę mógł pomóc w zbożnym przedsięwzięciu, być może mój kredyt w Niebiosach wzniesie się ponad obecny, pożałowania godny poziom. Dobre towarzystwo skraca podróż, nie wspominając już o tym, że czyni ją mniej niebezpieczną. Może więc moglibyśmy wyruszyć razem?

Alianora i Holger wymienili spojrzenia. *Ty go znasz*, mówiły jej oczy, *więc ty musisz decydować.*

Holger wahał się.

– Na niebezpieczeństwo narażone będą nie tylko nasze ciała – powiedział. – Przypuszczam, że możemy natknąć się na czarną magię.

Carahue machnął niedbale ręką.

– Twój miecz jest prosty, a mój zakrzywiony. – Uśmiechnął się. – Więc między nie powinien pasować wróg o każdym kształcie.

Holger potarł policzek. Niewątpliwie przydałby mu się jeszcze jeden człowiek. Wiedział jednak, że Carahue musi mieć własne powody, żeby się tak wpraszać do ich towarzystwa.



Grzegorz Komorowski

– Hugi to dobra dusza – powiedziała Alianora. Otoczyła ramionami szyję Holgera. – Wie, kiedy dziewczyna potrzebuje pocieszenia.

– Słuchaj... jesteś bardzo ładna i bardzo cię lubię, ale... Ale. To znaczy... Och, do diabła z tym. – Holger przycisnął ją do siebie.

Hugi wylądował niemal na ich kolanach.

– Smok! – wrzasnął. – Smok tu leci!

– Hę? – Holger skoczył na równe nogi, zrzucając Alianorę. – Co? Gdzie?

– Smok, ognisty potwór, och, och, Alfrik go zesłał i już po nas! – Hugi zawisł na nogach Holgera. – Ratuj nas, wielki rycerzu! Czyż zabijanie smoków nie jest twoim rzemiosłem?

Papillon parsknął i zadrżał. Jednorożec już uciekał. Alianora pobiegła za nim, gwiżdżąc. Zatrzymał się na chwilę wystarczającą, żeby wskoczyła na jego grzbiet, potem zniknął. Holger chwycił Hugiego, skoczył na Papillona i pogalopował za Alianorą.

Zobaczył smoka, gdy wjechali na szczyt skarpy. Potwór nadlatywał z południa, był w odległości nie mniejszej niż pół mili, ale w uszy Holgera już uderzył grzmot, z jakim biły jego skrzydła. Ma co najmniej pięćdziesiąt stóp długości, pomyślał w przypływie paniki. Pięćdziesiąt stóp okrytych pancerną łuską mużułów, głowa wielkiego węża, która może go połknąć w dwóch kęsach, błoniaste skrzydła, stalowe pazury. Nie musiał popędzać Papillona. Koń był oszalały ze strachu i biegł niemal równie szybko jak jednorożec. Spod jego podkutych kopyt tryskały skry. Jednak tętent podków na skałach tonął w coraz bliższym huku smoczych skrzydeł.

– Ojojoj! – zawodził Hugi – Upieczeni będziem, usmażeni!

Smok poszybował w dół, doganiając ich z upiorną szybkością. Holger znów się obejrzał – zobaczył płomienie i dym, wydobywające się z zębatej paszczy. Przez jedną obłąkaną chwilę zastanawiał się nad smoczym metabolizmem. I jaka poprawka do praw grawitacji pozwalała takiej masie frunąć? W nos uderzył go odór dwutlenku siarki.

– Patrz tam! – Okrzyk Alianory przypłynął z góry stoku. Holger spojrzał w stronę, którą wskazywała i w pobliskim urwisku zobaczył wąskie wejście do jaskini. – Tam za nami nie pójdzie!

– Nie! – ryknął. – Tylko nie tam! To pewna śmierć!

Rzuciła mu przestraszone spojrzenie, ale posłusznie skierowała jednorożca w drugą stronę. Holger poczuł na plecach pierwsze uderzenie gorąca. Na bogów, jeśli wleźliby w tę dziurę smok udusiłby ich kilkoma chuchnięciami.

– Musimy znaleźć wodę! – zaryczał.

Uciekali w górę, po kamienistym terenie, a uderzenia skrzydeł i huk płomieni stawały się coraz głośniejsze. Holger wyciągnął miecz. Ale jakie mógł mieć szanse? Smok upiecze go razem ze zbroją.

Przynajmniej mogę, pomyślał, dać Alianorze szansę na ucieczkę.

Nie zastanawiał się nad tym, dlaczego przyszła mu do głowy akurat woda. Nie miał na to czasu, mógł tylko uciekać, po wzgórzach, skrajem przepaści, w dół wąwozu. Papillon kwiknął przeraźliwie, gdy dotknął go płomień.

Potem przebili się przez ścianę krzewów i tuż przed nimi płynęła rzeka, zielona i szybka, szeroka może na trzydzieści stóp. Jednorożec skoczył. Papillon za nim. Zatrzymali się pośrodku nurtu. Woda była lodowata, wbijała się sztyletami w ich stopy.

Smok wylądował na brzegu. Wygiął grzbiet i zasyczał jak rozgniewana lokomotywa. Boi się wody, uświadomił sobie Holger. Więc to o tym wiedziała jego podświadomość.

– Poleci nad nasze głowy, złapie nas i uniesie w powietrze – wysapała Alianora.

– A więc na dół, do wody! – Holger zeskoczył na kamieniste dno. Prąd naparł mocno na jego pierś. Hugi i Alianora uczepili się ogonów swoich wierzchowców.

– Gdy nastąpi atak, zanurzcie się pod powierzchnię – polecił.

Ale żaden człowiek nie mógłby długo wytrzymać w tej wodzie. Byli załatwieni.

Tak, załatwieni na dobre.

Smok wzbił się niezdarnie w powietrze. Zawisł nad nimi, zasłaniając słońce. Powoli opuszczał się coraz niżej. Z rozwartej paszczy trysnął płomień.

Płomień! Holger wsunął miecz do pochwy, zerwał z głowy hełm i zaczerpnął wody. Smok runął w dół, ku nim. Holger uniósł jedno ramię, zasłaniając oczy. Chlusnął na ślepo.

W jednej chwili otoczył go obłok pary. Smok ryknął, niemal rozsadzając mu uszy. Pokryte łuską cielsko zachybotało się w locie, długa szyja biła w prawo i lewo, ogon młócił powierzchnię rzeki. Holger zaklął i prosto w paszczę chlusnął z hełmu następną porcją wody.

Smok pisnął ogłuszająco. Powoli, jakby otumaniony bólem, wzniósł się w powietrze i odleciał na południe. Jeszcze przez długą chwilę słyszeli bicie jego skrzydeł.

Holger odetchnął głęboko. Stał nieruchomo, wyczerpany, aż potwór zniknął mu z oczu. Potem wyprowadził tamtych dwoje na brzeg.

– Holger, Holger! – Alianora przytuliła się do niego, drżąc, płacząc, śmiejąc się. – Jak to zrobiłeś? Jak go pokonałeś, najlepszy z rycerzy, kochany, mój bohaterze?

– Och, nic wielkiego. – Holger dokładnie obmacał twarz. Miał kilka bąbli. – Wystarczyła odrobina termodynamiki.

– To jakiś nowy rodzaj magii? – spytała z szacunkiem.

– To nie magia. Rozumiesz, jeśli smok zieje ogniem, to w jego wnętrzu temperatura musi być jeszcze wyższa. A więc wlałem mu w gardziel kilka litrów wody. Spowodowałem niewielką eksplozję, jak wybuch kotła parowego – machnął ręką z wyszukaną niedbałością. – Naprawdę nic wielkiego.

Rozdział XI

Kilka mil dalej natrafili na osłoniętą ścianami urwisk dolinkę, słoneczną i ciepłą. Buki i topole wyrastały z pełnej pierwiosnków, wysokiej trawy, cicho szemrał strumyk, stadko szpaków odleciało, trzepocząc skrzydłami. Miejsce wydawało się być wymarzone na odpoczynek, tak bardzo potrzebny zarówno im, jak i wierzchowcom.

Gdy obronny krąg został już skonstruowany, Alianora ziewnęła – nawet to potrafiła robić w czarujący sposób – i ułożyła się do snu. Hugi usiadł pod krzyżem, strugając coś swoim nowym nożem. Holger czuł jakiś niepokój.

– Chyba pójdę się rozejrzeć – powiedział. – Zawołaj mnie, gdyby coś się działo.

– Nie nazbyt to niebezpieczne oddalać się w pojedynkę? – spytał krasnolud. Potem odpowiedział sam sobie. – No tak, kto się porwie na pogromcę smoków?

Holger zaczerwienił się. Był bohaterem dnia, ale wiedział aż za dobrze, że przyczynił się do tego jedynie splot przypadków.

– Nie odejdę daleko.

Zapalił fajkę i ruszył przed siebie, z cicha podśpiewując. Krajobraz był zupełnie sielankowy: łąka, kwiaty, drzewa, woda. Pasący się Papillon, obok jednorożec, płynne nuty wygwizdywane przez drozda. Gdyby nie piekący ból oparzeń, mógłby położyć się na trawie w jakimś ocienionym miejscu i oddać się rozmyślaniom o Alianorze. Nie. Oparł się pokusie. Miał do przemyślenia bardziej poważne rzeczy.

Powinien chyba spojrzeć wreszcie prawdzie w oczy i uznać, że on, Holger, jest w tym karolińskim świecie postacią kluczową, a przynajmniej bardzo ważną. W świetle wszystkiego, co się wydarzyło do tej pory, nie mogło być przypadkiem, że dokładnie w tym miejscu, w którym on się pojawił czekało odzienie i broń, idealnie pasujące do jego nietypowych rozmiarów oraz Papillon, ponadnaturalnie silny i inteligentny. Potem było to zamieszanie, które wywołał w Faerie i – rzecz ciekawa – mimo jego braku doświadczenia nie byli w stanie go zabić... No cóż, w obu światach istniał Karol Wielki. Być może również on sam był w jakiś sposób zdublowany. Kim był w takim razie naprawdę? I dlaczego, i jak?

Stracił obozowisko z oczu. Szedł wciąż naprzód, starając się ułożyć w sensowną całość wszystko, czego się już dowiedział. Na przykład konflikt Ładu i Chaosu okazał się czymś więcej niż tylko religijnym dogmatem. Tutaj była to okoliczność, która bezpośrednio wpływała na codzienne życie. Przypomniała mu się druga zasada termodynamiki, tendencja fizycznego wszechświata do chaosu i równomiernego rozproszenia energii. Może tutaj ta tendencja znalazła bardziej... animistyczny... wyraz. Chwileczkę,

ocknąć się w tym samym czasie i miejscu, z którego wyruszył. Z fizycznych zasad zachowania wynikało, że tak właśnie będzie. A przecież on i jego koledzy byli przyciśnięci do plaży ogniem hitlerowców, wiedząc, iż przyjdzie im umrzeć i mając tylko nadzieję, z każdą chwilą coraz słabszą, że zostaną przy życiu dostatecznie długo, żeby umożliwić pewnej łódce dotarcie do szwedzkiego brzegu.

Do diabła, wszystko wskazywało na to, że ten drugi świat nie był nawet jego rodzinnym. Jego miejsce było tutaj, w tym karolińskim wszechświecie, zaś tamten był tylko miejscem jego wygnania. Z tylu różnych punktów widzenia ten był lepszym i czystszym miejscem pobytu... Nie, odpowiedziała jego uparta uczciwość, to nie było w porządku. Ten kosmos również miał swe ciemne strony. Ale czy po prostu przez sam fakt swej odmienności nie dawał mu on większych szans na przeżycie przygody niż największe z tych, które mógł tam znaleźć?

Promień słońca, który wpadł przez okno dotknął ogniem włosów Alianory. Nigdy dotąd nie znał dziewczyny takiej jak ona. Jeśli cisnąłby w kąt tę całą głupią wyprawę i poszedł z nią, mógłby zapewnić sobie wcale nie najgorszy los. Król puszczy. Niewątpliwie sam też potrafiłby wykroić sobie jakąś domenę z tej niespokojnej ziemi niczyjej. A jeżeli chciałby żyć w bardziej cywilizowanych stronach, mogli razem pojechać do Imperium i...

I co? Przecież Chaos przygotowywał się do wojny. Przypomniał sobie wizję, przedstawioną przez Alianorę – Faryzeusze rozciągający wieczny półmrok na całą planetę. Pamiętał też, co Morgan powiedziała na temat niedbałych igraszek ze słońcami i planetami, o ludziach, ich rodzinach i nadziejach schwytanych w sieci zniszczenia.

Nie, właściwie nie miał żadnego wyboru. Żaden uczciwy człowiek nie miał wyboru w czasie takim jak ten. Musi zrobić wszystko, żeby odzyskać miecz i oddać go prawowitemu właścicielowi, albo samemu nim walczyć, jeśli okaże się, że Cortana należy do niego. A później, jeżeli w ogóle będzie jakieś później, zdecyduje, czy nadal ma podejmować próby powrotu poprzez wszechświaty.

Podniósł głowę.

– Pojadę – powiedział.

– Pojedziemy – poprawiła Alianora.

– Jak sobie życzysz – powiedział Martinus cicho. – I módl się o powodzenie, sir Holgerze. Niech cię Bóg strzeże i wspomaga, gdyż myślę, że jedziesz tam dla nas wszystkich.

Otarł oczy skrawkiem rękawa. Potem przywołał na twarz uśmiech, zatarł ręce i powiedział:

– No, to tyle na ten temat. A teraz porozmawiajmy o rachunku, gdyż przed wyruszeniem w podróż tak niebezpieczną pewnie chciałbyś od razu regulować tego typu sprawy?

– Hm, uch – powiedział Holger.

– Nie mamy teraz pieniędzy – wtrąciła się Alianora – ale jeżeli przyślesz rachunek trochę później, dopilnuję, żeby został w całości zapłacony.

– Powiedziałbym, że macie masę pieniędzy – Martinus wyraźnie posmutniał. – Bo widzicie, ten zakład nie udziela kredytu i...

– Ale na twoim szyldzie jest napisane, że potrafisz tworzyć zawsze pełne sakiewki... – zaczął Holger.

– To tylko reklama. Szczegół, mający przyczynić się do osiągnięcia przez całość pełni artystycznego wyrazu.

– Mój stary, drogi przyjacielu – Alianora uśmiechnęła się i wzięła czarownika za rękę. – Nie będziesz chyba molestował o pieniądze człowieka, który właśnie ma uratować cały świat, prawda? Zaklęcia będą twoim wkładem w to wielkie przedsięwzięcie. Twoje imię będzie za to wysławiane w pieśniach.

– To nie spłaci moich wierzycieli – zaprotestował Martinus.

– Ach, ale czyż nie jest prawdą, że szlachetny czyn jest wart więcej niż wszelkie bogactwa? – Alianora pogłaskała go po policzku.

– No cóż, są w Piśmie słowa, z których mogłoby to wynikać ale...

– Ach, drogi przyjacielu, dziękuję! Wiedziałam, że się zgodzisz! Dziękuję!

– Ale... Nie możecie... Nie pozwolę...

– Hej, może pośpiewamy trochę, żeby się rozerwać? Znasz pewnie jakąś pieśń, balladę albo przyśpiewkę, która słodko zabrzmi w uszach od dawna przywykłych tylko do wycia wilków i wiatru.

– Możemy spróbować – powiedział Holger, zadowolony ze zmiany tematu.

Śpiewali na zmianę przez kilka godzin. Potrzebowali przy tym wielkiej ilości wina, żeby gardła były odpowiednio wilgotne, a mózgi sprawne. Carahue był zachwycony zrobionym naprędce przekładem „Auld Lang Lane". Obudzili cały dom, gdy rycząc tę balladę i podpierając się wzajemnie, niepewnym krokiem wchodzili na schody, żeby wreszcie pójść spać.

Rozdział XVII

Głowa Holgera trzeszczała w szwach, gdy następnego dnia w południe szli do sklepu Martinusa. Alianora milczała rozsądnie. Hugiego i konie zostawili w gospodzie, gdyż właściciel od rana spoglądał na nich z nietajoną podejrzliwością. Prawdopodobnie miał już niejakie doświadczenie z gośćmi, którzy mieli rozległe drzewa genealogiczne, ale małe sakiewki.

Czarownik uśmiechnął się szeroko na powitanie.

– Och, wydaje mi się, że zajrzałeś do pucharka o jeden raz za dużo, mój młody przyjacielu – zachichotał w niemiłe protekcjonalny sposób, charakterystyczny dla tych, których tego typu doświadczenia ostatnio omijały. – Dobrze się więc składa, że akurat mam bardzo skuteczny i zupełnie niedrogi specyfik, zwalczający malarię, zarazy, kwaśne humory, odciski, bóle reumatyczne, kaprawość, trąd i kaca. Przełknij tylko zawartość tego kubka... No, nie było takie gorzkie, prawda?

Panaceum rzeczywiście usunęło skutki wczorajszego pijaństwa w mgnieniu oka. Holger pomyślał sobie, że gdyby tylko mógł zdobyć jego skład i gdyby działało ono w jego wszechświecie, zbiłby na nim majątek. Ale Martinus już spoważniał. Przeszedł przez sklep w tę i z powrotem z rękami założonymi za plecy, popatrzył chwilę w podłogę i powiedział ponuro:

– Nie mogłem ustalić twojej tożsamości, sir Holgerze. Wszystkie istoty, które mogły mi to wyjawić zostały zablokowane. Znaczy to, że rzeczywiście jesteś jakąś ważną osobistością. Wróg jednak nie przewidział wszystkiego. Poderwałem rącze duchy powietrza, wezwałem nawet Ariela na konsultanta i z ich pomocą mimo wszystko byłem w stanie odnaleźć miejsce, w którym pogrzebany jest miecz Cortana. Nawet niezbyt daleko stąd, ale nie jest to podróż, którą chciałbym odbyć.

Serce Holgera zabiło gwałtownie.

– Gdzie?

Martinus popatrzył na Alianorę.

– Znasz kościół Świętego Grimmina-na-Górze? – spytał.

Zagryzła wargi.

– Słyszałam o nim – potwierdziła.

– Więc tam właśnie leży miecz. Myślę, że schowano go w tym rejonie, na wschodzie, żeby był jak najdalej od swego prawowitego właściciela, a kościół Świętego Grimmina wybrano dlatego, żeby odzyskanie Cortany było jak najtrudniejsze, gdyby właściciel kiedykolwiek wpadł na jego ślad. – Potrząsnął łysą głową. – Nie mogę z czystym sercem radzić ci, żebyś tam jechał, młody przyjacielu.

– Co to za miejsce? – spytał Holger.

– Opuszczony kościół na wyżynie na północ stąd. Setki lat temu został wzniesiony jako misja, w nadziei na nawrócenie tamtejszych dzikich plemion. Przez pewien czas rzeczywiście była tam grupa wiernych. Potem zostali oni wymordowani w czasie napadu i od tamtej pory kościół jest w ruinie. Powiadają, że wódz napastników zbezszcześcił ołtarz ofiarą z człowieka, więc budynek stracił aurę, a stał się siedliskiem złych duchów i sprowadza nieszczęście. Teraz już nawet dzicy nie zbliżają się do niego.

– Hmmm. – Holger spojrzał na swoje stopy. Poczuł się tak, jakby dźwigał cały świat na ramionach. Martinus nie żartował.

Przez chwilę zastanawiał się, dlaczego w ogóle zawraca sobie tym głowę. Po co właściwie miałby wracać do domu? Co go tam tak bardzo ciągnęło? Ach, tak – przyjaciele, wspomnienia, znane i lubiane krajobrazy. Ale, prawdę powiedziawszy, nie było tam nikogo ani niczego, za czym tęsknoty nie mógłby wytrzymać. Wojna, głód, sprzedajność, dehumanizacja. Poza tym, jeżeli nawet uda mu się powrócić, może

czy w jego własnym świecie nie było tak samo? Czemu naprawdę się przeciwstawiał, walcząc z faszystami, jeżeli nie ożywionym starożytnym widmom, o których cywilizowani ludzie w pewnym okresie myśleli, że są na zawsze pogrzebane?

W tym wszechświecie próby przełamania podobnego, z trudem ustanowionego porządku mogły być podejmowane przez dzikie stwory ze Środkowego Świata, chcące wskrzesić Chaos, pierwotny stan, w którym wszystko mogło się wydarzyć. Po przeciwnej stronie barykady stała uczciwa część ludzkości, zawsze gotowa umacniać i rozszerzać wpływ Ładu, bezpieczeństwa, przewidywalności. Chrześcijaństwo, judaizm, nawet mahometanizm krzywiły się na magię, gdyż była ona bardziej pokrewna Chaosowi niż uporządkowanej, podległej prawom fizyki naturze. Oddając jednak sprawiedliwość – nauka miała swoje fanaberie, zaś magia – swoje prawa. W każdym przypadku, czy tworzyło się samolot czy latający dywan, potrzebny był określony rytuał. Gerda wspomniała coś o bezosobowości rzeczy ponadnaturalnych. Tak, to dlatego Roland w czasie swej ostatniej godziny w Roncesvalles próbował załamać Durendala – żeby cudowny miecz nie dostał się w ręce pogan, gdyż służyłby im równie dobrze, jak jemu...

Ta symetria była bardzo sugestywna. W rodzinnym świecie Holgera siły naturalne były potężne i zrozumiałe, siły mentalno-magiczne – słabe i nieuchwytne. W tym wszechświecie było akurat odwrotnie. Oba światy były, w jakiś niejasny sposób, jednym; w obu odwieczne zmaganie Ładu i Chaosu jednocześnie osiągnęło swój punkt szczytowy. Co do mocy, która im narzuciła tę równoległość, a w ostatecznym rezultacie jedność – przypuszczał, że w końcu będzie musiał się przełamać i nazwać ją Bogiem. Jego jaźni brakowało jednak teologicznego nastawienia. Trzymał się raczej tego, co mógł bezpośrednio objrzeć oraz problemów codziennych, praktycznych. Takich jak powód, z jakiego się tu znalazł.

Wyjaśnienie tej kwestii ciągle mu się wymykało. Pamiętał życie w tamtym świecie, od dzieciństwa do pewnej chwili na plaży w pobliżu Kronborg. Miał również inne życie, nie wiedział jednak kiedy, ani gdzie. Te wspomnienia zostały mu skradzione. Nie, raczej zostały zmuszone do schowania się głęboko w podświadomość i wypływały tylko pod wpływem niezwykłych, silnych bodźców.

Przypomniał sobie coś. *Cortana*. Gdzie słyszał to imię? Ach tak, gnom je wymienił. Cortana to miecz. Miał w sobie potężne magiczne moce, ale teraz leżał pogrzebany z dala od ludzkich oczu. *Kiedyś, gdy ostrza błyszczały na bitewnym polu, trzymałem Cortanę w swej dłoni.*

Obszedł w koło kępę drzew. Po drugiej stronie czekała Morgan le Fay.

W pierwszej chwili nie mógł się poruszyć. Jego serce zaczęło walić jak młot. Przepłynęła nad nim dziwna ciemność i ta ciemność była piękna. Morgan podeszła bliżej, skąpana w złotym świetle, sączącym się przez zieleń liści. Jej suknia była jak śnieg, jej usta jak koralowy łuk, włosy lśniły jak rozgwieżdżona głębia jeziora. Wszystko, co w tej chwili dostrzegł, było kolorami. Jej głos wpłynął w niego.

– Witaj, Holger! Ile to już czasu upłynęło!

Walczył o spokój. Przegrał. Morgan ujęła jego dłonie. Była wysoka, jej uśmiech nie musiał przebywać długiej drogi, zanim w niego uderzył.

– Jakże byłam bez ciebie samotna – wyszeptała.

– Beze mnie? – Jego głos załamał się w debilny kwik.

– Tak, a bez kogo? Czy o tym również zapomniałeś? – Zwracała się do niego po imieniu, wymawiając słowo „ty" jak pieszczotę. – Rzeczywiście została na ciebie położona ciemność. Bardzo długo cię tu nie było, Holger.

– A-a-ale...

Roześmiała się, nie w zwykły, ludzki sposób, ale jakby była ucieleśnionym śmiechem, miękkim, ciepłym, ujmującym.

– Och, twoja biedna twarz! Niewielu mężczyzn tak mężnie jak ty stawiłoby czoła ognistemu smokowi. Pozwól mi wyleczyć te oparzenia. – Dotknęła go, poczuł ból i bąble zniknęły. – No i już, lepiej się czujesz?

Wcale nie czuł się lepiej. Spływał potem, a płaszcz był zbyt ciasny pod szyją. Odzyskał zmysły na tyle, żeby widzieć szczegóły, ale nie były one z rodzaju tych, które na mężczyznę wpływają uspokajająco: blada, doskonale piękna twarz, kocia gracja ruchów, ciało, mające większą liczbę łuków niż kolejka górska w wesołym miasteczku.

– Nabrałeś grubiańskich zwyczajów w świecie, w którym byłeś.

Wyjęła fajkę z jego bezwolnych ust, wytrząsnęła ją i wetknęła do mieszka przy pasie. W drodze powrotnej jej dłoń przewędrowała wzdłuż jego boku i spoczęła na ramieniu.

– Niegrzeczny chłopiec!

To przywróciło mu nieco panowanie nad sobą. Dojrzałe kobiety nie powinny zachowywać się jak kociaki. Poza tym fajka nie powinna być traktowana w taki sposób.

– Posłuchaj – wychrypiał – pomagałaś Alfrikowi, a on ze wszystkich sił starał się mnie zabić. Więc czego teraz ode mnie chcesz?

– A czego chce każda tęskniąca za mężczyzną kobieta? – Przysunęła się bliżej. Holger cofał się, aż zatrzymało go drzewo za plecami.

– Prawdę mówiąc nie wiedziałam, że to byłeś ty i pomogłam Alfrikowi nieświadomie. W tej samej chwili, w której dowiedziałam się o jego zdradzie, pośpieszyłam, żeby cię odnaleźć.

Otarł pot z czoła.

– To kłamstwo – powiedział ostro.

– No cóż, nam, przedstawicielkom delikatniejszej płci, powinno się chyba pozwalać na niewinne kłamstwa, prawda, mój słodki? – Poklepała go po policzku. – A klnę się na Boga, że jest prawdą to, iż przybyłam, żeby cię odzyskać.

– Odzyskać mnie dla Chaosu? – wybuchnął.

– A dlaczego nie? Co takiego w tym nudnym Ładzie zmusza cię do stawania w jego obronie? Widzisz, jestem z tobą szczera. Teraz ty bądź szczery sam ze sobą. Dlaczego, Holgerze, mój kochany niedźwiedziu, miałbyś poświęcać się osłanianiu nieokrzesanych chłopów i spasionych mieszczuchów, gdy radości i gniew i oślepiające gwiazdy Chaosu mogą być twoje. Od kiedy to jesteś człowiekiem, który szuka życia bezpiecznego i przyziemnego, zamkniętego w swoim małym światku, skrytego pod dachem szarego, smutnego nieba, śmierdzącego dymem i gnojem – ty, który sam przepędzałeś armie z pól bitewnych? Możesz ciskać słońcami i kształtować światy, jeśli tylko zechcesz!

Jej głowa spoczywała na jego piersi, ramiona obejmowały go w pasie.

– Nie-nie-nie! – wyjąkał. – Nie ufam...

– Och, co za zmiana! Czy to jest człowiek, który mieszkał ze mną na Avalonie? Czy zapomniałeś jak długie ofiarowałam ci stulecia młodości i potęgi i miłości? – Znowu spojrzała na niego tymi wielkimi, ciemnymi oczyma. Powiedział sobie, że to bardzo banalny i wyświechtany chwyt, ale jakoś nie potrafił uwierzyć w swe własne sądy. – Jeżeli nie przyłączysz się do nas, to przynajmniej nie walcz przeciwko nam. Wróć na Avalon, Holger. Wróć ze mną na jasny Avalon.

Gdzieś w głębi otumanionego umysłu wiedział, że tym razem była szczera. Chciała, żeby zszedł im z drogi na czas nadchodzącej bitwy, ale również chciała jego samego. A w końcu dlaczego nie? Co był winien którejkolwiek ze stron w tym obcym, nieznanym świecie? Kiedy Morgan le Fay objęła go...

– Tyle długich lat upłynęło – szepnęła – a gdy w końcu się spotkaliśmy, ty nawet mnie nie pocałowałeś.

– T-t-to – zająknął się – może zostać nadrobione.

To było tak, jakby dostał się w objęcia miękkiego, ciepłego cyklonu. Nie potrafił myśleć o czymkolwiek innym. Nie chciał.

– Ach-ch-ch – westchnęła w końcu, jej oczy ciągle były zamknięte – mój władca! Mój władco, pocałuj mnie znowu. Nigdy nie przestawaj.

Przygarnął ją. Kątem oka zauważył mignięcie bieli. Podniósł głowę i zobaczył Alianorę na jednorożcu. Właśnie objeżdżała pobliskie krzewy.

– Holger! – zawołała. – Holger, kochany, gdzie jesteś... och!

Jednorożec stanął dęba i zrzucił ją na trawę. Z głośnym, pełnym oburzenia parsknięciem zwierzę uciekło. Alianora wstała szybko i popatrzyła na Holgera i Morgan.

– No i zobacz, co narobiłeś! – poskarżyła się trochę bez sensu. – Teraz on już nie wróci!

Holger wyplątał się z ramion Morgan. Alianora wybuchnęła płaczem.

– Zabierz stąd tę wiejską dziewkę – wrzasnęła królowa z furią.

– Hmmmm. – Holger pogładził policzek, usilnie starając się wyglądać na zupełnie spokojnego. – Zdaje się, że coś słyszałem, ale nie bardzo mogę sobie przypomnieć co. Jakie imię wymieniłeś, panie?

– Nie wymieniłem żadnego – odpowiedział Carahue. – A jakie ono jest, takie jest, jeśli mi wybaczysz tajemniczość. Prawda jest taka, że ma on wielu potężnych wrogów, którzy szybko by się na niego rzucili, gdyby usłyszeli gdzie przebywa.

– Więc jesteś jego przyjacielem, panie?

– Może lepiej będzie – odpowiedział Carahue uprzejmie – jeśli moje motywy również pozostaną ukryte. Nie znaczy to, że ci nie ufam, sir Rupercie, ale wszędzie się można spodziewać uszu, nie zawsze ludzkich. A ja jestem obcy, nie tylko w tej części świata, ale w ogóle w tym czasie.

– Co?

Carahue, mówiąc, przyglądał się Holgerowi uważnie, jakby chciał wychwycić każdą, najdrobniejszą jego reakcję.

– To przynajmniej mogę ci wyjaśnić. Znałem kiedyś tego człowieka i poszukiwałem go już stulecia temu. Ale on zniknął w nieznanych mi stronach. Dowiedziałem się później, że kiedyś wrócił, w chwili, gdy *le beau pays de France* była w niebezpieczeństwie. Wygnał pogańskich najeźdźców, a potem znowu zniknął. Stało się to, gdy mnie już tu nie było. Szukając go, zawędrowałem na morze i potężny sztorm wyrzucił mnie na brzeg pływającej wyspy Hux Braseal, na której zostałem ugoszczony w zamku najpiękniejszej z kobiet. – Westchnął tęsknie. – Czas dziwnie tam płynął. Mówią, że podobnie zachowuje się na wyspie Avalon i pod Wzgórzem Elfów. Wydawało mi się, że tylko rok z nią przebywałem, gdy tymczasem w krainach, zamieszkałych przez ludzi upłynęły setki lat. Kiedy w końcu usłyszałem pogłoski o zwoływaniu sił Środkowego Świata, potajemnie wykorzystałem magiczne moce mojej pani i kochanki i dowiedziałem się, że burza wybuchnie właśnie tutaj, na tych wschodnich ziemiach. Dowiedziałem się również, że O..., ten rycerz, z którym chętnie znów bym się spotkał zostanie przez potęgę zbierającej się burzy ściągnięty z powrotem z tych dziwnych krain, do których został wygnany. Więc wsiadłem pewnej nocy na zaczarowany statek, którym dopłynąłem do południowych brzegów tego królestwa. Tam zdobyłem konia i powędrowałem na północ w nadziei, że go znajdę. Ale dotychczas Bóg nie życzył sobie, żeby mi się to udało.

Carahue odchylił się i duszkiem opróżnił puchar. Holger zmarszczył brwi. Przebywał w tym świecie dostatecznie długo, żeby w pełni wierzyć w takie opowieści. Sam doświadczył rzeczy bardziej nawet niewiarygodnych. A jednak Saracen mógł kłamać... nie. Holger miał wrażenie, że wszystko co usłyszał było prawdą. Szczupła, ciemna twarz była w jakiś sposób znajoma. Gdzieś, kiedyś na pewno znał Carahue. Ale jako przyjaciela, czy wroga? Saracen skrupulatnie unikał deklarowania się w tej kwestii, a Holger czuł, że dalsze wypytywanie nie byłoby najrozsądniejsze. Co prawda Maur dobrze mówił o człowieku, którego poszukiwał, ale to niczego nie dowodziło. Rycerze, stosujący się do nieprawdopodobnych zasad kodeksu honorowego, mogli piać peany na cześć swoich przeciwników, jednocześnie dybiąc na ich życie.

Część opowieści, z której wynikało, że znajomości Holgera datują się na setki lat wstecz nie zrobiła na nim specjalnego wrażenia. I tak nie mógłby odczuwać większej samotności i tęsknoty za domem, niż już czuł. Kilka spraw się jednak wyjaśniło. On, Holger, mający w herbie trzy serca i trzy lwy, był rycerzem, którego Morgan zwabiła na wyspę Avalon, pozostającą poza głównym nurtem czasu. Raz ją opuścił – wtedy, gdy potrzebowała go Francja. Morgan pozwoliła mu na to, gdyż zapewne nie obchodziło jej kto zwycięży w tamtej wojnie, a po jej zakończeniu i tak do niej wrócił. A teraz znowu... Jednak tym razem jego powrót do tego świata nastąpił z miejsca znacznie bardziej odległego, a Morgan sprzeciwiała mu się ze wszystkich swych mrocznych sił.

– Nie chciałbym wydać się nadmiernie wścibski – powiedział Carahue uprzejmie – jednak ciekawi mnie, dlaczego również ty musisz wędrować po tym niespokojnym pograniczu. Powiedz mi proszę, gdzie właściwie leży twoje Graustark?

– Och, trochę na południe stąd – wymamrotał Holger. – Ja... ja złożyłem śluby. Łabądziewa uprzejmie zgodziła się pomóc mi w ich dopełnieniu.

Carahue uniósł brwi. Najwyraźniej nie wierzył w ani jedno słowo. Uśmiechnął się jednak wesoło.

tym świecie nie ma dla mnie miejsca. Więc kiedyś będę musiał cię opuścić. Na zawsze. Byłoby trudno nam obojgu, gdyby... gdybym twoje serce zabrał ze sobą, a swoje zostawił przy tobie.

– A jeśli nie będziesz mógł wrócić? – szepnęła. – Jeśli będziesz musiał zostać tutaj?

– To b-będzie zupełnie inna historia.

– Mam szczerą nadzieję, że ci się nie uda! Ale mimo to ze wszystkich sił będę ci pomagała wrócić, bo tego sobie życzysz. – Odwróciła się od niego, zobaczył, niewyraźnie w ciemności, jak opuściła głowę. – Och, życie wcale nie jest przyjemne.

Wziął ją za rękę i razem zeszli ze schodów.

Główna sala gospody była niska i długa, oświetlona świecami i ogniem, płonącym na wielkim kominku. Gospodarz ustawiał na stole nakrycie tylko dla jednego, poza Holgerem i Alianorą, gościa. Gdy weszli, ten mężczyzna poderwał się z ławy z okrzykiem „Ozh...". Urwał, gdy Holger znalazł się w pełniejszym świetle.

– Pomyliłem się, szlachetny panie – ukłonił się. – Wziąłem cię za tego, którego szukam. Wybaczcie mi proszę, panie i ty, pani.

Holger przyjrzał mu się. Najwyraźniej był to Saracen. Średniego wzrostu, szczupły i gibki, bardzo elegancki w białej, powiewnej szacie, luźnych spodniach i czerwonych trzewikach z zawiniętymi nosami. U owiniętego szarfą pasa wisiał bułat. Twarz pod turbanem ze szmaragdową broszą i kitą ze strusich piór była ciemna i wąska, o orlim nosie, z czarną, ostrą bródką i złotymi kolczykami w uszach. Poruszał się z kocią zręcznością, jego głos był spokojny i kulturalny, ale Holger czuł, że w walce byłby to straszliwy przeciwnik.

– Z chęcią wybaczamy – powiedział Duńczyk, starając się być uprzejmy. – Czy mogę przedstawić panią Alianorę de la Forêt? Ja jestem, ummm, sir Rupert z Graustark.

– Obawiam się, że nigdy nie słyszałem o twych dobrach, panie, ale pochodzę z dalekiego południa i zachodu i tutejsze strony są mi zupełnie obce. Sir Carahue, niegdyś król Mauretanii, do twych usług. – Saracen skłonił się niemal do ziemi. – Zechcecie zjeść ze mną posiłek? Będzie dla mnie prawdziwą przyjemnością, jeśli...

– Bardzo dziękujemy, łaskawy rycerzu – odpowiedział Holger natychmiast. Poczuł niemałą ulgę, że ktoś inny wziął na siebie uregulowanie rachunku.

Usiedli. Carahue był nieco zdumiony niekonwencjonalnym strojem Alianory, ale taktownie odwracał wzrok. Zażądał od właściciela, żeby ten przyniósł mu próbki swoich win, upił łyczek z każdej, skrzywił się i do każdego dania wybrał najbardziej odpowiedni gatunek. Holger nie mógł się powstrzymać od uwagi:

– Myślałem, że twoja religia, panie, zabrania używania mocnych trunków.

– Ach, bierzesz mnie za kogoś innego, sir Rupercie. Jestem chrześcijaninem, jak i ty. To prawda, kiedyś walczyłem za pogan, ale rycerz, który mnie pokonał, prawy i szlachetny, zdobył mnie także dla Prawdziwej Wiary. Jednak nawet gdybym w dalszym ciągu był wyznawcą Mahometa, nie ośmieliłbym się być tak nieuprzejmy, żeby nie wypić zdrowia twojej pani, najpiękniejszej z dam.

Kolacja upłynęła w przyjaznej atmosferze, na rozmowie o błahostkach. Potem Alianora ziewnęła i poszła na górę spać. Holger i Carahue byli ciągle w dobrej formie i zabrali się za bardziej poważne picie. Na początku Duńczyk próbował się wymawiać, nie lubił po prostu, żeby mu stawiano każdą kolejkę. Ale Saracen nalegał.

– Sprawia mi przyjemność przebywanie w towarzystwie ludzi, którzy potrafią równie sprawnie złożyć sekstynę, jak i łamać lance – stwierdził – a tacy rzadko trafiają się na tym dzikim pograniczu. Proszę, pozwól mi wyrazić moją wdzięczność.

– Na pewno nie jest to najlepsze miejsce na włóczęgę – powiedział Holger. I dodał, sondując – Ciebie, panie, musiała tu przygnać jakaś wielka potrzeba.

– Tak, szukam pewnego człowieka. – Oczy Carahue spoglądały przenikliwie nad brzegiem pucharu. – Może coś o nim słyszałeś? Wysoki i potężny jak ty, tylko jasnowłosy. Najprawdopodobniej dosiada czarnego ogiera, a w herbie nosi albo orła, czerń na srebrze, albo trzy serca i trzy lwy, czerwień naprzemiennie ze złotem.

Oczy Alianory rozbłysły.

– Sama się stąd wynoś! – zaskrzeczała. – Ty wstrętna wiedźmo, zabieraj się od niego!

Zęby Morgan zalśniły drapieżnie.

– Holger, jeżeli ta tyczka w tej sekundzie stąd nie zniknie...

– Tyczka! – zawyła Alianora. – Ty rozepchany worze ze skóry, wydrapię ci te twoje plugawe ślepia!

– Małe dziewczynki nie powinny płakać – syknęła Morgan – bo robią się jeszcze bardziej pospolite.

Alianora zacisnęła pięści i zrobiła krok do przodu.

– Lepiej być trochę za młodym, niż mieć skórę tak obwisłą i pomarszczoną.

– Za to twoja skóra jest bardzo ładna. Ciekawe jak ci się udało wywołać takie interesujące złuszczenia?

– Na pewno nie tak, jak ty zdobyłaś swoją cerę.

Holger odszedł na bok, usilnie zastanawiając się jak ujść z tego z życiem.

– Widzę, że jesteś łabądziewą – powiedziała Morgan. – Czy zniosłaś ostatnio jakieś udane jaja?

– Nie. Nie umiem tak głośno gdakać jak niektóre stare kwoki.

Morgan poczerwieniała i zaczęła wykonywać rękami szybkie ruchy.

– Zobaczymy czy ci się będzie podobało jak sama będziesz kwoką!

– Hej! – Holger skoczył ku niej. Nie miał zamiaru jej uderzyć, ale źle wyliczył odległość i jedno ramię zderzyło się z Morgan. Królowa potoczyła się po trawie.

– Tylko bez tych rzeczy – powiedział.

Powoli podniosła się na nogi. Jej twarz znowu była blada i bez wyrazu.

– A więc to tak sprawy się mają – powiedziała.

– Chyba właśnie tak – odpowiedział Holger, zastanawiając się, czy rzeczywiście w to wierzy.

– No cóż, więc w takim razie idź swoją drogą. Spotkamy się jeszcze, przyjacielu. – Morgan zaśmiała się, tym razem dość obrzydliwie. Nagle machnęła ręką i zniknęła. Powietrze z hukiem wypełniło miejsce, w którym przed chwilą stała.

Alianora dopiero teraz rozpłakała się na dobre. Oparła się o pień drzewa, chowając twarz w ramieniu. Holger podszedł i dotknął jej. Strąciła jego dłoń.

– Odejdź – wychlipała. – Idź s-s-sobie do tej twojej wiedźmy, j-j-jeśli ona ci się tak podoba. Och-ch-ch...

– To nie była moja wina – powiedział Holger bezradnie. – Nie prosiłem jej, żeby do mnie przyszła.

– Nie będę płakała, obiecuję. Idź sobie.

Holger zdecydował, że ma dość kłopotów na głowie nawet bez rozhisteryzowanej kobiety. Odwrócił ją, potrząsnął i powiedział dobitnie:

– Nie mam z tym nic wspólnego. Słyszysz? A teraz – pójdziesz ze mną jak dorosła, czy będę cię musiał ciągnąć?

Alianora chlipnęła, spojrzała na niego szeroko rozwartymi, wilgotnymi oczyma i opuściła powieki. Holger dopiero teraz zauważył jak długie były jej rzęsy.

– Pójdę sama – powiedziała słabo.

Holger znowu zapalił fajkę i niemal całą powrotną drogę pykał wściekle. Do diabła, po stokroć do diabła! Tam, z Morgan le Fay, niemal przypomniał sobie to drugie życie. Niemal. A teraz to przypomnienie znowu mu się wymknęło.

No cóż, i tak już za późno. Od dzisiaj Morgan z pewnością będzie jego najbardziej zaciekłym przeciwnikiem. Chociaż, prawdę powiedziawszy, chyba dobrze się stało, że im przerwano. Nie potrafiłby dłużej opierać się jej przymilności.

A najgorsze było to, że właściwie wcale nie chciał. Kto to napisał, że nie ma nic bardziej płonnego od wspominania pokusy, której się oparliśmy?

Za późno. Teraz trzeba po prostu brnąć dalej.

Ukryta część jego jaźni nadała sygnał do świadomości i nagle wiedział dlaczego jednorożec uciekł. Morgan le Fay musiała być ostatnim, decydującym gwałtem, zadanym jego i tak już wystawianej na cię-

żką próbę wrażliwości, tą kroplą, która przepełniła kielich goryczy. A raczej tuzinem kropli. Zachichotał, potem wziął Alianorę za rękę. Bok przy boku, poszli do obozowiska.

Rozdział XII

Tej nocy nie byli niepokojeni – dlatego, jak powiedział Hugi, że przygotowywano dla nich coś znacznie gorszego. Holger był skłonny dzielić pesymizm krasnoluda. Poza tym teraz mieli tylko jednego wierzchowca na troje. Oczywiście Alianora część drogi mogła przebyć powietrzem, jednak łabędzie nie potrafią unosić się w jednym miejscu, a nie chcieli, żeby zbytnio się od nich oddalała. Mimo wielkiej wytrzymałości Papillon nie był w stanie nieść ze swą normalną prędkością wielkiego wojownika w kolczudze, dziewczyny i krasnoluda oraz ich ekwipunku.

Wyruszyli więc bardzo wcześnie. Alianora, zmieniwszy się w łabędzia, poleciała wybrać z powietrza najlepszą drogę. Wróciła, usiadła za siodłem, ramionami oplatając Holgera w pasie (co stanowiło rekompensatę za wiele niedogodności) i poprowadziła go po wybranej trasie. Miał nadzieję, że przed zmierzchem dotrą do przełęczy, a jutro – do granicy obszarów zamieszkałych przez ludzi. Po drugiej stronie gór pozostało do przebycia jeszcze wiele mil dziczy, ale Alianora zauważyła kilka miejsc wolnych od lasu, kilka samotnych farm i osad.

– A tam, gdzie mieszka choć kilku ludzi, którzy nie są złoczyńcami, znajdzie się jakiś kawałek poświęconej ziemi – kapliczka w najgorszym przypadku – do którego większość z tych, co nas ścigają nie odważy się zbliżyć.

– Jak w takim razie – spytał Holger – Środkowy Świat może myśleć o zawładnięciu ziemiami ludzi, skoro każdy kościół stanowi dla niego taką przeszkodę?

– Może tego dokonać z pomocą stworzeń, które nie boją się światła dnia ani zaklęć kapłańskich. Zwierząt, jak ten smok, czy istot posiadających duszę, jak złe krasnoludy. Takich sprzymierzeńców ma jednak zbyt mało i są oni zbyt głupi, żeby przydać się na coś więcej niż tylko do wykonania jakiegoś specjalnego zadania. W głównej mierze, jak myślę, Środkowy Świat będzie polegał na ludziach, opowiadających się po stronie Chaosu. Wiedźmach, czarnoksiężnikach, bandytach, mordercach, na wszystkich pogańskich dzikusach północy i południa. Ci mogą zbezcześcić poświęcone miejsca i wybić tych, którzy staną przeciw nim z bronią w ręku. Wtedy reszta ludzi ucieknie i nie zostanie nic, co mogłoby się sprzeciwić rozciągnięciu błękitnego mroku na kolejne setki mil. Z każdym takim krokiem krainy Ładu będą coraz słabsze, nie tylko liczebnie, ale i na duchu, gdyż bliskość Chaosu musi odbijać się na ludziach, sącząc w nich strachliwość, naruszając poszanowanie praw, skłaniając do przeróżnych podłości. – Alianora potrząsnęła głową, zmartwiona. – Gdy zło się umocni, nawet ci, którzy stoją po stronie dobra będą ze strachu chwytać się coraz bardziej niegodnych sposobów walki i tym samym dawać złu wolny do siebie dostęp.

Holger pomyślał o swoim świecie, w którym za Coventry zemszczono się na Kolonii i skinął głową. Jego hełm stał się nagle bardzo ciężki.

Chcąc uciec od tego wspomnienia, zwrócił myśli ku problemom dotyczącym go bardziej bezpośrednio. Potęga jego prześladowców nie była nieograniczona, w przeciwnym razie już dawno by go zatrzymano. Gdzie w takim razie były jej granice? Co ciekawe u istot podobno nie posiadających duszy, rasa z Faerie była dość upośledzona pod względem fizycznym i w walce musiała polegać głównie na podstępie i chytrości. Poza tym, że byli szybcy i zręczni, nie było wśród nich takich, którzy mogliby stawić czoła człowiekowi o normalnej sile. (Z pewnością olbrzymy, trolle i różne inne stworzenia ze Środkowego Świata obdarzone były większą siłą fizyczną niż ludzie, ale Alianora twierdziła, że są one powolne i niezdarne). Nie potrafili znieść światła słonecznego, w związku z czym ich wycieczki do zamieszkałych przez ludzi rejonów musiały odbywać się po zmierzchu. Nawet wtedy zmuszeni byli unikać poświęconych miejsc i obiektów. Ich zaklęcia odbijały się jak kule bilardowe od każdego, kto był w stanie łaski, wystarczyła nawet zwykła doza uczciwości i poświęcenia, żeby człowiek nie musiał się ich obawiać. Można było zostać zabitym przez nich bezpośrednio lub też w wyniku ich knowań, można było być oszukanym,

wiążący się z użyciem tego konkretnego czaru jest szczególnie ciężki, ale są w nim pewne pogańskie elementy i wpływ rzeczy świętych... Tak czy inaczej, trzymaj się od nich z daleka.

– Dobrze by było, gdybyś zajął się również moim koniem – powiedział Holger. – On też dość rzuca się w oczy.

– Ależ mój panie! – zaperzył się Martinus.

– Prroszę – zamruczała Alianora i zatrzepotała do czarownika rzęsami.

– No już dobrze, dobrze. Wprowadźcie go. Ale żeby się przyzwoicie zachowywał.

Papillon niemal wypełnił sobą sklep. Z powrotem na zewnątrz wyszedł jako duży kasztanek. Skoro już byli przy tym, Martinus zmienił także tarczę Holgera. Duńczykowi, zapytanemu jaki nowy herb sobie życzy, nie przychodziło do głowy nic poza „Ivanhoe", dostał więc wyrwane drzewo. On sam, ponieważ był jednym z przedmiotów tych zmian, mógł je dostrzec tylko w lustrze.

– Przyjdźcie do mnie jutro, to wam powiem czego się dowiedziałem – powiedział czarownik. – Ale nie przed południem, pamiętajcie. Wam, z lasów, wydaje się, że poranek to pełnia dnia.

Po drodze do zajazdu przejeżdżali obok kościoła. Holger wstrzymał konia. Odczuł potrzebę modlitwy. Nie odważył się jednak, nosząc magiczne przebranie. Następna cecha nieznajomego rycerza? Zapewne był, na swój sposób, pobożny. Ciężko było wędrować w ciemność, nie przystąpiwszy przedtem do Komunii Świętej... Ruszył dalej kłusem.

Zapadła już noc i resztę drogi do gospody odbyli ulicami zupełnie ciemnymi, niemal po omacku. Gdy już dotarli na miejsce, na spotkanie wyszedł im pulchny, szeroko uśmiechnięty mężczyzna.

– Potrzebujecie noclegu? Tak, panie, mam wspaniały pokój, w którym sypiały koronowane głowy.

Mam nadzieję, że nie musiały się przy tym wiercić z powodu wszy i innego robactwa, pomyślał Holger.

– Potrzebne nam dwa pokoje – powiedział.

– Och, ja tam mogę spać w stajni. – Hugi spojrzał na niego z ukosa.

– I tak potrzebujemy dwóch pokojów.

Gdy zsiedli z koni, Alianora podeszła do niego bardzo blisko. Poczuł delikatny, słoneczny zapach jej włosów.

– Dlaczego? – szepnęła. – Sypialiśmy przecież obok siebie przy ogniskach.

– Tak – mruknął. – Ale teraz ja już sobie nie ufam.

Klasnęła w dłonie.

– To bardzo dobrze!

– Ja... Do diabła! Powiedziałem! Dwa pokoje!

Właściciel wzruszył ramionami. Gdy myślał, że już nikt na niego nie patrzy, postukał się palcem w czoło.

Pomieszczenia, do których ich zaprowadził były małe i za całe umeblowanie miały tylko łóżka, ale wydawały się dość czyste. Holger zastanawiał się w jaki sposób za nie zapłaci. Dotychczas miał głowę zbyt zaprzątniętą innymi sprawami, żeby pamiętać, że jest bez grosza. Alianora natomiast, dziecko lasów, mogła w ogóle tego aspektu ich sytuacji nie brać pod uwagę. Następna sprawa – wiadomość o ich dzisiejszym przybyciu do miasta niebawem dotrze tutaj do każdego. Ktoś z pewnością się domyśli, że rycerz o ciemnej skórze przedtem był blondynem, a nową twarz otrzymał od Martinusa. Nie jest nieprawdopodobne, że ta plotka dotrze do uszu Saracena. No cóż, musi brnąć dalej, skoro dotarł aż tutaj.

Zdjął zbroję i ubrał się w swoją najlepszą tunikę i pończochy, ale miecz zabrał ze sobą. Gdy wyszedł z pokoju, natknął się na Alianorę. Był zadowolony, że korytarz był zbyt ciemny, żeby mogła widzieć wyraz jego twarzy.

– Idziemy coś zjeść? – spytał niepewnie.

– Tak. – Jej głos był jakby trochę zduszony. Niespodziewanie ujęła obie jego dłonie. – Holger, co ci się we mnie tak nie podoba?

– Nic – odpowiedział. – Bardzo cię lubię.

– Może to, że jestem łabądziewą, dziką i niechrzczoną? Mogę to zmienić. Mogę się nauczyć jak być damą.

– Ja... Alianoro... Wiesz przecież, że muszę wracać do domu. Bez względu na to, co mówią inni, w

Nie, to nie to. Był przecież wolny. Zbyt wolny. Ucieleśniał siłę, o której nic nie wiedział i z którą nie mógł sobie poradzić. Och, do wszystkich diabłów! Dlaczego musiało się to przytrafić właśnie jemu?

– Możesz mnie wysłać z powrotem? – zapytał z napięciem.

Alianora wciągnęła szybko powietrze i odwróciła głowę. Wiedziała, że chcę wrócić, pomyślał Holger czując niepokój sumienia, ale ignorowała to, żyła jakby we śnie, aż do tej chwili.

Martinus potrząsnął głową.

– Nie, panie. Obawiam, że jest to zadanie ponad moje siły. Zapewne zbyt wielkie dla kogokolwiek, śmiertelnego czy mieszkańca Środkowego Świata. Jeżeli moje domysły są słuszne, nie tylko zostałeś wplątany w zmagania Ładu z Chaosem, ale jesteś tych zmagań nieodrodną częścią.

Westchnął.

– Być może kiedyś – mówił dalej – gdy byłem młody, wesoły i arogancki, próbowałbym pozyskać twoją wdzięczność. W tamtych czasach porwałbym się na wszystko. Nie masz pojęcia, jakie mogą być studenckie kawały, jeżeli nie widziałeś wydziału magii jakiejś uczelni… Od tamtej jednak pory poznałem swoje ograniczenia. Obawiam się, że nie mogę ci służyć wielką pomocą, a i radą niezbyt cenną.

– Co w takim razie powinienem robić? – spytał Holger bezradnie. – Dokąd mam iść?

– Nie wiem. Jest jednak… jest ten artefakt, miecz Cortana, wykuty z tej samej stali co Joyeuse, Durendal, Excalibur. Jest również opowieść, która mówi, że święty człowiek, prawdziwy święty, położył na nim swe błogosławieństwo – w rękach prawowitego właściciela Cortana będzie strzegł chrześcijaństwa wtedy, gdy wraz ze swymi panami odejdą pozostałe wielkie miecze. Jednak później, mówi opowieść, miecz został ukradziony przez poddanych… Morgan le Fay? Nie byli w stanie go zniszczyć, ale z pomocą pogan, którzy mogli nie zważać na jego świętą aurę, gdzieś go ukryli, żeby nie był użyty przeciwko nim.

– Powinienem więc próbować go znaleźć?

– To niebezpieczne zadanie, młody człowieku. Jednak nie widzę niczego poza tym mieczem, co mogłoby na dłuższą metę ochronić cię przed nieprzyjaciółmi. Wiesz co? – Martinus klepnął Holgera w kolano. – Powiem ci, co zrobię. Użyję mojej mocy, a niektórzy twierdzą, że nie jest ona wcale taka nieznaczna, żeby się dowiedzieć kim ty jesteś i gdzie miecz jest ukryty. Jego aura powinna być zauważalna dla tych duchów powietrza, które mogę przywołać. Tak, to wygląda na najlepsze rozwiązanie.

– Jestem ci wdzięczna bardziej, niż potrafię wyrazić – powiedziała Alianora. Perspektywa niebezpieczeństwa zdawała się wcale jej nie niepokoić, ważniejsze było to, że Holger nie zostanie jej zdmuchnięty sprzed nosa w ciągu najbliższych kilku minut.

– Obawiam się, że nie dysponuję pokojami gościnnymi – powiedział Martinus – ale w mieście jest zajazd, w którym możecie się zatrzymać. Powiedzcie właścicielowi, że ja was przysyłam i… hmm, nie zapomniałem o tym jego rachunku. W każdym razie wróćcie tu jutro… Ach, tak. Chciałbyś może ukryć się przed tym Saracenem? Mam bardzo dobre przebrania, po umiarkowanych cenach.

– Saracenem? – zdziwił się Holger.

– Co? Nie mówiłem ci? No proszę, znowu czegoś zapomniałem. Staję się roztargniony. Muszę zapisać, żeby przy najbliższej okazji rzucić czar wzmacniający pamięć. No więc, to ten Saracen, który cię szuka. Również jest w mieście.

Rozdział XVI

Przeszukanie ksiąg utwierdziło Martinusa w przekonaniu, że nie posiada zaklęć dostatecznie potężnych, żeby zdjąć zasłonę z pamięci Holgera. Ale za pomocą kilku gestów i kłębów śmierdzącego dymu zaopatrzył Duńczyka w nową twarz. Lustro pokazało Holgerowi, że jego oblicze stało się ciemne i wyglądało teraz dość podejrzanie, włosy i krótka, żółta broda, którą wyhodował były czarne, oczy brązowe. Alianora westchnęła.

– Przedtem bardziej mi się podobałeś – stwierdziła.

– Gdy będziesz chciał odzyskać swój naturalny wygląd, zawołaj „Belgor Melanchos" i przebranie zniknie – powiedział Martinus. – Do tego jednak czasu nie podchodź zbyt bylisko do żadnej rzeczy świętej lub poświęconej. Miecz Cortana, na przykład, także rozproszy to zaklęcie. Nie chodzi o to, że grzech,

ogłupionym, zniewolonym, ale w sensie absolutnym nie można było zostać zwyciężonym, chyba że się samemu tego chciało.

Poza tym, siła ich czarów zdawała się zależeć od odległości. Im bardziej Holger oddalał się od Faerie, tym mniejsze zagrożenie stanowili dla niego jej mieszkańcy.

Nie znaczyło to, że mógł lekceważyć Alfrika. Przeciwnie. Książę co prawda nie był naczelnym wodzem wrogich sił – Morgan le Fay miała wyższą pozycję, a ponad nią musieli być inni, aż do końca, do Tego, o którym Holger nie bardzo miał ochotę rozmyślać. Jednak dysponował dużą mocą, był chytry, biegły w podstępach i wcale z niego nie zrezygnował. Morgan również dopiero zaczęła.

Gdybym tylko wiedział do czego jestem im potrzebny?

Przez cały dzień koń musiał się wspinać. Na szczyt przełęczy dotarli dopiero po zachodzie słońca. Miejsce było nagie, z rzadka tylko porośnięte kępami trawy, sterczącymi spomiędzy leżących tu i ówdzie głazów. Zimny wiatr dął w górę zboczy i ponad grzbietem. Papillon wydmuchnął wargi w westchnieniu i opuścił łeb.

– Biedny zwierzak – Alianora poklepała aksamitny pysk. – Zmusiliśmy cię do ciężkiej pracy, prawda? I na dodatek nie dostaniesz dziś nic lepszego od suchego zielska. – Znalazła głaz z zagłębieniem na wierzchu i cierpliwie nalewała tam wodę z bukłaka, aż Papillon zaspokoił pragnienie. Holger tymczasem wytarł i wyczyścił ogiera. Zaczął uważać swą wprawę w obchodzeniu się z końmi za zupełnie naturalną, ale był nieco zaskoczony intensywnością uczuć, jakie żywił do Papillona. Ze smętnie postrzępionego i zabłoconego jedwabnego kropierza zrobił coś, co mogło spełnić rolę pledu i okrył tym grzbiet konia. Po przygotowaniu obozowiska i pochłonięciu kolacji, ogromnie zmęczeni, wreszcie poszli spać.

Alianora miała pierwszą wartę, potem Holger, w końcu Hugi. Ułożywszy się obok dziewczyny, Holger stwierdził, że nie może się zmusić do ponownego zaśnięcia. Jej głowa zrobiła sobie poduszkę z jego ramienia, jedno ramię spoczęło mu na piersi. Wiatr szumiał zbyt głośno, żeby mógł słyszeć jej oddech, jednak czuł lekki, miarowy ruch, czuł też ciepło, którym zdawała się promieniować w miejscach, w których go dotykała. Poza tym było mu strasznie zimno, chłód przesączał się przez opończe, którymi byli przykryci. Koc spod siodła, służący im za posłanie, niezbyt łagodził przekleństwo twardej ziemi.

Jednak nie dlatego nie mógł zasnąć. Niebezpieczeństwo wyostrzyło jego zmysły, a teraz ta istota z ciepła i zmierzwionych włosów leżała prawie na nim… Próbował zająć się wspominaniem Meriven, ale to jeszcze pogorszyło sprawę. W tej chwili, pomyślał z goryczą, mógłbym być z Morgan le Fay.

Zostawiając Alianorę samą, w obliczu nadciągającego wroga? Nie! Niemal nieświadomie sięgnął ku niej. To był następny błąd. Zanim zrozumiał co się dzieje, jego dłoń wśliznęła się pod pierzastą tunikę i nakryła miękką, młodą pierś. Alianora poruszyła się, mrucząc przez sen. Holger zastygł bez ruchu, nie miał jednak dość siły woli, żeby dłoń wycofać. W końcu, głęboko poruszony, czując mrowienie na całym ciele, otworzył oczy.

Gwiazdy błyszczały jak w zimie. Nie było księżyca, ale z położenia Wielkiego Wozu wywnioskował, że świt jest już niezbyt odległy. Na ziemi ciemność była niemal absolutna. Zobaczył sylwetkę Hugiego, przycupniętą przy niskim, czerwonym ogniu, poza nim tylko piętrzące się na tle nieba masywy gór. Ta turnia tam…

Przedtem jej nie widział!

Skoczył na równe nogi i chwilę później ziemia zadrżała. Potem jeszcze raz, i znowu, jakby uderzano w gigantyczny bęben. Góra drżała jak dom, w którym po schodach wchodzi ktoś wyjątkowo ciężki. Holger słyszał obsypujące się i toczące w dół stoku kamienie. Chwycił miecz i wtedy olbrzym był już przy nich.

Stopa wielkości człowieka kopnęła i rozrzuciła pierścień ochronny. Blask ognia wydobył z mroku wielkie, długo nie obcinane paznokcie. Alianora krzyknęła. Holger zasłonił ją swoim ciałem. Papillon skoczył ku niemu rżąc wyzywająco, szyja i ogon wygięte, nozdrza rozszerzone. Hugi na czworakach dołączył do Alianory.

Olbrzym przysiadł i paluchem jak konar dębu pogrzebał w ognisku. Gdy płomienie buchnęły wyżej, Holger zobaczył, że był to humanoid, jakkolwiek groteskowo krępy i krótkonogi w stosunku do swej wysokości. Jeżeli nawet, błysnęła mu myśl, prawo proporcji w tym świecie nie działa dokładnie tak jak

w moim, jego kości muszą mieć spory przekrój poprzeczny, żeby unieść taki ciężar. Niezgrabne ciało odziane było w niestarannie pozszywane skóry. Ten ślad zapachu, który doleciał Holgera wzbudził w nim wielkie zadowolenie z tego, że nie stoi pod wiatr. Olbrzym, o ile mogło to być ocenione poprzez plątaninę włosów i brody, miał akromegaliczne rysy twarzy, oczy kryły się pod okapami wystających łuków brwiowych, nos i szczęka sterczały prostacko, usta były grube i ciężkie, zęby przerażająco wielkie.

– Wsiadaj na Papillona, Hugi – powiedział Holger. Teraz, gdy pierwsze zaskoczenie minęło, przestał się bać. Nie odważyłby się bać. – Zatrzymam go tak długo, jak będę mógł. Alianora, wzbij się w powietrze.

– Zostanę z tobą. – Jej głos trochę drżał, ale stanęła za nim z dumnie uniesioną głową.

– Jak to się mogło stać? – jęknął Hugi. – On ze Środkowego Świata się wywodzi. Czary powinny stanąć mu na przeszkodzie.

– Szedł za nami – powiedziała Alianora cierpko. – Tacy jak on potrafią stąpać cicho, jeśli chcą. Czekał na chwilę, kiedy wśród nas narodzą się myśli tak nieczyste, że święte znaki stracą swoją moc. – Jej wzrok oskarżał kulącego się krasnoluda. Holger wiedział jednak, że Hugi niczemu tu nie zawinił i poczuł się dość podle.

– Mówcie tak, żebym mógł was słyszeć!

Olbrzym nie mówił ogłuszająco głośno, nie miał też zbyt barbarzyńskiego akcentu. Trudno go było zrozumieć ze względu na tembr jego głosu: tak niski, że niesłyszalne dolne rejestry drżały w kościach ludzi. Holger zwilżył wargi, postąpił krok naprzód i powiedział swym najgrubszym głosem:

– W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, rozkazuję ci odejść!

– Pfe! – zlekceważył go olbrzym. – Za późno na to, śmiertelniku. Złamałeś krąg dobra grzesznymi chęciami, a nie dokonałeś jeszcze aktu skruchy. – Wyciągnął rękę. – Alfrik powiedział mi, że idąc tędy znajdę smakowity łup. Oddajcie mi dziewczynę, a sami możecie iść swoją drogą.

Holger chciał wykrzyczeć jakieś gromkie wyzwanie, stosowne do jego pogardy dla takich propozycji. Na Boga, bywa los gorszy od śmierci! Niestety do głowy przychodziły mu tylko zdania niezbyt stosowne dla dziewczęcych uszu. Zamiast tego skoczył naprzód. Jego miecz ciął ogromne knykcie.

Olbrzym cofnął gwałtownie rękę, podmuchał na dymiącą ranę i krzyknął:

– Wstrzymaj się! Porozmawiajmy!

Holger, niemal zwalony z nóg decybelami, opuścił miecz.

Jemu, który przywykł do tego, że jest najwyższą osobą w okolicy, wisząca w górze twarz wydawała się nawet szersza niż była w rzeczywistości. Ale stał twardo w miejscu. Usłyszał, jak *basso profundissimo* przemawia dość zgodnym tonem:

– Posłuchaj, śmiertelniku, czuję, że jesteś wielkim rycerzem. I oczywiście rani mnie dotyk żelaza. Jednak jest mnie bardzo dużo i pewnie zgniótłbym cię głazami zanim zdążyłbyś mi wyrządzić jakąś poważniejszą szkodę. Co powiesz na zmagania w łatwiejszy sposób? Jeżeli zwyciężysz rozumem, będziecie mogli odejść bez przeszkód. Na dodatek zapełnię twój hełm złotem. – Wskazał na sakwę, wiszącą u jego pasa, w której musiało się mieścić kilkadziesiąt kilogramów. – Jeśli przegrasz, oddasz mi dziewczynę.

– Nie! – Holger splunął na ziemię.

– Poczekaj. Poczekaj kochany. – Alianora chwyciła jego ramię z nagłym zapałem. – Spytaj go, czy myśli o pojedynku na zagadki.

Holger, zdziwiony, zrobił to. Olbrzym skinął głową.

– Tak. Do twej wiadomości – my z Wielkiego Ludu siadujemy w naszych dworach w nieskończenie długie zimowe noce naszej ojczyzny, rok po roku, stulecie po stuleciu, i spędzamy czas, urządzając turnieje, w których liczy się umysł. Ponad wszystko cenimy zagadki. Nie stracę czasu nawet jeżeli pozwolę wam odejść po tym, jak usłyszę od ciebie trzy nowe zagadki, z których na dwie nie znajdę rozwiązania. Będę mógł je później sam wykorzystać. – Jego potworne oblicze z niepokojem zwróciło się na wschód. – Pośpiesz się jednak.

Oczy Alianory zabłysły.

Alianora kaszlnęła.

– Och, wybaczcie mi – powiedział Martinus. – Rozgadałem się. Brzydki zwyczaj, gadatliwość. Muszę sobie zapisać, żeby nie gadać. – Napełnił i podał im puchary. Wino było znośne. – Mów dalej, dobry panie, błagam cię. Powiedz wszystko.

Holger westchnął i zaczął swoją opowieść. Martinus zaskoczył go pytaniami i komentarzami równie przenikliwymi jak te, które przedtem słyszał od księcia Alfrika. Gdy Holger opowiadał o swoim pobycie u Matki Gerdy, czarownik potrząsnął głową.

– Znam ją – powiedział. – Niezbyt przyjemna postać. Nic dziwnego, że wpadłeś w tarapaty. Zabawia się czarną magią. To przez takich nielicencjonowanych partaczy cała nasza profesja traci dobre imię. Ale mów dalej, panie.

Gdy Holger skończył, Martinus zmarszczył czoło.

– Dziwna historia – powiedział. – Tak, myślę, że twoje przypuszczenie jest słuszne. Jesteś w samym centrum jakiejś naprawdę poważnej sprawy.

Holger z drżeniem pochylił się ku niemu.

– Kim ja jestem? Kto nosi w herbie trzy serca i trzy lwy?

– Obawiam się, że nie wiem, sir Holgerze. Podejrzewam, że jesteś, albo byłeś jakąś ważną postacią w krajach, leżących na zachodzie, we Francji na przykład. Czy znana ci jest mistyczna geografia? No więc, świat Ładu – człowieka – otoczony jest ze wszystkich stron domenami Chaosu, jest jak wyspa na morzu Środkowego Świata. Na północy mieszkają olbrzymi, na południu smoki. Tu w Tarnberg jesteśmy blisko wschodniej granicy obszarów zamieszkanych przez człowieka i trochę wiemy o takich królestwach jak Faerie i Trollheim. Ale wieści podróżują powoli, po drodze gubią się i zmieniają. Tak więc do nas docierają tylko niejasne, poprzekręcane pogłoski o krajach zachodu – nie tylko o domenach Środkowego Świata na zachodnim oceanie, jak Avalon, Lyonesse i Huy Braseal, ale nawet o państwach ludzi, takich jak Francja czy Hiszpania. I dlatego nie potrafię zidentyfikować tego rycerza serc i lwów, który w jakiś sposób wydaje się być tobą samym, mimo że w tamtych stronach może on należeć do znanego rodu. Nie sądzę też, żeby w moich księgach znalazły się jakieś informacje w tej materii, chociaż, prawdę powiedziawszy, naprawdę muszę w najbliższym czasie skatalogować moją bibliotekę. Jednak myślę, że w ogólnych zarysach – stał się bardziej poważny i jakby stracił część roztargnienia – potrafię sobie wyobrazić, co się stało. Ten rycerz z zachodu był dla Chaosu zbyt poważnym przeciwnikiem, żeby mogli mu stawić czoła. Prawdopodobnie był jednym z Wybranych, jak Karol, Artur czy najwięksi z ich paladynów. Nie mam na myśli świętego, ale wojownika, którego Bóg obdarował ponad przeciętność i na którego barki złożył potem ponadprzeciętny ciężar. Rycerze Okrągłego Stołu i dworu Karola już od dawna nie żyją, ale ich miejsce mógł zająć inny heros. I tak Chaos, zanim może mieć nadzieje na nowe podboje, musi tego człowieka usunąć ze swej drogi. Mogła to zrobić Morgan, grzebiąc w nim wspomnienia o przeszłym życiu i to tak głęboko, że żadne zwykłe zaklęcie nie może ich wydobyć. Potem zmieniła go w dziecko i wysyłała do jakiegoś innego świata w nadziei, że nie powróci do czasu ostatecznego zwycięstwa Chaosu. Nie potrafię powiedzieć dlaczego po prostu go nie zamordowała. Być może nie chciała. A może, będąc jednym z Wybranych, był chroniony przez moc większą niż ta, którą ona włada. W każdym razie przypuszczam, że w chwili, która wydaje się przełomowa został tu sprowadzony z powrotem. Bezpośrednia boska interwencja jest raczej mało prawdopodobna. Z całym dla ciebie szacunkiem, panie, nie wydaje mi się, abyś znajdował się w stanie łaski, a z pewnością ciągle działa zaklęcie, położone na twój mózg. Nie, sądzę raczej, że Morgan po prostu nie zdaje sobie sprawy z tej jedności wszelkiego stworzenia, na temat której snułeś teorie. W chwili największej potrzeby heros m u s i a ł powrócić. A teraz Środkowy Świat przywołuje wszelkie swoje umiejętności i siły, żeby mu uniemożliwić działanie. Jemu, albo tobie, bo chyba tak właśnie sprawy się mają.

– To oczywiście tylko spekulacje, mój drogi panie, czysta teoria – zakończył Martinus lżejszym tonem. – Ale pochlebiam sobie, że pasuje do wszystkich znanych faktów.

Holger zgarbił się. Co za dziwaczna sytuacja. Wcale nie podobała mu się rola figury na szachownicy.

Ale Alianora bardzo go chwaliła, a poza tym nie bardzo wiedział do kogo zamiast niego miałby się zwrócić.

Gdy otworzyli drzwi, rozległ się czysty głos dzwonka. Sklep był ciemny i zakurzony. Półki i stoły były zawalone stertami butelek, pojemników, moździerzy, alembików, retort, wielkich, oprawnych w skórę ksiąg, czaszek, wypchanych zwierząt i Bóg jedyny wiedział czego jeszcze. Sowa zahukała ze swej grzędy, spod ich nóg wyskoczył kot.

– Idę, idę, zacny panie, małą chwileczkę, proszę – zawołał wysoki, cienki głos. Mistrz Martinus wydreptał z zaplecza, zacierając ręce. Był małym człowieczkiem, ubranym w sfatygowaną, czarną szatę z symbolami zodiakalnymi, mocno wyblakłymi od wielokrotnego prania. Miał zupełnie łysą, okrągłą głowę z jakby przyklejoną, rzadką bródką. Oczy krótkowidza mrugały bez przerwy, usta uśmiechały się nieśmiało.

– Och, witaj panie, witaj. Jak zdrowie? – Przyjrzawszy się bliżej: – Przecież to mała łabądziewa. Wejdź proszę, moja droga, wejdź. Ale oczywiście ty już weszłaś, prawda? Tak, tak, oczywiście już weszłaś.

– Mamy dla ciebie zadanie, Martinusie – powiedziała Alianora. – Może być uciążliwe, ale nie mamy już nikogo, kto mógłby pomóc.

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze, zrobię, co tylko w mojej mocy, moja droga, i ty też, szlachetny panie. Zrobię, co tylko będę mógł. Przepraszam. – Martinus wytarł kurz z wiszącego na ścianie pergaminu, co było jednym ze sposobów zwrócenia nań uwagi Holgera. Napis na nim oznajmiał, że Martinus filius Holofi sprostał wszelkim zadaniom przez radę egzaminatorów postawionym, etc., etc., przeto mocą powierzonego mi z łaski Regentów Uniwersytetu w Rhiannon urzędu niniejszym nadaję mu tytuł Magistra w zakresie Nauk Magicznych, wraz z wszelkimi przywilejami i obligacjami tytułowi temu przynależnymi, etc., etc.

– Obawiam się, że nie mogę... – Holger chciał właśnie wyjaśnić, że nie ma żadnych pieniędzy, ale Alianora wbiła mu łokieć w żebra.

– Straszne sekrety wiążą się z tą sprawą – powiedziała prędko – i żaden zwykły czarownik by jej nie podołał, więc przyprowadziłam tego rycerza od razu do ciebie.

Obdarzyła przy tym magika takim uśmiechem, że nawet Holger, który był o krok od pójścia sobie z tego miejsca, poczuł się zupełnie zniewolony.

– I bardzo mądrze zrobiłaś, dziewczyno, bardzo mądrze, jeśli mogę tak powiedzieć. Przejdźcie, proszę, do mego biura i tam wszystko omówimy.

Martinus podreptał przed nimi do pokoiku równie brudnego i zaśmieconego jak sklep. Zgarnął książki z krzeseł, mrucząc jakieś przeprosiny za swego służącego, potem zapiszczał głośniej:

– Wina! Przynieś wina dla trojga.

Po chwili ciszy:

– Hej, ty tam! Obudź się, mówię! Wina dla trzech osób.

Holger usiadł na jednym z krzeseł, które ostrzegawczo zatrzeszczało pod jego ciężarem. Alianora przysiadła na brzegu następnego, strzelając wokół oczyma jak ptak w matni. Martinus znalazł trzecie siedzisko, skrzyżował nogi, złączył dłonie czubkami palców i spytał:

– A więc, panie, jaki masz problem?

– No cóż, hmm... – odpowiedział Holger. – To wszystko zaczęło się, gdy... och, do diabła, właściwie nie bardzo wiem od czego zacząć.

– Może chcesz położyć się na sofie? – spytał Martinus troskliwie.

Butelka i trzy zakurzone puchary wpłynęły do pokoju i wylądowały na stole.

– Nareszcie – wyburczał czarownik. Po chwili, gdy niewidzialny służący prawdopodobnie już się oddalił, ciągnął – Mówię wam, w dzisiejszych czasach nie sposób zapewnić sobie uczciwą pomoc. Nie sposób. Na przykład ten tam duch, on jest zupełnie niemożliwy. A przynajmniej nieprawdopodobny – ocenił. – Inaczej bywało kiedyś, gdy byłem chłopcem. Wtedy ich rodzaj znał swoje miejsce. A co do ziół, i mumii, i sproszkowanych żab, no cóż, naprawdę nie dają dziś takiego towaru jaki bywał niegdyś. A te ceny! Mój drogi panie, nie uwierzysz, ale ostatnio Michaelmas...

– Tak myślałam, Holger. Zgódź się. Możesz go przechytrzyć.

Olbrzym zdawał się tego nie słyszeć. Oczywiście, pomyślał Holger, tak wielka istota nie mogła wychwytywać całej skali ludzkiego głosu. Odpowiedział falsetem:

– Nic mi nie przychodzi do głowy.

– Na pewno przyjdzie. – Jej entuzjazm nieco opadł. Zapatrzyła się w ziemię, grzebiąc w niej palcem u nogi. – Jeśli nie potrafisz, no cóż, oddaj mnie. On tylko chce mnie zjeść. Ty jesteś, jak się zdaje, zbyt ważny dla całego świata, żeby ryzykować życie w walce o takie nic jak ja.

Zastanawiał się gorączkowo. Jakie znał zagadki? „Cztery wiszą, cztery idą, dwa prowadzą, jeden goni...." Krowa. Pytanie Samsona do Filistynów. Kilka tego typu. Ale olbrzym niewątpliwie je słyszał w ciągu tych wieków, o których wspomniał. A on sam, Holger, nie był na tyle błyskotliwy, żeby na poczekaniu wymyślać nowe łamigłówki.

– Wolę walczyć o kogoś, kogo znam, takiego jak ty, niż... – zaczął. Przykucnięty olbrzym przerwał burknięciem:

– Pośpiesz się, powiedziałem!

Szalona myśl przemknęła mu przez głowę.

– Nie może wytrzymać promieni słonecznych? – spytał Alianorę głosem eunucha.

– Nie – odpowiedziała. – Jasne światło zmienia jego skórę w kamień.

– Uhu – zapiszczał Hugi – jak mu na tyle długo głowę zajmiesz, chłopie, że świt go zaskoczy, będziemy mogli tę jego sakwę ze złota opróżnić.

– Nie jestem tego pewna – powiedziała Alianora. – Słyszałam, że skarby zdobyte takim podstępem są przeklęte i człowiek, który je posiądzie szybko umiera. Holger, za godzinę on musi uciekać przed światłem świtu. Nie potrafisz go zatrzymać przez ten czas, ty który zwyciężyłeś smoka?

– Wydaje mi się... że... może. – Holger odwrócił się do olbrzyma, który zaczynał już powarkiwać z niecierpliwością. – Zmierzę się z tobą – powiedział.

– Trzy zagadki na dzisiejszą noc – zahuczał olbrzym. Uśmiechał się sadystycznie. – Może następnej nocy zażądam od ciebie trzech kolejnych, a potem znowu... Zwiąż dziewczynę, żeby nie mogła uciec. Szybko!

Holger robił to najwolniej, jak się odważył. Wiążąc Alianorę, wypiszczał:

– Możesz zrzucić te więzy, jeżeli dojdzie do najgorszego.

– Nie, nie ucieknę. Wtedy on by cię zaatakował.

– I tak będę musiał z nim walczyć – powiedział Holger. – Możesz uratować przynajmniej swoje życie. – Jednak nie potrafił, mówiąc falsetem, nadać swemu głosowi odpowiednio heroicznego brzmienia.

Dorzucił kilka patyków do ognia i zwrócił się do olbrzyma, który usiadł, opierając owłosiony podbródek o kolana:

– No, to zaczynamy.

– Dobrze. Dowiesz się chyba z przyjemnością, że masz zaszczyt zmierzyć się z mistrzem zagadek dziewięciu kolejnych turniejów. – Olbrzym spojrzał na Alianorę i oblizał się. – Delikatny kąsek.

Miecz Holgera wyskoczył z pochwy, zanim on sam zorientował się do czego zmierza.

– Hamuj swój plugawy jęzor! – krzyknął.

– Wolisz walczyć? – Ogromne mięśnie zagrały pod skórą.

– Nie. – Holger opanował się. Ale że taki hipopotam odważył się spojrzeć na Alianorę...! – Dobrze. Pierwsza zagadka. Dlaczego kurczak przechodzi przez drogę?

– Co? – Olbrzym rozdziawił usta, jego zęby zalśniły jak mokre kamienie. – Ty mnie o to pytasz?

– Tak.

– Przecież to wie najmniejsze dziecko! Żeby się dostać na drugą stronę.

Holger potrząsnął głową.

– Źle.

– Łżesz! – Mamucie cielsko niemal się wyprostowało.

Miecz Holgera świsnął, przecinając powietrze.



Grzegorz Komorowski

stawały się coraz liczniejsze, łącząc się w przycupnięte wśród pól osady. Od czasu do czasu mijali chronione palisadą, drewniane zamki. Bardziej nowoczesne, kamienne, budowano dalej na zachodzie, na ziemiach będących pod pełnym władaniem Imperium. Góry, które przebyli i mur ciemności Faerie już dawno zniknęły im z oczu. Jednak na północy Holger zauważył niewyraźną, błękitną linię znacznie potężniejszego łańcucha. Trzy najwyższe szczyty jakby unosiły się w powietrzu, blade i odcięte od swych podstaw. Hugi powiedział, że za tymi górami również leżała część Środkowego Świata. Nic więc dziwnego, że tutejsi mężczyźni zawsze chodzili uzbrojeni, nawet w pole. Nic również dziwnego, że wymyślna, hierarchiczna struktura Imperium została tu odrzucona na rzecz stosunków nie obciążonych nadmiernymi formalnościami. Rycerze, u których nocowali przez dwie kolejne noce byli niepiśmienni, twardzi i prostaccy, jednak nastawieni dość przyjaźnie i żądni wszelkich nowinek.

Trzeciego dnia podróży przez tę rolniczą krainę, wraz z zachodem słońca, wjechali do Tarnberg, które, według słów Alianory, było w całej wschodniej połowie księstwa miejscem najbardziej podobnym do miasta. Ale miejscowy zamek ział pustką. Baron wraz z synami padli w bitwie z pogańskimi najeźdźcami z północy, jego żona wyjechała na zachód do krewnych z Imperium, a nie zjawił się jeszcze żaden ich spadkobierca. Była to część ogólnego pecha z ostatnich kilku lat, wyniku promieniowania Chaosu podczas mobilizacji sił Środkowego Świata. Mieszkańcy Tarnberg utrzymywali swoje własne warty na drewnianych umocnieniach i rządzili się przy pomocy zaimprowizowanej rady miejskiej.

Po minięciu bramy Holger zobaczył wybrukowaną ulicę, po której hasały dzieci, psy i świnie, wijącą się między na wpół drewnianymi domami ku rynkowi z kościołem pośrodku. Papillon przepchnął się przez hałaśliwą gromadę kobiet i wyrobników, którzy gapili się na Holgera, pochylali w niezdarnych ukłonach, ale nie odważyli się odezwać. Reklamowanie własnej osoby nie miało żadnego sensu, więc Holger naciągnął pokrowiec na tarczę. Alianora, która wraz z Hugim jechała przodem, była tu dobrze znana i Holger słyszał jak ludzie do niej wołali:

– Hej, łabądziewo, co nam teraz przynosisz?

– Co to za rycerz?

– Co nowego w lasach, panienko?

– Jakieś wiadomości z Charlemont? Widziałaś mego kuzyna Hersenta?

– Wiesz coś o gromadzeniu się zastępów w Faerie? – niespokojny głos, ludzie, którzy słyszeli to pytanie żegnali się ze strachem.

– Czy to nowy pan, który ma nas bronić?

Dziewczyna uśmiechała się, machała ręką, ale bez specjalnego zapału. Nie lubiła tylu ludzi i murów wokół siebie.

Poprowadziła Holgera ku domowi węższemu nawet i bardziej krzywemu niż miejska przeciętna. Ponad drzwiami, z galeryjki, zwisał szyld. Holger przeczytał kwiecistą inskrypcję:

MARTINUS TRISMEGISTUS
Magister Magici
Zaklęcia, Czary, Przepowiednie, Uzdrawianie, Napoje Miłosne
Błogosławieństwa, Klątwy, Sakiewki-zawsze-pełne
Specjalne zniżki przy większych zamówieniach

– Hm – powiedział. – Wygląda na gościa z inicjatywą.

– Och, na pewno – odpowiedziała Alianora. – Jest również miejskim aptekarzem, dentystą, różdżkarzem, skrybą i weterynarzem.

Zeskoczyła zręcznie na ziemię, błysnąwszy długimi, gołymi nogami. Holger poszedł za jej przykładem, potem przywiązał wodze Papillona do słupa przed wejściem. Kilku podejrzanie wyglądających typów przeszło drugą stroną ulicy, uważnie przyglądając się koniom i ekwipunkowi.

– Miej oko na wszystko, Hugi – powiedział Holger.

– Po co, już mogę płakać nad głupkiem, co skraść Papillona umyśli – odpowiedział krasnolud.

– Tak, tego właśnie się obawiam.

Miał wątpliwości czy powinien powierzyć swoją tajemnicę temu czarownikowi od mydła i powidła.

moralna powinność, która zmusiła go do szczerego opowiedzenia jej wszystkiego o sobie, swoim pochodzeniu i zamiarach. Nie chodziło o to, że nie rozumiała, ale...

Jednak prawdziwy kłopot wiązał się z jej stosunkiem do niego. Do diabła, przecież wcale nie miał zamiaru się z nią wiązać. Figle na sianku z kimś takim jak Meriven albo Morgan to jedno, ale Alianora to zupełnie coś innego. W sytuacji, w której on miał zamiar powrócić do swego świata przy pierwszej nadarzającej się okazji, romans między nimi nie byłby dobry dla żadnej ze stron. Holger chciał pozostać gentlemanem, ale ona w najmniejszym nawet stopniu mu tego nie ułatwiała. Z trwożliwą, patetyczną nadzieją parła do romansu.

Pewnego wieczora Holger odciągnął Hugiego na bok. Spędził właśnie godzinę ucałowując Alianorę na dobranoc. Potrzebował całej siły woli, żeby na tym poprzestać i zmusić ją do spokojnego ułożenia się do snu.

– Hugi – powiedział – wiesz chyba, co się dzieje ze mną i Alianorą.

– Ano, mam przecie oczy – krasnolud wyszczerzył zęby w uśmiechu. – I dobrze się dzieje. Ona za długo żyła mając za przyjaciół jeno leśnego zwierza i mój lud.

– Ale... przecież ostrzegałeś mnie, żebym się zachowywał wobec niej przyzwoicie.

– Wtedym cię jeszcze nie znał. Teraz myślę sobie, że dobrze się dla niej nadajesz. A dziewce potrzeba chłopa. Ty i ona moglibyście panować nam w lasach. Radzibyśmy wam byli.

– No tak, nie ma z ciebie żadnej pomocy.

– Byłem ci pomocny jakem mógł – powiedział Hugi urażonym tonem. – Nie wiesz nawet, ile razy twarz w drugą stronę odwracałem, albo do lasu szedłem, żebyście sami zostali.

– Ale to nie... Och, nieważne.

Holger zapalił fajkę i zapatrzył się ponuro w ognisko. Nie był żadnym Don Juanem. Nie mógł zrozumieć, dlaczego w tym świecie kobiety jedna po drugiej rzucały mu się w ramiona. Meriven i Morgan miały dość przyziemne motywy, ale nie był na tyle tępy, żeby nie zauważyć z jaką przyjemnością wykonywały swoje obowiązki. A Alianora najzwyczajniej w świecie się w nim zakochała. Dlaczego? Nie miał żadnych złudzeń co do swej atrakcyjności.

Ale oczywiście ten człowiek, który stanowił jego tutejsze alter ego mógł być zupełnie inny. Mógł sobie wyobrazić, że dokonujący się w nim teraz, powolny powrót do zapomnianych zwyczajów przejawiał się w tysiącach nieuchwytnych drobiazgów, które zmieniały jego obraz, sposób, w jaki był odbierany przez innych. Więc jaki on był, ten rycerz, noszący w herbie serca i lwy?

Zastanówmy się. Spróbujmy sobie wyobrazić na podstawie tego, co się dotychczas wydarzyło. Najwyraźniej był potężnym wojownikiem, a to najbardziej się w tym świecie liczyło. Porywczy, ale dość pogodny awanturnik, niezbyt bystry, jednak dający się lubić. Zapewne trochę idealista: Morgan mówiła, że bronił Ładu, nawet jeśli mógł zyskać dużo więcej opowiadając się po stronie Chaosu. Musiał mieć jakiś sposób na kobiety, gdyż inaczej taka twarda i inteligentna osoba jak ona raczej nie zabrałaby go ze sobą na Avalon. I... i... to już chyba wszystko, co potrafił wydedukować. A może, co pamiętał?

Nie, chwileczkę. Avalon. Holger spojrzał na swoją prawą dłoń. Ta sama dłoń spoczywała na balustradzie z zielonego malachitu, której szczytowa powierzchnia wyłożona była wzorami ze srebra i rubinów. Pamiętał, że promienie słońca padały na wierzch tej dłoni, zmieniając włosy w złote druciki, wyraźne na tle brązowej skóry, i że srebro, gdy je dotykał, było cieplejsze niż kamień, i że rubiny płonęły krwawo. Balustrada stała na szczycie urwiska, pionowej skały, która była ze szkła. Patrząc z góry, widział jak światło łamie się w grotach na milion tęczowych okruchów i jak wraca na zewnątrz – gorące iskry czerwieni, złota, fioletu. Morze w dole było ciemne, niemal purpurowe, z pianą o zadziwiającej bieli w miejscach, w których skały przecinały wodę... gdyż Avalon nigdy nie stał w miejscu, pływał po zachodnim oceanie, otulony mgłą swej własnej magii...

Niczego więcej nie mógł sobie przypomnieć. Westchnął głęboko i ułożył się do snu.

Po kilku dniach, może tygodniu – Holger stracił dokładną rachubę – wyszli z dziczy i znaleźli się na obszarze, na którym las został niemal doszczętnie wycięty, przypominając o sobie jedynie rozrzuconymi tu i ówdzie zagajnikami. Łany żyta i pszenicy falowały na zboczach wzgórz, kudłate, małe koniki, krowy i owce pasły na ogrodzonych łąkach. Chłopskie domy, w tym regionie budowane głównie ze zbitej gliny,

– Znam doskonałą, najzupełniej prawdziwą odpowiedź. I ty musisz ją znaleźć.

– Nigdy o innej nie słyszałem – poskarżył się olbrzym. Jednak usadowił się wygodniej i zaczął gładzić brodę brudną łapą. – Dlaczego kurczak przechodzi przez drogę? No dlaczego, jeśli nie po to, żeby się dostać na drugą stronę? Jaki mistyczny zamysł się w tym kryje? Co mogą sobą reprezentować kurczak i droga? – Zamknął oczy i zaczął się rytmicznie kołysać. Alianora, leżąca ze związanymi rękami koło ogniska, uśmiechnęła się do Holgera szeroko.

Po wieczności, wypełnionej tylko zimnym wiatrem i zimniejszymi jeszcze gwiazdami Holger zobaczył, że oczy giganta się otwierają. W świetle ognia błyszczały jak dwie krwawoczerwone lampy, głęboko pod nawisami brwi.

– Znalazłem odpowiedź – stwierdził przerażający głos. – Zagadka jest podobna do tej, którą Thiazi zwyciężył Grotnira pięćset zim temu. Widzisz śmiertelniku, kurczak to ludzka dusza, a droga to życie, przez które ona musi przejść, z pobocza narodzin na pobocze śmierci. Na tej drodze czyha wiele niebezpieczeństw, nie tylko koleiny ciężkiego znoju i błoto grzechu, ale i wozy wojny i pomorów, ciągnięte przez woły zniszczenia, a w górze krąży jastrząb zwany Szatanem, zawsze gotowy rzucić się na zdobycz. Kurczak nie wie dlaczego przechodzi przez drogę, poza tym, że po drugiej stronie pola wydają mu się bardziej zielone. Przechodzi, ponieważ musi, tak jak my wszyscy musimy.

Jaśniał samozadowoleniem. Holger potrząsnął głową.

– Nie, znowu źle.

– Co?! – Olbrzym podniósł się jak fala. – Och, żesz ty...

– Więc wolisz walczyć? – powiedział Holger. – Wiedziałem, że nie starczy ci rozumu.

– Nie, nie, nie! – zawył gigant, wywołując niewielką kamienną lawinę. Chodził przez chwilę w kółko, aż opanował się na tyle, że znowu mógł usiąść.

– Czas ucieka – powiedział – więc przy tej zagadce się poddaję i proszę o odpowiedź. Dlaczego właściwie kurczak przechodzi przez drogę?

– Ponieważ jest zbyt daleko, żeby obchodzić ją w koło – powiedział Holger.

Przekleństwa olbrzyma spadały mu głowę przez długie minuty. Był z tego całkiem zadowolony. Jego jedynym celem było wygrywanie czasu, w miarę możliwości tak długo, aż pierwsze promienie wstającego słońca padną na jego wroga. Gdy tytan wreszcie uznał, że już wystarczająco uzasadnił swój protest, Holger zdążył zebrać dostatecznie dużo argumentów na temat znaczenia pojęć „pytanie" i „odpowiedź", żeby mogli krzyczeć na siebie przez następne pół godziny. Błogosławione niech będą te wykłady z semantyki, na które uczęszczał podczas studiów! Dziesięć minut zajęła mu sama rekonstrukcja teorii znaczeń Bertranda Russella.

W końcu olbrzym wzruszył ramionami.

– Niech będzie – powiedział złowieszczo. – Nadejdzie następna noc, przyjacielu. Chociaż myślę, że drugą zagadką już ci się nie uda mnie pokonać. Dawaj ją!

Holger odetchnął głęboko.

– Co to jest – spytał – ma cztery nogi, żółte pióra, mieszka w klatce, śpiewa i waży czterysta kilogramów?

Pięść olbrzyma uderzyła w ziemię, aż podskoczyły kamienie.

– Pytasz o jakąś niesłychaną chimerę! To nie zagadka, to pytanie z historii naturalnej!

– Jeżeli zagadką jest pytanie, na które odpowiedź można znaleźć drogą logicznego rozumowania, to zadałem ci zagadkę – powiedział Holger. Ukradkiem spojrzał na wschód. Czy niebo rzeczywiście się rozjaśniło odrobinę?

Olbrzym zamachnął się na niego, spudłował i zabrał się do przeżuwania wąsa. Najwyraźniej nie był zbyt inteligentny, osądził Holger. Nawet najbardziej powolny mózg znajdzie odpowiedź, jeżeli na roztrząsanie problemu ma całe lata. To, co ludzkie dziecko rozwiązałoby w ciągu kilku minut, temu behemotowi mogło zająć godziny. Jednak na pewno posiadał dużą zdolność koncentracji. Siedział z zaciśniętymi oczami, kiwając się i mamrocząc pod nosem. Ogień niemal wygasł, olbrzym stał się jeszcze jednym bezkształtnym cieniem.

Hugi pociągnął nogawkę Holgera.
– Nie zapomnij o złocie – szepnął pożądliwie.
– Ani o przekleństwie na nim – dodała Alianora. – Obawiam się, że jeśli nawet zwyciężymy, to nie całkiem uczciwym sposobem.
Holger był zbyt pragmatyczny, żeby się martwić tym aspektem ich sytuacji. Niewątpliwie tylko święty może walczyć ze złem, nie deprawując się w pewnym stopniu swymi własnymi czynami. Olbrzym pojawił się jako niesprowokowany, kanibalistyczny agresor i oszukanie go, żeby ratować Alianorę nie może być bardzo ciężkim grzechem.
Jednakże... przekleństwa nie należą do rzeczy, które można lekceważyć. Holger poczuł ciarki na plecach. Nie wiedział dlaczego, ale instynkt podpowiadał mu, że zwycięstwo nad tym przeciwnikiem może być równie tragiczne w skutkach jak porażka.
– Gotowe! – Okropna twarz otworzyła się. – Znalazłem twoją odpowiedź, rycerzu. Dwa dwustukilowe kanarki!
Holger westchnął. Nie można zwyciężać za każdym razem.
– Dobrze, Jumbo. Trzecia zagadka.
Olbrzym przerwał zacieranie rąk.
– Nie nazywaj mnie Jumbo!
– Dlaczego nie?
– Ponieważ nazywam się Balamorg. Straszliwe imię, które wiele wdów, wiele sierot, wiele rozniesionych w drzazgi wiosek ma powody długo pamiętać. Nazywaj mnie moim prawdziwym imieniem.
– Och, ale widzisz, tam skąd pochodzę Jumbo jest zwrotem pełnym szacunku. Posłuchaj... – i przez dziesięć czy piętnaście minut Holger snuł jakąś nieprawdopodobną opowieść.
Balamorg przerwał mu stanowczym żądaniem:
– Ostatnia zagadka. I pośpiesz się, albo cię zdepczę.
– Ho, ho. Ale jak sobie życzysz. Powiedz mi w takim razie co to jest: zielone, ma koła i rośnie koło domu?
– Hę? – ogromna szczęka opadła.
Holger powtórzył.
– Jakiego domu? – spytał olbrzym.
– Jakiegokolwiek – odpowiedział Holger.
– Rośnie, powiedziałeś? Pytanie o jakieś fantastyczne drzewa, na których wozy rodzą się jak owoce nie są prawdziwymi zagadkami.
Holger usiadł i zaczął czyścić paznokcie sztychem miecza. Przyszło mu do głowy, że zapalony magnezowy sztylet Alfrika może dać taki sam efekt jak światło słoneczne. A może nie dać. Sumaryczna emisja byłaby prawdopodobnie zbyt mała. Jednak, gdyby doszło do walki mógłby Płomienne Ostrze wypróbować. Zauważył, że może dość wyraźnie dostrzec sylwetkę olbrzyma, mimo że z ogniska został już tylko rozżarzony popiół.
– W moich stronach takie zagadki zadają sobie dzieci – powiedział.
Była to prawda. Jednak zranione ego Balamorga podarowało im kilka następnych minut sapania i chrząkania. W końcu z gniewnym pomrukiem olbrzym wszedł w swój trans koncentracji.
Holger siedział zupełnie nieruchomo. Alianora i Hugi leżeli jak kamienie. Nawet Papillon przestał się poruszać. Ich oczy zwrócone były na wschód.
Niebo rozjaśniło się.
Po jakimś ułamku wieczności olbrzym grzmotnął pięścią w ziemię i spojrzał na nich.
– Poddaję się – zawarczał. – Słońce już mnie przypieka. Muszę szukać schronienia. Jaka jest odpowiedź?
– Dlaczego miałbym ci ją zdradzić? – Holger wstał.
– Ponieważ ja tak mówię! – Kolos również się podniósł, przykucnął, ściągnięte wargi odsłoniły ogromne zębiska. – Albo rozdepczę tę dziewkę na miazgę!
Holger uniósł nieco miecz.

Holger rozprostował ramiona.
– A dlaczego nie? – powiedział. – Według mnie ten pomysł jest zupełnie rozsądny. Jeżeli wywiezie się ją dostatecznie daleko, wpływ mocy Środkowego Świata będzie zbyt mały, żeby wywoływać przemiany. Do tego czasu, oczywiście, będziecie musieli jej dobrze pilnować. Teraz jest jej przykro, ale nie przypuszczam, żeby to potrwało.
– To będzie trwać, gdy wstanie świt i obudzi się jej ludzka dusza – powiedział kapłan. – Wtedy naprawdę będzie potrzebowała pocieszenia.
– Właściwie – ciągnął Holger – nie stało się dotychczas nic poważnego. Jej ojciec może wypłacić odszkodowanie tym, którzy ponieśli jakieś szkody oraz rodzicom zranionych dzieci. Wyślijcie ją do Vienne tak szybko, jak to możliwe. Przypuszczam, że sto mil wystarczy, żeby była zupełnie bezpieczna. A w Imperium nikt nie musi o tym wiedzieć.
Raoul, którego oko zaczęło już sinieć rzucił się do stóp sir Yve'a, podczas gdy Odo, pociągając zakrwawionym nosem, walczył z więzami krępującymi rycerza i jego syna.
– Panie, wybacz nam! – powiedział pasterz.
Yve uśmiechnął się słabo.
– Obawiam się, że to ja muszę was prosić o wybaczenie. A ciebie przede wszystkim, sir 'Olgerze.
Raimberge podniosła mokrą od łez twarz.
– Z-z-zabierzcie mnie stąd – wyjąkała. – Czuję, że ciemność znowu wraca. Zamknijcie mnie gdzieś do świtu. – Wyciągnęła ręce ku linom, zdjętym z jej ojca. – Jutro, panie rycerzu, będę ci mogła naprawdę podziękować.... Uratowałeś moją duszę.
Frodoart objął kolana Holgera.
– Obrońca powrócił! – zawołał.
– Och, Boże, dajcie spokój z tymi bzdurami – zaprotestował Duńczyk. – To znaczy, nie znoszę łzawych scen, a tutaj przyjechałem tylko po to, żeby wyłudzić trochę jedzenia. Ale czy przedtem mógłbym napić się wina?

Rozdział XV

Poza tym, że powinni jak najprędzej, zanim Morgan le Fay wymyśli jakieś nowe diabelstwo, uzyskać poradę eksperta, Holger czuł się w Lourville dość skrępowany. Rodzina Yve'a była oczywiście bardzo wdzięczna, ale niezbyt potrzebowała dalszego wtrącania się obcych w swoje prywatne sprawy i to w tak trudnym okresie. Mieszkańcy miasta byli druzgocąco serdeczni – Holger nie mógł się ruszyć na krok z domu, żeby natychmiast nie zostać otoczonym przez tłum wielbicieli. Lady Blancheflor ubłagała go, żeby położył na niej ręce i w ciągu kilku godzin była na nogach, zupełnie zdrowa. I tak by wyzdrowiała, kryzys w chorobie już minął, ale Holger oczyma wyobraźni zobaczył, jak musi się zajmować każdym przypadkiem reumatyzmu i czyraków w promieniu dziesięciu mil.
I tak, w równej mierze z jednej, jak i z drugiej przyczyny, zostali tylko jeden dzień i następnym świtem wyruszyli w dalszą drogę. Sir Yve nalegał, żeby Alianora przyjęła wierzchowca, co zrobiła z dużym zadowoleniem. Z jeszcze większym zadowoleniem przyjęliby trochę pieniędzy, ale oczywiście żaden szanujący się rycerz nie poruszyłby tak pospolitego tematu.
Kilka następnych dni upłynęło bardzo przyjemnie. Jechali przez wzgórza, doliny i lasy, szukając schronienia, gdy padało, zatrzymując się nad rzekami i jeziorami, żeby łowić ryby i pływać. Od czasu do czasu dostrzegali białą sylwetkę leśnej nimfy albo gryfona, płonącego złotem wysoko na niebie, ale mieszkańcy Środkowego Świata zostawiali ich w spokoju.
Jedynie Alianora, mimo że miła i wesoła, miała pewne minusy jako towarzysz podróży. Zdolność jej łabędziej tuniki do samoodnawiania się i samooczyszczenia zbijała Holgera z tropu – nie mógł się uwolnić od wrażenia, że jest to jej prawdziwa skóra. Poza tym Alianora miała zwyczaj niefrasobliwego zrzucania jej przy każdym kawałku wody, który nadawał się do pływania, co zbijało go z tropu w stopniu dużo większym. Od czasu do czasu pojawiali się jej leśni przyjaciele. Wiewiórka z prezentami z owoców była jeszcze do zniesienia, ale gdy do obozowiska wszedł lew i położył u stóp Alianory świeżo upolowanego jelenia, nerwy Holgera przez następne pół godziny pozostawały napięte jak struny. Jeszcze gorsza była

płynęły z jego ust. Sam nie bardzo wiedział, co za chwilę powie, po prostu głośno myślał, ale ludzie słuchali go w nabożnym skupieniu.

– Ten, którego szukamy jest odmieńcem z racji urodzenia. Nie potrzebuje żadnej magicznej skóry, jak Alianora. Jednak w takim razie ubranie nie może się zmieniać razem z nim, prawda? A więc na swoje polowania wyrusza nagi. Frodoart powiedział mi, na chwilę przed pokazaniem się wilka, że zostawił swego pana w pełnej zbroi, pijącego piwo w tej sali. Samego. Ale nawet z czyjąś pomocą sir Yve w ciągu tych kilku minut nie mógłby rozebrać się ze zbroi, którą na nim widzimy, a potem włożyć ją z powrotem. A więc to nie on jest wilkiem.

– Również Gui rzucił na siebie oskarżenie, ale tylko po to, żeby ratować kogoś innego. Już wcześniej się zdradził. Powiedział, że widział mnie bez hełmu. Dzisiaj wieczorem zdjąłem hełm tylko na minutę. Wtedy, gdy pytałem o drogę tutaj. Włożyłem go z powrotem w chwili, w której zaczęło się zamieszanie. Wilk nie mógł widzieć mnie z gołą głową. Był – nie, była – była wewnątrz domu. Włamała się tylnymi drzwiami i uciekła przez frontowe okno, zasłonięte okiennicą. Gui mógł mnie zobaczyć bez hełmu tylko ze szczytu wieży nad swoim pokojem. Przyglądałem się jej przez chwilę. Pewnie wszedł na górę, żeby się popatrzeć na zapędzanie zwierząt do miasta. A więc w tym czasie nie było go w miejscu, w którym widzieliśmy wilkołaka.

– Lady Blancheflor... – Zamilkł na chwilę. Jak, do pioruna, ma im wytłumaczyć na czym polegają choroby, powodowane przez drobnoustroje? – Lady Blancheflor była chora. Na tę chorobę nie zapadają psy ani wilki. Jeżeli, przybierając wilczą postać nie odzyskałaby zdrowia, byłaby zbyt słaba, żeby tak szybko i zwinnie się poruszać. Jeżeli zaś zdrowie by jej wróciło, to by znaczyło, że wirus... hmmm... diablik powodujący chorobę nie przeżył w zwierzęcym ciele, a więc nie mógłby nadal gnębić jej ludzkiej postaci. Nie miałaby teraz gorączki i zapchanego nosa, prawda? W każdym jednak przypadku lady Blancheflor trzeba uwolnić od podejrzeń.

Raimberge przylgnęła plecami do ściany, jakby chciała w nią wniknąć. Jej ojciec, kompletnie załamany, jęknął i wykręcił się w krześle, próbując sięgnąć ku niej związanymi rękoma.

– Nie, nie, nie – zawodził.

Pospólstwo zaczęło warczeć i wyć, jakby to wśród nich były prawdziwe wilki. Zaczęli podchodzić, najeżony bronią i wyciągniętymi rękami tłum.

Dziewczyna opadła na czworaki. Jak twarz wykręcała się i zmieniała. Straszliwy widok.

– Raimberge! – krzyknął Holger. – Nie! Nie pozwolę im...

Raoul dźgnął w nią włócznią. Holger odbił drzewce na bok i przeciął je mieczem.

Raimberge zawyła. Alianora klęknęła przy niej i chwyciła w ramiona na wpół zmienione ciało.

– Nie – błagała. – Nie, siostro, wróć do nas. On cię uratuje, obiecał.

Kły kłapnęły, próbując ją złapać. Alianora wepchnęła przedramię w pysk, naciągając nim wargi na kły, żeby wilk nie mógł gryźć. Siłowała się z nim przez chwilę, aż w końcu go unieruchomiła.

– Dziewczyno, dziewczyno, my chcemy tylko twego dobra.

Holger wziął się za tłum, gdyż zamieszanie zaczęło się na dobre. Musiał powalić pięścią i płazem miecza kilku najbardziej zapalczywych, zanim reszta trochę się uspokoiła. Ciągle spoglądali spode łba i mruczeli, ale respekt, jaki poczuli do mężczyzny w kolczudze ostudził nieco ich wojownicze nastroje.

Holger odwrócił się do Raimberge. Wróciła już do ludzkiej postaci i łkając tuliła się do Alianory.

– Ja wcale tego nie chcę. Nie chcę. To mnie nachodzi. I... i tak się bałam, że mnie spalą... Ojcze Valdabrun, czy moja dusza jest potępiona? M-myślę, że już nie ma dla mnie dla ucieczki przed piekłem... Te dzieci tak krzyczały...

Holger wymienił z kapłanem spojrzenia.

– To choroba – powiedział. – To nie z jej woli. Nic na to nie może poradzić.

Yve gapił się przed siebie pustym wzrokiem.

– Podejrzewałem, że to może być ona – mruczał. – Kiedy wilk przebiegł obok mnie, a wiedziałem przecież gdzie jest Blancheflor i gdzie jest Gui... zamknąłem drzwi. Chciałem... myślałem, że jeżeli uda się wytrzymać do czasu jej wyjazdu...

– No dobrze – powiedział. – Trawa.

– Co?

– Odpowiedź brzmi: trawa.

– Ale trawa nie ma kół!

– Och, skłamałem z tymi kołami – powiedział Holger.

Furia eksplodowała z Balamorga jednym, ogłuszającym rykiem. Ogromne cielsko runęło ku rycerzowi. Holger odskoczył, starając się być jak najdalej od Alianory. Jeżeli udałoby mu się utrzymać olbrzyma w stanie furii i zamroczenia przez następne pięć minut, samemu pozostając przy życiu, to...

– Puci, puci, puci, nie złapiesz mnie!

Łapy Balamorga klasnęły, usiłując się na nim zamknąć. Holger z całej siły ciął mieczem, odrąbując olbrzymowi czubek palca. Potem były skoki i uniki, cięcia i przysiady, szyderstwa podtrzymujące furię i łapanie powietrza w nielicznych momentach wytchnienia.

Gdy dotknęły go pierwsze promienie słońca, Balamorg zawył. Holger nigdy jeszcze, w niczyim głosie, nie słyszał takiej męki i przerażenia. Uciekał przed przewracającym się cielskiem, wstrząśnięty intensywnością cierpienia, którego był przyczyną. Olbrzym runął na ziemię tak ciężko, że podskoczyły pobliskie głazy. Wił się i przeobrażał. Makabra. Potem zamilkł. Promienie słońca padły na długi blok granitu o ledwie rozróżnialnych ludzkich kształtach, ciągle obleczony w skóry.

Holger również runął na ziemię, wciąż słysząc to wycie.

Przyszedł do siebie z głową na kolanach Alianory. Jej włosy i jej łzy padały na jego twarz jak potoki słonecznego światła.

Hugi podskakiwał wokół wielkiego głazu.

– Złoto, złoto, złoto! – powtarzał. – Każden z wielkoludów sakwę nosi ze złotem. Szybko, człowieku, odetnij ją i będziem bogatsi nad króle!

Holger wstał z pewnym trudem i podszedł do krasnoluda.

– Wolałabym nie – powiedziała Alianora. – Jeżeli jednak uważasz, że lepiej będzie, jeśli weźmiemy jego bogactwa – a na pewno w drodze przyda nam się parę miedziaków – pozwól, że ja będę je niosła, żeby klątwa spadła tylko na mnie. Och, mój kochany!

Holger ruchem ręki kazał Hugiemu odejść na bok i pochylił się nad ściągniętą rzemieniem, zrobioną ze źle wyprawionej skóry sakwą. Kilka monet już z niej wypadło. Błyszczały na ziemi jak miniaturowe słoneczka. Gdyby część tego skarbu, pomyślał, przeznaczyć na jakiś godny cel, na przykład zbudowanie kaplicy Świętemu Jerzemu, pewnie resztę można by było bezpiecznie zatrzymać.

Co to za zapach? Nie smród skór, ale ten drugi, delikatny, jak po burzy pod czystym porannym niebem... Ozon? Tak. Ale skąd?

– Boże! – krzyknął nagle. Poderwał się, chwycił Alianorę na ręce i pognał ku obozowisku.

– Hugi! Uciekaj stąd! Wynosimy się z tego miejsca! Nie dotykaj niczego, jeśli chcesz żyć!

W ciągu kilku minut spakowali się, wskoczyli na Papillona i pogalopowali w dół zachodniego stoku. Dopiero kilka mil dalej Holger poczuł się na tyle bezpiecznie, żeby wstrzymać konia. Hugi i Alianora natychmiast zażądali wyjaśnień. Musiał ich zbyć jakąś niejasną historyjką o nagłej wizji śmiertelnego niebezpieczeństwa, zesłanej mu przez świętych. Na szczęście jego pozycja w grupie była na tyle ugruntowana, że żadne z nich nie zaprotestowało.

Ale w jaki sposób miał im wytłumaczyć prawdę? Sam nie bardzo się orientował w fizyce atomowej. Pamiętał jedynie to, czego na uczelni nauczył się o przeprowadzanych przez takich ludzi jak Lawrence czy Rutheford eksperymentach nad przemianami pierwiastków. I o chorobach popromiennych.

Opowieści o klątwie ciążącej na złocie, które zostało zabrane porażonym przez promienie słoneczne olbrzymom były całkowicie prawdziwe. Podczas przemiany węgla w krzem musiał powstawać radioaktywny izotop, a w tym przypadku w grę wchodziły tony materiału wyjściowego.

Rozdział XIII

Po południu wciąż jeszcze zjeżdżali w dół, jakkolwiek już wolniej i w spokojniejszej atmosferze. Las, przez który jechali, głównie dębowo-bukowy z nielicznymi sosnami, nosił wyraźne ślady obecności człowieka: pnie ściętych drzew, szkółki na polanach, wyskubane przez pasące się zwierzęta poszycie, wreszcie rodzaj drogi, wijącej się ku miasteczku, do którego, według Alianory, powinni dotrzeć jeszcze przed nocą. Holger drzemał w siodle, wyczerpany spotkaniem z Balamorgiem, uśpiony powolną jazdą i śpiewem ptaków.

Minęli samotną zagrodę. Solidna, kryta strzechą chata z obrobionych pni i owczarnia świadczyły o zamożności właściciela. Ale z komina nie unosił się dym, wszędzie panowała cisza i bezruch. Jedynie kruk skakał po pustym podwórku, skrzecząc na nich szyderczo.

Hugi wskazał ścieżkę.

– Widzę po śladach, że kilka dni temu pognał swoje stado ku miastu – powiedział. – Dlaczego?

Promienie słońca, przedzierające się przez sklepienie z liści wydały się Holgerowi jakby chłodniejsze, niż być powinny.

Wieczorem wyjechali na otwartą przestrzeń. Rozciągały się przed nimi pola dojrzewających zbóż, niewątpliwie uprawiane przez mieszkańców osady. Słońce skryło się już za lasem, który na zachodzie czarną krechą podkreślał gasnący, czerwony poblask. Na wschodzie, ponad górami, błyszczały pierwsze gwiazdy. Było jeszcze na tyle widno, żeby Holger mógł zauważyć około milę przed nimi chmurę kurzu na drodze. Cmoknął na Papillona i ogier ruszył zmęczonym kłusem. Alianora, zabawiająca się ściganiem nietoperzy, które wyleciały wraz z zachodem słońca wylądowała za nim i przybrała z powrotem ludzką postać.

– Nie ma sensu niepokoić tych ludzi – powiedziała. – Wyraźnie mają własne kłopoty, które im napędzają strachu.

Wielki nos Hugiego wciągnął powietrze.

– Bydło i owce za mury zaganiają. Uch, jak tu cuchnie! Jeno jest w tym jakaś woń inna... pot ostrzej śmierdzi kiej człek się boi... i coś jeszcze, ślad jakiś dziwaczny, nieludzki. – Przesunął się w tył na łęku siodła, opierając plecy o pierś Holgera.

Stado było całkiem pokaźne. Tu i ówdzie wylewało się z drogi, zbaczając na pola. Chłopcy i psy, biegający wokół i zaganiający z powrotem zbłąkane sztuki, tratowali zboże, wydeptując w nim własne ścieżki. Coś nadzwyczajnego musi ich zmuszać do takiego pośpiechu, pomyślał Holger. Ściągnął wodze, gdyż drogę zagrodziło im kilku uzbrojonych we włócznie wieśniaków. Przez zapadający zmrok Holger zobaczył, że byli to ludzie krępi, jasnoskórzy, brodaci i długowłosi, ubrani w grube kaftany z surowej wełny i spodnie, okręcone rzemieniami od łapci. Byli zbyt spokojni z natury, żeby wpadać w histerię, ale w głosach, które spytały o jego imię słychać było niepokój i strach.

– Sir Holger z Danii i dwoje przyjaciół – odpowiedział. Wyjaśnienie skomplikowanej prawdy nie miało większego sensu. – Przybywamy w pokoju i chcielibyśmy znaleźć tu nocleg.

– 'Olger? – Tęgi mężczyzna w średnim wieku, który zdawał się być przywódcą tej grupy opuścił włócznię i podrapał się w głowę. – Czy ja już gdzieś nie słyszałem tego albo podobnego imienia?

Pomruk przeszedł wśród mężczyzn, ale żaden z nich nie znalazł natychmiastowej odpowiedzi, a obowiązki wobec stada nie zostawiały czasu na głębsze zastanowienie.

– Ktokolwiek nosi imię, które słyszeliście, nie jest mną – powiedział Holger. – Jestem przybyszem z daleka, tylko przejeżdżającym przez te strony.

– No cóż, panie, witajcie w Lourville – powiedział główny wieśniak. – Boję się, że w niedobrym przybywacie czasie, ale sir Yve będzie rad was widzieć... Hej, ty tam! Zawróć tę w dupę kopaną jałówkę, zanim znajdzie się w sąsiednim hrabstwie!... Nazywam się Raoul, panie. Wybaczcie, proszę, to zamieszanie na drodze.



Grzegorz Komorowski

– Jesteście gorsi od zwierząt, napadacie na swego pana!
Odo potrząsnął głową.
– Nie, panienko – powiedział. – Pan, który nie dba o swoich ludzi, to żaden pan. Mam w domu małe dzieci. Nie chcę ryzykować, że będą żywcem pożarte.
Raoul uderzył w ścianę końcem włóczni.
– Cicho tam! – warknął. – Wilk musi dzisiaj umrzeć. Wymień jego imię, sir 'Olgerze. Jego albo jej. Wymień imię wilka.
– Ja... – Holger poczuł nagłą słabość w nogach. Zwilżył wargi.
– Nie możem powiedzieć – krzyknął Hugi.
– A więc tak. – Raoul obrzucił więźniów ponurym spojrzeniem. – Obawiałem się tego. Czy bestia sama się przyzna? Obiecuję jej litościwą śmierć, srebrnym nożem prosto w serce.
– Wystarczy żelazo, póki jest w ludzkiej postaci – powiedział Odo. – No dalej, mówcie. Nie chciałbym poddawać was torturom.
Frodoart poruszył się gwałtownie.
– Zanim to zrobisz – powiedział – będziesz musiał zedrzeć moje ręce ze swego gardła.
Zignorowali go.
– Jeśli nikt się nie przyzna – powiedział Raoul – to lepiej, żeby umarli wszyscy. Mamy tu kapłana, który ich wyspowiada.
Gui zdusił jęk. Raimberge zamarła w śmiertelnym bezruchu. Usłyszeli kaszel Blancheflor, dobiegający z głębi domu.
Yve jakby osłabł, zapadł się w siebie.
– A więc dobrze – powiedział. – To ja jestem wilkołakiem.
– Nie! – wrzasnął Gui. – Ja!
Raimberge jeszcze przez chwilę trwała w bezruchu, potem uśmiechnęła się twardo.
– Obaj szlachetnie kłamią. Jednak to ja jestem prawdziwym odmieńcem, dobrzy ludzie. I nie musicie mnie zabijać, wystarczy pilnować do czasu, aż wyjadę na swój ślub do Vienne. Tak daleko od Faerie będę poza zasięgiem mocy, które zmuszają mnie do przemiany.
– Nie wierzcie jej – powiedział Gui. Yve gwałtownie potrząsnął głową. Ochrypły okrzyk zza przejścia mógł znaczyć, że również Blancheflor bierze winę na siebie.
– To do niczego nie prowadzi – powiedział Raoul. – Nie możemy ryzykować, że *loup-garou* ujdzie z życiem. Ojcze Valdabrun, gotuj się do ostatnich modlitw za tę rodzinę.
Holger wyciągnął miecz i zasłonił sobą pojmanych.
– Dopóki ja żyję nikt tu nie będzie zabijał niewinnych! – zabrzmiał mocny głos, który Holger ze zdumieniem rozpoznał jako własny.
Kowal Odo zacisnął pięści.
– Nie chciałbym cię krzywdzić, sir 'Olgerze, ale jeśli muszę zrobić to dla dobra moich dzieci, to zrobię.
– Jeśli jesteś Obrońcą – powiedział Raoul – wymień imię naszego wroga.
Znowu zapadła martwa, pełna napięcia cisza. Holger czuł trzy pary oczu, palące mu plecy: zgnębionego Yve'a, pełnego zapału Gui i Raimberge, która była tak chętna do pomocy. Usłyszał charczenie chorej kobiety. *Chryste, który odegnałeś demony, pomóż mi teraz.* Dopiero po chwili zorientował się, że po raz pierwszy od dzieciństwa wypowiedział słowa, które były modlitwą.
Jednak sposób, w jaki teraz myślał o tej sytuacji nie miał wiele wspólnego z mistycyzmem – był trzeźwym, praktycznym podejściem inżyniera. Co prawda nie żywił już tak niezachwianej pewności, jak kiedyś, że wszystkie problemy w życiu były w pełni racjonalne. Jednak ten konkretny na pewno był. Tę zagadkę można było rozwiązać za pomocą racjonalnej analizy, logicznego rozumowania. Nie był detektywem, ale przecież wilkołak nie był zawodowym przestępcą. W tym wszystkim musi się kryć...
Nagle rozwiązanie zabłysło w nim jak słońce.
– Na Boga, tak! – krzyknął.
– Co? Co? Co? – Nagle wszyscy bardzo się ożywili. Holger machnął mieczem nad głową. Słowa po-

– Co się stało? – spytała Alianora. – Widzę, że pędzicie swoje zwierzęta na noc za mury, a przecież nie ma tam dla nich zagród.
Holger usłyszał, że jakiś starszy człowiek mamrocze na temat tych zagranicznych turystów i ich skandalicznie rozebranych panienek. Ktoś inny go uciszył:
– Słyszałem o niej, dziadku, to łabędziewa, która żyje trochę na północ i zachód od obszaru Lourville. Mówią, że jest bardzo dobra.
Holger zaczął przysłuchiwać się temu, co mówi Raoul:
– Tak, pani, już od paru dni wypasamy cały inwentarz razem, a po zmierzchu zamykamy stado w mieście. Dziś w nocy nawet ludzie muszą się tłoczyć wewnątrz murów. Nikt już nie ośmiela się po zapadnięciu ciemności zostawać sam na zewnątrz. Po okolicy krąży wilkołak.
– Hej, tak mówisz? – huknął Hugi. – Przeobrażeniec?
– Tak. Ostatnimi laty wiele spraw układało się nie tak, jak powinno. W każdym gospodarstwie jedno nieszczęście goniło za drugim. Tej wiosny moja własna siekiera obsunęła się i otworzyła mi nogę, a potem zrobiła to samo mojemu najstarszemu. Trzy tygodnie leżeliśmy w łóżku, akurat w porze zasiewów. I każda rodzina może opowiedzieć taką historię. Mówią, że to z powodu rzeczy, które dzieją się w Środkowym Świecie za górami. Czarnoksięstwo tak wzrosło w siłę, że jego moc aż tutaj sięga i wszystko na złe obraca. Tak mówią. – Raoul przeżegnał się. – Ja tam nie wiem. Ten *loup-garou* to najgorsza rzecz, jaka dotąd się nam przytrafiła. Chryste strzeż nas.
– A nie może to być zwyczajny wilk, który na wasze zagrody napada? – spytała Alianora. – Często słyszałam, jak ludzie mówili, że gdzieś kręci się wilkołak, a tymczasem był to zwykły zwierz, tylko większy i sprytniejszy niż inne.
– To może być – odpowiedział Raoul zimno – tylko trudno zrozumieć, jak zwykły zwierz mógł wyłamać tyle bram i otworzyć tyle zamków. A i to również, że normalne wilki nie zabijają tuzina owiec na raz, dla czystej rozrywki, jak łasica. Ale ostatniej nocy ta sprawa została rozstrzygnięta. Pier Bigfoot i jego żona Berta byli w swojej chacie, trzy mile w głąb lasu, kiedy szary wskoczył, wyłamując okno i porwał ich dziecko z kołyski. Pier rąbnął go sierpem i przysięga, że żelazo przeszło przez żebra wilka nie czyniąc mu szkody. Potem Berta w szale uderzyła go starą srebrną łyżką, co jej po babce została. Wypuścił dziecko – nawet niezbyt poturbowane, dzięki Bogu – i uciekł przez to samo okno. Więc pytam, czy to normalne zwierzę?
– Nie – powiedziała Alianora, cicho i ze strachem w głosie.
Raoul splunął.
– Więc będziemy spać za murami póki to niebezpieczeństwo nie minie, a wilk niech się włóczy po pustym lesie. Może odkryjemy, kto zmienia skórę i spalimy go. – I łagodniejszym już tonem – Wielka to szkoda dla sir Yve'a, to wszystko, właśnie teraz, gdy jego córka Raimberge przygotowuje się do podróży na zachód i poślubienia w Vienne trzeciego syna margrabiego. Módlmy się o szybki kres naszego smutku.
– Nasz pan nie będzie mógł cię podjąć tak, jak na to zasługujesz, sir 'Olgerze – dodał jakiś chłopak. – Zamierza całą noc chodzić po murach, żeby wilk ich nie przeskoczył. A pani Blancheflor leży w łóżku, zmorzona chorobą. Jednak jego syn i córka zrobią, co w ich mocy.
Holger pomyślał, że on również powinien zgłosić się do wartowania, ale obawiał się, że po ostatniej nocy i całym dniu w siodle nie będzie w stanie powstrzymać się od snu. Chwilę później, gdy jechali powoli na czele stada, spytał Alianory na czym polega niebezpieczeństwo, które tak przeraziło tutejszych ludzi.
– Istnieją dwa sposoby, za pomocą których człowiek może przybrać zwierzęcą postać – odpowiedziała. – Jeden to zaklęcia, rzucane na zwykłych ludzi, takie, jakimi moja tunika z piór zmienia mnie w łabędzia, gdy sobie tego życzę. Drugi jest bardziej ponury. Pewni ludzie rodzą się z podwójną naturą. Do zmiany postaci nie potrzebują czarów i każdej nocy pragnienie, żeby stać niedźwiedziem, albo dzikiem, albo wilkiem, albo jakimś innym zwierzęciem, które jest im przypisane... każdej nocy opanowuje ich to pragnienie. A potem są jak wściekli. W ludzkiej postaci mogą być łagodni i rozsądni, ale jako zwierzęta sieją zniszczenie aż zaspokoją żądzę krwi, lub też aż strach przed odkryciem zmusi ich do przybrania z

powrotem ludzkiej postaci. Niemal nie można ich pokonać, gdyż ich rany goją się w mgnieniu oka. Tylko dotyk srebra zadaje im ból i tylko srebrną bronią można ich zabić. Ale od takiej broni mogą uciec szybciej niż jakiekolwiek prawdziwe zwierzę.

– Jeżeli, hmm..., wilkołak nie ma wpływu na swoją naturę, to ten tutejszy musiał skądś przywędrować, prawda? Gdyby był stąd, już od lat by tu grasował.

– Nie. Ja myślę tak, jak powiedział ten wieśniak – że być może jest to ktoś z nich. Gdyż niewielki ślad wilczej krwi przez lata, nawet przez całe życie, może uchodzić niezauważony, nie będąc na tyle silnym, żeby się ujawnić. Dopiero ostatnio, gdy tak wzrosło w siłę czarnoksięstwo, ten śpiący demon mógł się obudzić. Nie wątpię, że sam wilkołak jest głęboko przerażony. Niech mu Bóg pomoże, jeżeli ci ludzie odkryją kim on jest.

– Niechaj Bóg pomoże każdemu, kto onym rażonym strachem kmiotkom zwidzi się wilkiem – mruknął Hugi.

Holger jechał ku bramie miejskiej ze zmarszczonym czołem, zastanawiając się. Był w tym jakiś sens, chociaż dziwaczny, jak większość rządzących tym wszechświatem praw. Wilkołactwo było prawdopodobnie dziedziczone jako zestaw recesywnych genów. Jeżeli ten zestaw był kompletny, byłeś wilkołakiem zawsze i wszędzie – i najpewniej zostawałeś zabity w chwili, w której twój ojciec po raz pierwszy znajdował wilcze szczenię w kołysce swego dziecka. Jeżeli dziedzictwo było niepełne, tendencja do zmiany postaci była słabsza. W tym biednym wieśniaku, który tutaj nosił tę klątwę, musiała być całkowicie uśpiona i nigdy nie podejrzewana. Do czasu, aż spotężniała moc magiczna dmuchnęła ponad górami ze Środkowego Świata i wzmocniła te procesy biologiczne czy chemiczne, które były z tym związane.

Wytężył wzrok, przebijając ciemności. Miasteczko otoczone było mocną palisadą z biegnącą wzdłuż wąską platformą, po której sir Yve będzie dziś w nocy robił swój obchód. Wewnątrz tłoczyły się wąskie drewniane budynki, parterowe lub jednopiętrowe. Wijące się między nimi ulice były zwykłymi, pełnymi kurzu dróżkami, cuchnącymi teraz odchodami zapełniających je każdej nocy zwierząt. Ta, którą wkroczył do miasta była nieco szersza, i bardziej prosta, ale niewiele. Gdy przekraczał bramę, stał się centrum zainteresowania pewnej liczby kobiet w długich spódnicach i kwefach, rozczochranych dzieci i rzemieślników w roboczych ubraniach. Większość z nich trzymała pochodnie, migoczące i kopcące w głęboko purpurowe niebo. Odprowadzali go wzrokiem, zniżając z szacunkiem głosy.

Zatrzymał się w pobliżu prowadzącej w bok uliczki, ciemnego tunelu, utworzonego przez stojące z obu stron domy i niemal przykrytego ich wystającymi galeryjkami. Zauważył majaczący ponad kalenicami szczyt kanciastej wieży, która prawdopodobnie była częścią siedziby sir Yve'a. Pochylił się w stronę krzepkiego mężczyzny, który przygładził sobie włosy i powiedział:

– Kowal Odo, panie, do usług.

Holger wskazał uliczkę.

– Czy to droga do dworu waszego pana?

– Tak, panie. Ty, Frodoart, czy pan jeszcze w domu?

Młody człowiek w wyblakłych szkarłatnych pantalonach i z mieczem przy boku skinął głową.

– Przed chwilą go opuściłem, uzbrojonego od stóp do głów. Pokrzepiał się kuflem piwa przed wejściem na mury. Jestem jego giermkiem, panie rycerzu. Zaprowadzę cię do niego. To miejsce to istny labirynt.

Holger zdjął hełm, gdyż jego włosy były mokre od potu po całym dniu pod żelazem, a nocny wiatr, nawet jeśli niezbyt wonny, chłodził przyjemnie. Nie mógł spodziewać się oszałamiających wygód po tutejszym dworze. Sir Yve de Lourville najwyraźniej nie był zbyt bogaty – prowincjonalny rycerz z garstką czeladzi, strzegący tych stron przed bandytami i spełniający funkcje miejscowego sędziego. Raoul był przepełniony obywatelską dumą, mówiąc o zaręczynach jego córki z młodszym synem pomniejszego arystokraty z zachodniej części Imperium.

Och, no i co z tego? I tak wszystko, czego mi teraz potrzeba, to coś do jedzenia i miejsce, gdzie się mogę przespać.

Giermek poszedł przodem z pochodnią. Holger poklepał Papillona, żeby mu dodać odwagi i wjechał w uliczkę.

mi. Trzecie drzwi widniały na wprost wejścia. Holger zaczął od tych ostatnich. Otworzyły się na pokój, obwieszony skórami i pogryzionymi przez mole gobelinami. Światło woskowych świec padało na kobietę, leżącą na łożu z baldachimem. Proste, siwiejące włosy otaczały przystojną, płonącą gorączką twarz. Kobieta kichała i kaszlała w chusteczkę. Ciężki przypadek zaziębienia, ocenił Holger. Dziewczyna, która siedziała obok łóżka, a teraz się podniosła była dużo bardziej interesująca – miała zaledwie szesnaście lub siedemnaście lat, ale przyjemną figurę, długie jasne warkocze, niebieskie oczy, mały zadarty nosek i atrakcyjne usta. Ubrana była w prostą, jednoczęściową suknię, ściągniętą pasem ze złotą klamrą.

Holger ukłonił się.

– Pani, panienko, wybaczcie proszę wtargnięcie. Zmusza mnie do tego konieczność.

– Wiem – odpowiedziała dziewczyna zdenerwowanym głosem. – Słyszałam.

– Panna Raimberge, prawda?

– Tak, córka sir Yve'a. Moja matka Blancheflor. – Wspomniana dama wytarła nos i spojrzała na Holgera ze strachem, nieco tylko stłumionym fizycznym cierpieniem. Raimberge nerwowo wyginała palce małych dłoni. – Nie mogę uwierzyć w to, co mówisz, panie. Że jedno z nas jest... jest tą bestią... – Przełknęła łzy, była przecież córką rycerza.

– Trop prowadzi tutaj – powiedział Hugi.

– Czy któraś z was była świadkiem wejścia wilkołaka? – spytał Holger.

Blancheflor potrząsnęła głową. Raimberge wyjaśniła:

– Przebywaliśmy w oddzielnych pokojach. Gui w swoim, ja w swoim, a nasza matka spała. Drzwi były zamknięte. Ojciec siedział w głównej sali. Gdy usłyszałam hałasy, przybiegłam tutaj, żeby uspokoić matkę.

– A więc to sam Yve musi być wilkołakiem – powiedziała Alianora.

– Nie, nie mój ojciec! – wyszeptała Raimberge. Blancheflor przykryła twarz. Holger obrócił się na pięcie.

– Rozejrzyjmy się jeszcze – powiedział.

Pokój chłopca znajdował się u stóp wieży, na której szczyt prowadziły schody. Był zapełniony typowymi dla jego wieku pamiątkami. Komnata Raimberge leżała naprzeciw, na drugim końcu korytarza. Stała w niej skrzynia z wyprawą panny młodej, kołowrotek i wszystko to, co powinno znajdować się w pokoju dobrze urodzonej panny. Wszystkie trzy tylne pomieszczenia miały okna i Hugi nie mógł zlokalizować zapachu w jakimś jednym miejscu. Powiedział, że unosi się wszędzie. Wilkołak nawiedzał tę część domu noc po nocy. Nie znaczy to, że ktokolwiek go widział. Mógł wychodzić i wchodzić oknem, gdy wszyscy inni byli pogrążeni we śnie.

– Jedno z trojga – powiedziała Alianora przygnębionym głosem.

– Trojga? – Hugi uniósł brwi. – A czemuż to myślisz, że pani matka nie może być bestią? Przecie zdrowie jej wróci jak tylko zmieni skórę.

– Tak? Nie wiedziałam. Wilkołaki nie są na tyle często spotykane, żebym słyszała co się dzieje, jak któryś zachoruje... A więc czworo. Jedno z nich.

Holger wrócił do głównej sali w ponurym nastroju. Raoul i Odo zaprowadzili już pewien porządek. Ludzie stali pod ścianami, a Papillon przy głównym wejściu. Yve i Gui siedzieli w wysokich krzesłach ze związanymi rękami i nogami. U ich stóp kulił się Frodoart, rozbrojony, ale nietknięty. Kapłan odmawiał modlitwy.

– No i co? – krzyknął Raoul do wchodzących. – Kto z nich nosi klątwę?

– Nie wiemy – powiedziała Alianora.

Gui splunął w stronę Holgera.

– Kiedy zobaczyłem cię bez hełmu pomyślałem, że wcale nie wyglądasz na rycerza – powiedział szyderczo. – Teraz, kiedy widzę, jak się wdzierasz do bezbronnych kobiet wiem już na pewno, że nim nie jesteś.

Za Hugim weszła Raimberge. Podeszła do ojca i pocałowała go w policzek. Omiotła wzrokiem salę i zawołała:

Za jego plecami pojawił się może czternastoletni chłopiec, szczupły i jasnowłosy. Na głowie miał hełm, w dłonich miecz i tarczę, najwyraźniej złapane w wielkim pośpiechu, gdyż poza tym ubrany był w kolorową tunikę i pończochy – strój, będący miejscowym odpowiednikiem fraka. Oczywiście, pomyślał Holger, nawet na krańcach cywilizacji każdy arystokrata przebiera się do kolacji.

– Oto jestem, ojcze – wydyszał. Jego zielone oczy wbiły się w Holgera. – Jestem Gui, syn Yve'a de Lourville, i choć nie jestem jeszcze pasowany, zadaję ci fałsz i wzywam, byś stanął do walki. – Zrobiłoby to znacznie większe wrażenie gdyby młodzieniec nie przechodził właśnie mutacji, ale i tak Holger był poruszony.

Jasne, czemu nie? Wilkołak może być bardzo prawym człowiekiem, z wyjątkiem chwil, gdy opanowuje go zrodzona z przemiany żądza mordu.

Westchnął i schował miecz do pochwy.

– Nie chcę walczyć – powiedział. – Jeżeli ludzie powiedzą, że mi nie wierzą, odejdę.

Wieśniacy poruszyli się niespokojnie, zapatrzyli się w podłogę, potem znowu podnieśli wzrok na Holgera i Yve'a. Frodoart spróbował ukradkiem kopnąć krasnoluda, ale Hugi uskoczył. Potem w drzwiach pojawił się Odo i rozepchnął ludzi, robiąc drogę idącej za nim Alianorze.

– Łabądziewa będzie mówiła – krzyknął. – Łabądziewa, która uratowała Lusiane. Cicho, wy tam, baranie łby, albo wam przyłożę.

Zapadła kompletna cisza, przerywana tylko szczekaniem psów na zewnątrz. Holger zobaczył, jak bieleją knykcie zaciśniętej na włóczni dłoni Raoula. Niski mężczyzna w kapłańskich szatach opadł na kolana, ściskając krucyfiks. Gui rozdziawił usta. Sir Yve skulił się jak zraniony. Wszystkie oczy wpatrzone były w Alianorę. Zatrzymała się, smukła i wyprostowana, światło świec błyszczało w jej miedzianobrązowych włosach.

– Niektórzy z was pewnie już o mnie słyszeli – powiedziała – o mnie, która mieszkam nad jeziorem Arroy. Nie lubię przechwałek, ale w miejscach, leżących bliżej mego domu, jak Tarnberg i Cromdhu, powiedzą wam jak wiele zabłąkanych dzieci wyprowadziłam z lasów i jak zmusiłam Mab we własnej osobie, żeby zdjęła klątwę z młynarza Filipa. Znam Hugiego całe moje życie i opowiadam się tu za nim. Rzucanie na kogoś potwarzy nic nam nie daje. Macie tylko szczęście, że najpotężniejszy rycerz, jaki kiedykolwiek żył przybył tu na czas, żeby was uwolnić od wilka, zanim ten zacznie zabierać życie ludziom. Słuchajcie go, mówię wam!

Stary człowiek wykuśtykał przed innych. Zamrugał jak ślepiec i powiedział wyraźnie w panującej ciszy:

– Czy chcesz powiedzieć, że to jest Obrońca?

– O czym ty mówisz? – spytał Holger, nieco przerażony.

– Obrońca... ten, który wróci w chwili największej potrzeby... legenda, którą mi opowiedział dziadek nie wyjawia jego imienia, ale czy to ty, panie rycerzu, czy to ty?

– Nie... – Zaprzeczenie utonęło w szumie, narastającym jak fala. Raoul skoczył naprzód z pochyloną włócznią.

– Na Niebiosa, nie jest moim panem, kto porywa dzieci! – krzyknął. Frodoart zamierzył się na niego mieczem, ale jakby bez przekonania. Cios zatrzymał się na drzewcu włóczni. Chwilę później czterech mężczyzn przygniatało już giermka do ziemi.

Sir Yve skoczył na Holgera. Duńczyk ledwo zdążył wydobyć miecz i odparować cios. Oddał uderzenie, mierząc w tarczę, ale z taką siłą, że pękło jej okucie. Yve zachwiał się. Holger wytrącił miecz z jego dłoni. Dwóch wieśniaków złapało ramiona swego pana. Gui próbował zaatakować, ale widły ukłuły go w pierś i zmusiły do cofnięcia się pod ścianę.

– Uspokójcie tych ludzi, Raoul, Odo! – wrzasnął Holger. – Nie dajcie im nikogo skrzywdzić. Ty, ty, ty. – Wskazał kilku młodych, chętnych osiłków. – Pilnujcie tego przejścia. Niech nikt tędy nie przechodzi. Alianora, Hugi, chodźcie ze mną.

Włożył miecz z powrotem do pochwy i pośpieszył w głąb budynku. Prostopadle do głównej sali biegł korytarz ze ścianami wyłożonymi rzeźbionym drewnem, kończący się z obu stron pojedynczymi drzwia-

Rozległ się krzyk kobiety.

Holger miał hełm na głowie i miecz w ręku zanim jeszcze ten krzyk przebrzmiał. Papillon okręcił się w miejscu. Ludzie przysunęli się do siebie, ich głosy zabrzmiały bardziej wyraźnie. Filujące pochodnie rzucały niepewne cienie na domy przy głównej ulicy. Górne piętra ginęły w ciemnościach. Holger teraz dopiero zauważył, że wszystkie okna były przesłonięte okiennicami, wszystkie drzwi zamknięte. Kobieta znowu krzyknęła. W jednym z tych domów.

Okiennica, zamknięta na żelazną zasuwkę, rozleciała się w drzazgi. Kształt, który przez nią wyskoczył był długi i kudłaty, stalowoszary w ciężkim, czerwonym półmroku. Łbem otworzył sobie drogę na zewnątrz. Gdy wylądował na ulicy, podniósł pysk spomiędzy przednich łap. Wiło się w nim ludzkie niemowlę.

– Wilk! – wrzasnął kowal. – Matko Boska, zamknęliśmy się z wilkiem!

W oknie ukazała się matka dziecka.

– Wskoczył od tyłu! – zawyła nieprzytomnie. Wyciągnęła ręce ku bestii i ku nim wszystkim. – Wskoczył od tyłu i porwał Lusiane! Trzyma ją, trzyma ją! Niech Bóg was porazi, mężczyźni, nie stójcie tak, ratujcie mi dziecko!

Papillon rzucił się naprzód. Wilk wyszczerzył kły, zaciśnięte na niemowlęciu. Krew ściekała po różowej skórze, ale dziecko ciągle się poruszało i płakało. Holger ciął mieczem. Wilka już tam nie było. Niesamowicie szybki, przebiegł między nogami Papillona i teraz uciekał wzdłuż ulicy.

Giermek Frodoart zagrodził mu drogę. Nie zwalniając nawet na jotę wilk przeskoczył nad jego głową. Niedaleko przed nim ciemniał wylot następnej uliczki. Holger okręcił Papillona i galopem rzucił się w pościg. Za późno, myślał, za późno. Gdy dotrze do tego labiryntu ciemnych zaułków, może pożreć zdobycz i zmienić się w człowieka zanim ktokolwiek go znajdzie...

Zaszumiały białe skrzydła. Alianora-łabędzica uderzyła dziobem w oczy wilka. Położył uszy po sobie, uskoczył i pobiegł ku następnej uliczce. Alianora znowu wylądowała przed nim. Śnieżna zamieć, pełna twardych uderzeń. Zatrzymała go.

Potem już był tam Holger. W tej odległości od pochodni niemal nic nie widział, mógł jednak dostrzec wielki, ciemny kształt. Świsnął miecz. Holger poczuł, że ostrze przecina mięso. Błysnęły ku niemu wilcze oczy, zielone, zimne i pełne nienawiści. Znowu podniósł miecz, na ostrzu błysnęła resztka docierającego tu światła. Było czyste, bez śladu krwi. Żelazo nie mogło zranić wilkołaka.

Papillon uderzył kopytami, przewrócił bestię na ziemię i zaczął ją deptać. Włochaty kształt, ciągle nietknięty, odtoczył się na bok, i zniknął w ciemności uliczki. Jednak dziecko, które porzucił leżało koło nich, zanosząc się płaczem.

Zanim wieśniacy do nich dobiegli, Alianora znowu była człowiekiem. Tuliła wymazaną krwią i błotem dziewczynkę do piersi.

– Och, biedne kochanie, biedna malutka, już dobrze, już dobrze. Cichutko, już po wszystkim. Nic ci się takiego nie stało, tylko trochę zadrapań. Och, przestraszyłaś się, biedactwo. Pomyśl, swoim dzieciom będziesz mogła opowiadać, najlepszy rycerz na świecie cię uratował. Już nie płacz, lulilulі... – Mężczyzna z wielką, czarną brodą, który musiał być ojcem wyrwał jej niemowlę, przyglądał mu się przez chwilę i opadł na kolana, wstrząsany nieznanym chyba sobie łkaniem.

Holger użył masy Papillona i płazu swego miecza, żeby odpędzić od niego tłum.

– Uspokójcie się – zawołał. – Weźcie się w garść. Dziecku nic się nie stało. Ty, ty, i ty, chodźcie tu. Potrzebni mi są ludzie z pochodniami. Skończcie z tym paplaniem. Musimy złapać tego wilka.

Kilku mężczyzn zbladło, przeżegnało się i chyłkiem odeszło. Kowal Odo potrząsnął pięścią ku wylotowi uliczki i powiedział:

– Jak? Nie zostawi śladów ani na tym zaschniętym błocie, ani na chodnikach gdzie indziej. Dotrze bez przeszkód do swego domu i zmieni się z powrotem w jednego z nas.

Frodoart przyjrzał się uważnie twarzom wokół siebie, wyłaniającym się i niknącym z powrotem w ciemności.

– Wiemy, że to żaden z nas – powiedział głośno, żeby być słyszanym poprzez szum ogólnej gadaniny – ani też nikt z pasterzy przy bramie. To już jest coś. Niech każdy zapamięta kto obok niego stoi.

Hugi pociągnął Holgera za rękaw.
– Możem za nim iść, jeśli taka twa wola – powiedział. – W nosie mnie wierci od jego smrodu.
Holger powąchał powietrze.
– Ja czuję tylko łajna i śmiecie.
– Tak, jeno ty nie jesteś leśnym krasnoludem. Szybko, chłopcze, opuść mnie na ziemię, a ja już pójdę za śladem. Bacz jeno, żebyś blisko za mną się trzymał!
Holger posadził Alianorę z powrotem w swoim siodle – ojciec dziecka ucałował jej zakurzoną stopę – i ruszył za Hugim. Frodoart i Odo szli po bokach, trzymając wysoko pochodnie. Z tyłu, za najodważniejszymi spośród wieśniaków, uzbrojonymi w noże, kije i włócznie tłoczyło się kilkudziesięciu innych. Jeśli złapiemy wilkołaka, pomyślał Holger, powinno się udać przytrzymać go siłą, zanim zostanie związany. A potem... nie bardzo miał ochotę zgadywać, co nastąpi potem.
Przez kilka minut Hugi krążył ciemnymi uliczkami. W końcu wyszedł na rynek, wybrukowany i nieco jaśniejszy pod otwartym niebem.
– Tak, wyraźny jak musztarda zapach – zawołał. – Nic na świecie nie śmierdzi jak wilkołak, gdy zwierza postać przyjmie.
Holger zastanawiał się przez chwilę czy był to skutek wydzieliny jakichś gruczołów. Kamienie dzwoniły pusto pod podkowami Papillona.
Ulica, w którą skręcili z rynku była również wybrukowana i stosunkowo szeroka. Niektóre z mijanych domów były oświetlone, ale Hugi ignorował widocznych w nich ludzi. Biegł prosto, aż za plecami Holgera rozległ się jękliwy okrzyk Frodoarta:
– Nie! Nie do dworu mego pana!

Rozdział XIV

Siedziba rycerza stała przy własnym placu, na wprost kościoła, ze stłoczonymi po obu stronach domami. Kuchnia i stajnie tworzyły osobne budynki. Sam dwór był niezbyt imponującą, drewnianą i krytą strzechą budowlą, niewiele większą od przeciętnego domu letniego w świecie Holgera. Miał kształt litery T, na lewym ramieniu poprzeczki wyrastała wieża, którą Holger zauważył już wcześniej. Główne wejście znajdowało się na końcu nóżki i było zamknięte. Przez zatrzaśnięte okiennice sączyło się światło, w stajniach hałasowały psy.
Hugi podszedł do okutych żelazem drzwi.
– Wilk wbiegł prosto tutaj – powiedział.
– A mój pan i jego rodzina są tam sami! – Frodoart szarpnął klamkę. – Zaryglowane. Sir Yve! Panie, słyszysz mnie? Wszystko w porządku?
– Odo, pilnuj domu od tyłu – rozkazał Holger. – Alianora, unieś się w powietrze i melduj gdyby coś się działo.
Podjechał do drzwi i zastukał w nie głowicą miecza. Kowal skrzyknął kilku mężczyzn i pobiegł z nimi na tyły dworu. Hugi podążył za nimi. Na plac docierało coraz więcej ludzi. W niepewnym świetle pochodni Holger rozpoznał wśród nich niektórych pasterzy. Raoul przepchnął się przez tłum i z włócznią w dłoni dołączył do Holgera.
Łomotanie do drzwi budziło głuche echa wewnątrz budynku.
– Czy oni są już martwi? – jęknął Frodoart. – Trzeba się włamać! Jesteście ludźmi czy psami, że stoicie bezczynnie, gdy wasz pan potrzebuje pomocy!
– Jest tu jakieś tylne wejście? – spytał Holger. Krew pulsowała mu w skroniach. Nie odczuwał strachu przed wilkołakiem, zniknęło nawet poczucie obcości. Wszystko było na swoim miejscu: to była robota, do której został stworzony.
Hugi przecisnął się między nogami ludzi i szarpnął strzemię.
– Innych drzwi tu nie ma, jeno okien mnóstwo, wszystkie na głucho zawarte – powiedział. – Ale wilk nigdzie stąd nie poszedł. Wszystko obwąchałem. Te nawet miejsca, gdzie mógł spaść kiejby skoczył z onej wieży. Teraz już nie ujdzie, wszystko pilnowane. W pułapce siedzi.

Holger rozejrzał się wokół. Wieśniacy przestali już trajkotać, otoczyli dwór i czekali, gotowi i bardzo cisi. Światło pochodni przemknęło po przestraszonej twarzy jakiejś kobiety, zalśniło na spoconym czole mężczyzny, odbiło się w błyszczących w mroku oczach. Nad ich głowami jeżyła się broń, włócznie, topory, kosy, piki, cepy.
– A co ze służbą? – Holger spytał Frodoarta.
– Nie ma tam nikogo, panie – odpowiedział giermek. – Domowi to ludzie z miasta i po zmierzchu wracają do siebie. Zostaje tylko stary Nicolas, ale jak widzę też jest tutaj, tak samo stajenni... Wprowadź nas do środka!
– Właśnie mam zamiar, jeżeli zrobicie mi trochę miejsca..
Frodoart i Raoul odsunęli ludzi, sprawnie, choć może nieco brutalnie. Holger poklepał Papillona po szyi i powiedział cicho:
– No dobrze, chłopcze, przekonajmy się na co nas stać.
Spiął konia. Przednie kopyta uderzyły w drzwi. Raz, drugi, trzeci... Potem zasuwy puściły i wejście stanęło otworem.
Holger wjechał do pojedynczego, długiego pomieszczenia, z klepiskiem, częściowo przykrytym sfatygowanymi matami. Nad rozstawionymi wzdłuż ścian ławami wisiały trofea myśliwskie i broń. Pomiędzy krokwiami falowały zakurzone proporce bitewne. Osadzone w kinkietach świece dawały dostatecznie dużo światła, żeby Holger mógł zobaczyć, że pomieszczenie jest puste aż po przejście w przeciwległej ścianie. Dalej znajdowała się pewnie poprzeczka litery T, prywatne pokoje sir Yve'a i jego rodziny. Z tyłu, z tłoczącego się tłumu rozległy się krzyki. Przejście blokowała błyszcząca stalowo w świetle świec postać.
– Kim jesteście? – Postać machnęła mieczem. – Co to za napad?
– Sir Yve – wykrzyknął Frodoart. – Wilk nie zrobił ci nic złego, panie?
– Jaki wilk? O co wam, do diabła, chodzi? Ty, panie rycerzu, jak wytłumaczysz to włamanie do mego domu? Jesteś jakimś moim wrogiem? Jeśli nie, to klnę się na Boga, że zaraz możesz nim zostać!
Holger zeskoczył na ziemię i podszedł bliżej. Sir Yve de Lourville był wysokim, raczej chudym mężczyzną z melancholijną, końską twarzą i obwisłymi, szarymi wąsami. Nosił zbroję znacznie bardziej wymyślną niż Duńczyk – hełm z zasłoną, napierśnik, naramienniki, naręczaki z ochroną na łokcie, nagolennice plus kolczugę. Na jego tarczy widniała wilcza głowa w czerni na sześciu pasach naprzemiennie w czerwieni i srebrze – wizerunek, który Holgerowi wydał się niezwykle pasującym do sytuacji. Jeżeli jakiś ich odległy przodek był pełnym wilkołakiem, mogło to być celowo zapomniane przez następne pokolenia, ale ciągle pokutowało w rodowym herbie...
– Jestem sir Holger z Danii. Widziałem wilkołaka na własne oczy, tak ja, jak i wielu innych ludzi. Tylko dzięki łasce Pańskiej udało nam się uratować dziecko, które porwał. Doszliśmy za nim aż tutaj.
– Tak – powiedział Hugi. – Ślad prosto do ciebie wiedzie.
Szum przeszedł wśród gawiedzi, jak pierwsze westchnienie wiatru przed burzą.
– Łżesz, krasnoludzie! Siedziałem tutaj cały wieczór. Nie wbiegła tu żadna bestia. – Sir Yve wyciągnął miecz ku Holgerowi. – Nikogo tu nie ma poza moją panią, która jest chora i dwojgiem moich dzieci. Jeśli twierdzisz coś innego, musisz tego dowieść po mym trupie.
Jego głos nie brzmiał zbyt pewnie. Nie potrafił przekonująco grać zucha. Raoul był pierwszym, który się odezwał.
– Jeśli tak się sprawy mają, sir Yve, to odmieńcem musi być ktoś z twoich.
– Tym razem ci przebaczam – odpowiedział sir Yve z wściekłością. – Wiem, że jesteś przepracowany. Ale następny, który wypowie podobne słowa zawiśnie na szubienicy.
Frodoart stał osłupiały, z potokami łez płynącymi po policzkach.
– Krasnoludzie, skąd możesz mieć pewność? – jęknął w końcu.
Sir Yve uczepił się tego pytania.
– Właśnie, komu ufacie – temu zniekształconemu ludzikowi i temu rycerzowi od siedmiu boleści czy waszemu panu, który przez wszystkie te lata strzegł was od złego?

Waldemar Płudowski

Ballada o rycerzu i dwóch pegazach

(fragmenty)



Arkadiusz Matysiak

Unikaliśmy ruchliwych dróg. Szlakami naszych wędrówek były leśne ścieżki – kręte, cieniste, porośnięte powojem, szałwią i mchem. Sone grała na gitarze i śpiewała, że tam właśnie, za sprawą nimf i leśnych duchów czekają na podróżnych niezwykłe przygody. Słowa jej piosenek były dla mnie jak wielka obietnica, jak marzenie, które ma się spełnić.

Taka zapomniana, zagubiona wśród ugorów ścieżka zaprowadziła nas do Lothernelo, pysznej stolicy Południa, metropolii, która byłaby ozdobą każdego królestwa. Pamiętam, jak zatrzymaliśmy pegazy pod murami zdumieni ich wielkością, zachwyceni pięknem baszt i mnóstwem proporców powiewających na blankach. Wtedy jeszcze nie przeczuwałem, teraz wiem, że Lothernelo było najwłaściwszym miejscem, w którym mogła się przydarzyć ta historia...

U bram miasta uderzył nas w oczy szczególny widok. Mimo otwartych wrót, na zwodzonym moście stała długa kolejka zaprzęgów, jeźdźców oraz pieszych wędrowców. Nie wiedziałem na co czekają, więc zagadnąłem jednego z podróżnych:

– Być może niezbyt mądrze pytam, lecz powiedz mi, człowieku, dlaczego wszyscy ci ludzie czekają, zamiast wjeżdżać do grodu?

Nieznajomy spojrzał na mnie z rozbawieniem.

– Musisz być w ciemię bity, skoro nie wiesz, że przed wjazdem należy uiścić opłatę.

Posłusznie stanąłem na końcu kolejki. Czekałem przeszło godzinę, nim wreszcie dotarłem do bramy. Siedzący tam przy stoliku pisarz zmierzył mnie uważnym spojrzeniem i oznajmił:

– Opłata urzędowa trzy marki.

Wysypałem pieniądze na stolik, lecz on odsunął je od siebie.

– W Lothernelo płaci się złotem, nie miedziakami. Następny!

Złapałem go za rękę.

– Ale ja przyjechałem na turniej. Ja muszę dzisiaj...

Wzruszył ramionami.

– A ja ci powiadam, że bez opłaty strażnicy cię nie przepuszczą.

Zniecierpliwieni zwłoką podróżni zaczęli wołać, żebym szedł do diabła. Zagryzłem wargi i powlokłem się z powrotem, a za mną powlokły się pegazy. Usiadłem pod przydrożnym drzewem, zwiesiłem głowę. Sone przykucnęła obok i pogładziła mnie po policzku.

– Głowa do góry, Michale – szepnęła. – Sięgnij po zaklęcia Gunlana i spróbuj zaczarować strażników. A jeśli się nawet nie uda, to zawsze możesz przefrunąć ponad murami na pegazie. Tylko że wtedy nie obejdzie się bez awantury.

Wyciągnąłem z sakwy karty, które dostałem kiedyś od przygodnie spotkanego czarnoksiężnika. Było to dwanaście stronic korkijskiej księgi magii – wszystkie z zaklęciami na literę „o". Poczynając od hasła „obalanie", a kończąc na „ożywianiu" dysponowałem bez mała trzema setkami czarów poukładanych w porządku alfabetycznym. Przy pomocy Sone wybrałem te, które

mogły mi się przydać i po raz drugi podjąłem próbę dostania się do miasta.

By utrudnić rozpoznanie, rozpuściłem włosy, a na plecy zarzuciłem biały płaszcz. Czoło skryłem pod przepaską. Dochodziło południe i ruch przed bramą był znikomy – na moście czekały jedynie dwa zaprzęgi. Wyminąłem je. Z daleka już wbiłem wzrok w strażników i recytowałem zaklęcia. Nim dojechałem do wrót, byłem przy „onieśmielaniu". Przerwałem na moment, by zaczerpnąć tchu. Jeden z cerberów splunął przez zęby i warknął:

– Zjeżdżaj stąd, pętaku. Na koniec kolejki!

Pomyślałem sobie, że zaklęcie „onieśmielenia" chyba nie poskutkowało. Trudno. Pokładałem jeszcze nadzieję w „opętaniu", „osłabieniu", „oszołomieniu", względnie „otumanieniu". Bez zwłoki jąłem wymawiać stosowne formuły. Wtedy jeden ze strażników podskoczył jak o p ę t a n y!

– To czary! – ryknął na całe gardło. – On próbuje nas zaczarować!

Jak na komendę wszyscy chwycili za kusze i wycelowali w moim kierunku.

– Zamilcz, albo cię zastrzelimy! – zawołał sierżant.

Brakiem rozwagi byłoby zignorowanie tego ostrzeżenia. Z całą swobodą na jaką było mnie stać, zeskoczyłem z pegaza.

– O co chodzi? – zapytałem z głupia frant.

– O co chodzi!? O co chodzi!? – podskakiwał i zapluwał się ze złości. – Chciałeś nas zaczarować! Nie zaprzeczaj. Co tam mamrotałeś pod nosem? To były czary! Ha! Co to było?

– Poemat na cześć Jej Królewskiej Mości – odpaliłem.

Słowa te podyktowała mi złość, że nic mi się dzisiaj nie udaje. Wywarły one jednak zdumiewający efekt. Sierżant obejrzał się na żołdaków, oni popatrzyli na sierżanta. Po ich minach z łatwością poznałem, że pierwszy raz w życiu słyszą słowo „poemat". Dostrzegłem w tym swoją szansę.

– Nie odróżniasz zaklęć od poezji!? – zapytałem sierżanta. – Jak mogłeś awansować na podoficera będąc takim durniem?

Sierżant zbaraniał do reszty.

– Czyżbyś był minstrelem? – zapytał.

W geście niemego oburzenia wzniosłem wzrok ku niebu, biorąc je na świadka podobnej głupoty.

– Żałosny prostaku, czyżby twój nikczemny umysł kojarzył słowo poezja z wulgarnymi piosenkami, jakie śpiewają nadworni muzykanci? Czyżbyś nie słyszał nigdy słowa poeta? Czy nie jest ci znane nazwisko Michała De Brouillard? To jest moje nazwisko, ośle! I nie śmiej mnie pytać o pieniądze, gdyż hańbą jest zamykanie bram przed artystą.

Strofowany biedak wbił oczy w ziemię, a ja kiwałem głową z politowaniem. Potem wziąłem pegazy za wodze i powiodłem je przez bramę. Jeszcze tylko kątem oka zauważyłem, jak sierżant poczęstował kopniakiem szeregowca, który pierwszy podniósł alarm i już byłem w mieście. Kiedy otoczył mnie uliczny tłum, przystanąłem i odetchnąłem z ulgą. Zaraz obok pojawiła się Sone, chusteczką osuszyła mi skronie z potu.

– Moje uznanie – powiedziała, przekrzywiając lekko głowę.

I to była najmilsza nagroda, jaka mnie mogła spotkać. Przygarnąłem mocno Sone i szepnąłem jej do ucha:

– To drobiazg, dla jednego twojego uśmiechu pójdę na koniec świata.

Spędziliśmy ten dzień biegając po mieście i ciesząc się jak dzieci z każdej napotkanej fontanny. A za nami biegały Arhal i Arluf – dwa nasze wierne pegazy. Czy Lothernelo zrobiło na nas wrażenie? Chyba nie muszę o tym mówić. Wspomnę jedynie, jak widok Alei Słońca rzucił mnie na kolana. Dosłownie. Łaziłem na czworakach i nie mogłem oddychać z wrażenia. Cała aleja była wybrukowana płytami ze szczerego złota. Przechodnie mijali mnie bez zainteresowania, a niektórzy z ironicznym uśmiechem. Musieli być przyzwyczajeni do takich widoków. A ja, przybysz z ubogiej Północy, przestałem się dziwić strażom i opłatom wjazdowym. „Wszak przyjezdni wynoszą stąd fortunę na podeszwach" – myślałem wtedy. Byłem głupi. Nie wiedziałem, że złoty bruk był jedynie mirażem, złudą okłamującą przyjezdnych.

Do rzeczywistości przywołał nas głos trąb. Sone złapała mnie za rękę.

– Turniej się zaczyna – szepnęła z przejęciem.

Godzinę później, w pełnej zbroi i z tarczą na ramieniu wjeżdżałem w bramy pałacu. Sone po raz któryś z rzędu udzielała mi wskazówek.

– Nie zapomnij o najważniejszym – mówiła.

– Wiem, wiem. Po zwycięstwie mam podarować trofeum czarodziejce Canaan. Obym tylko wcześniej zdołał pokonać Rothryga. Słyszałem, że to znakomity rycerz.

– Nie lękaj się, Michale. Przecież wiesz, że go pokonasz. Do tego miejsca nic już nie jest w stanie odmienić przeznaczenia. Lecz na mnie pora.

– Życz mi przedtem szczęścia.

Pocałowała mnie w policzek. I zniknęła.

Po przekroczeniu pałacowej bramy skierowałem się szeroką aleją w stronę placu turniejowego, skąd dochodziły dźwięki fanfar oraz gwar tłumu. Przez uchyloną furtę wjechałem w szranki i osadziłem Arlufa. Wszystkie spojrzenia zwróciły się w moim kierunku. Skinąłem na heroldów, by zapowiedzieli moje imię.

– Michał, syn Mildrana z Wyspy Mgieł – ogłoszono, a ja podjechałem pod główną trybunę i złożyłem pokłon królowej.

Była piękna, jak piękne potrafią być jedynie królowe. Zapytała:

– Czy chcesz walczyć, młodzieńcze?

– Po to tu przybyłem – odrzekłem.

– Czy widzisz tarcze u moich stóp? Jak dotąd szczęście nie było gościom łaskawe. Moi rycerze zwyciężali każdego, kto wyzwał ich na pojedynek.

Omiotłem wzrokiem rycerzy Jej Wysokości, królowej Azaweny. Było ich pięciu, a każdy nosił na piersi szarfy zwycięstwa. W chwilę potem dostrzegłem szóstego. Siedział na zaszczytnym miejscu obok królowej i obserwował mnie z zaciekawieniem. Nabrałem powietrza w płuca i patrząc mu prosto w oczy, zawołałem:

– Wyzywam do walki Rothryga van Gort.

W tłumie podniosła się straszna wrzawa, królowa zaś zmarszczyła brwi i rzekła:

– Dobrze znamy waleczność i dzielne czyny rycerzy z Wyspy Mgieł, lecz nie możemy wyrazić zgody na ten pojedynek. Cofnij swoje wyzwanie, młodzieńcze.

– Proszę cię, Najjaśniejsza – powiedziałem śmiało – by dostojny Rothryg sam zdecydował, czy jestem godny z nim walczyć.

Azawena po namyśle skinęła głową, a Rothryg powstał i zapytał ochrypłym głosem:

– Jakie są twoje racje, że chcesz się ze mną potykać? Wiesz chyba, że zwyciężałem każdego, kto wyzywał mnie w szranki.

– Nie przeczę, dostojny, że pokonałeś wielu. Lecz nie trafiłeś jeszcze na takiego szczęściarza jak ja.

– Czy to twoja jedyna racja?

– Nie, Rothrygu, bo noszę przy boku miecz. Na imię mu Elencord, co oznacza Miecz-Rębacz Kamieni. Prócz twego Glodsworda nie ma w Lothernelo innej, równej mu klingi.

– Zuchwałe słowa... – zaczął, lecz nie dałem mu dokończyć.

Dobyłem oręż i rozbłyski chylącego się ku zachodowi słońca zagrały na szlachetnym ostrzu. Przyciąłem dwa razy, a darte ze świstem powietrze zaświeciło wszystkimi barwami tęczy.

– Ta stal dwieście lat czekała na dzisiejszy dzień – krzyknąłem. – Czy jesteś gotów Lothernelejczyku?

Bez słowa zaczął się sposobić do walki. Skorzystałem z tego i odszukałem wzrokiem Canaan. Siedziała niedaleko królowej – wyniosła, tajemnicza, niespokojna Canaan-czarodziejka, druga pani na Lothernelo. Jej jasna twarz okolona była puklami czarnych włosów, a pod jaskółczymi brwiami skrzyły się czarne jak węgiel oczy. Spojrzałem nieopatrznie w te oczy i stało się coś strasznego. Ich spojrzenie urzekło mnie, przeniknęło aż do najskrytszych myśli, po czym cofnęło się ze zdumieniem. Omal nie wpadłem w panikę. Arluf, mój skrzydlaty rumak wyczuł to natychmiast, zaczął parskać i tańczyć. Kolanami skierowałem go w tę część areny, gdzie na długich drzewcach pojawiły się proporce zaproszonych gości. Tam podano mi kopię.

Rothryg stanął naprzeciw. Opuściliśmy przyłbice. Gdy przebrzmiały ostatnie dźwięki fanfar, plac turniejów zajęczał pod kopytami pegazów.

To był ciężki pojedynek. W trzech starciach trzykrotnie kru-

szyliśmy kopie lecz żaden z nas nie mógł osiągnąć przewagi. Przy czwartym ataku Rothryg zaryzykował – poderwał swojego pegaza do lotu. Arluf nie uląkł się powietrznego starcia i również wyprysnął w powietrze, lecz wtedy wyszło na jaw, że jakkolwiek w dzielności nie było mu równych, w sile nie dorównywał rumakowi Rothryga. Runęliśmy na ziemię, a nad placem przetoczył się jęk grozy. Odrzuciłem precz tarczę, która pękła przy upadku, podbiegłem do Arlufa. Był wystraszony i kulał – od razu zrozumiałem, że nie jest zdolny do dalszej walki. Rothryg szykował się w tym czasie do rozstrzygającego ataku.

– Poddaj się! Poddaj się, cudzoziemcze! – usłyszałem zewsząd natrętne okrzyki. W odpowiedzi obnażyłem miecz i stanąłem na szeroko rozstawionych nogach.

Rothryg wydał bojowy okrzyk i rzucił swojego pegaza w cwał. Bestia musiała być dobrze wyćwiczona w takich atakach, bo ruszyła na mnie jak burza, wyrzucając spod kopyt fontanny piachu. Gdy dzieliło nas nie więcej niż pięć kroków, zakręciłem Eleneordem młyńca nad głową. Rumak Rothryga przeraził się świetlistych rozbryzgów powietrza ciętego na strzępy magicznym ostrzem. Zarył kopytami tak gwałtownie, że omal nie wysadził jeźdźca, a ja ciąłem na odlew, krusząc blachy osłaniające czerep pegaza. Świstowi mego miecza odpowiedziało bolesne rżenie. Pegaz oszalał z bólu. Miotał się po placu, krew zalewała mu oczy, Rothryg nie potrafił nad nim zapanować. Wreszcie wyrzucił nogi ze strzemion i zeskoczył na ziemię. Nie obejrzał się nawet na ranionego rumaka. Szedł prosto na mnie w chrzęście zbroi, z pochwy wysunął Glodsworda.

Zaczęła się walka na serio i dopiero wtedy zrozumiałem, w jakim jestem niebezpieczeństwie. Wykute z czarnej stali ostrze Rothrygowego oręża niemal zupełnie nie odbijało światła i przy szybkich ruchach nacierającego, nikło mi z oczu. To, że nie padłem pod pierwszymi ciosami, zawdzięczam swojemu nieziemskiemu szczęściu. Rozpaczliwie odbijałem szalone uderzenia przeciwnika. Cofałem się krok za krokiem.

Szybko jednak minął pierwszy impet ataku, a wraz z nim minęło moje przerażenie. Zaraz też ciąłem potężnie przez tarczę Rothryga, omal nie rozszczepiając jej na dwie części. Odskoczył jak oparzony. Patrzył niepewnie to na mnie, to na swoją tarczę, nie mogąc uwierzyć, że pękła od pierwszego uderzenia. Nie pozwoliłem mu się długo dziwić. Natarłem gwałtownie i teraz on znalazł się w opałach. W powietrzu zatańczyło tyle rozbłysków, że jedynie z najwyższym trudem mógł rozróżnić, który z nich jest klingą mego miecza. Raz po raz krzesałem Elencordem snopy iskier na jego tarczy, a nawet udało mi się dosięgnąć szyszaka. Na tym na razie poprzestałem. Miałem dosyć rozsądku, by nie próbować rozstrzygnięcia walki już w pierwszym starciu. Rothryg musiał to właściwie ocenić. Odrzucił tarczę, która i tak by mu się wkrótce rozpadła, oburącz ujął Glodsword. Widać było, z jaką koncentracją szykuje nowy atak. Chyba dopiero teraz zrozumiał, że wcale nie musi wygrać pojedynku.

Od tego momentu obaj walczyliśmy ostrożnie i z rozwagą. Wszystko zapowiadało, że walka będzie długa ponad miarę, a wygra ją ten, kto zachowa więcej sił. Pot zalewał mi oczy, a ramiona mdlały od ustawicznego zadawania i odbijania ciosów. Ale i Rothryg był już wyczerpany. Jego oddech stał się świszczący, a ruchy traciły szybkość i precyzję.

„Niech się ta walka wreszcie skończy" – pomyślałem. Zaraz też zebrałem resztki sił, po czym ciąłem potężnie po dwakroć, kierując ciosy na prawe ramię przeciwnika. Drugi cios przełamał zastawę Rothryga – wytrącił mu miecz z rąk, a jego samego obalił na kolana. Jak przez mgłę doszedł mnie wrzask tłumu. Stałem na drżących ze zmęczenia nogach i patrzyłem przez kratę przyłbicy w przekrwione oczy Lothernelejczyka.

– Przegrałeś – powiedziałem dysząc ciężko.

Powstał z trudem i ruszył na mnie z gołymi rękami. Przyłożyłem mu miecz do gardła.

– Miej rozsądek, Rothrygu – ostrzegłem.

– Pchnij – wychrypiał.

Zadrżałem. Jednak wróżba musiała się spełnić do końca.

– Opamiętaj się – szepnąłem. – Wiem, jaki koniec może mieć ta walka i nie chcę...

– Pchnij! – warknął

Cofnąłem się o dwa kroki w obawie, że sam rzuci się na moje ostrze.

– Podnieś Glodsworda – rozkazałem.

Ze zdumieniem i niedowierzaniem Rothryg schylił się po miecz. A potem w jego oczach zapłonęło szaleństwo. Z gardła wyrzucił niezrozumiały, chrapliwy okrzyk i runął na mnie. Uskoczyłem w bok, a gdy łapał równowagę po cięciu w próżnię, spuściłem srebrną błyskawicę Elencorda na jego lewe biodro. Upadł, ja zaś stałem nad powalonym ciałem, niezdolny do zrobienia kroku, niezdolny nawet do odchylenia zatrzaśniętej przyłbicy. Wszystko widziałem rozmazane, dlatego nie od razu spostrzegłem czarną, drobną postać, która podeszła i pochyliła się nad Rothrygiem.

To Canaan, pomyślałem w dziwnym odrętwieniu. Co ona tu robi?

Czarodziejka położyła dłoń na czole powalonego rycerza, powstała i przywołała paziów.

– Zanieście go do pałacu – rozkazała, potem odeszła.

Odprowadziłem ją wzrokiem aż do wyjścia z areny i poczułem się jak skopany pies. Canaan nie chciała przyjąć trofeum z moich rąk. W tym momencie miałem ochotę zerwać z głowy hełm i cisnąć nim o ziemię. Tylko potworne znużenie powstrzymało mnie od tego.

Schyliłem się po Glodsworda, zważyłem go w dłoni. Starając się nie oglądać na znoszonego z placu Rothryga, ruszyłem w kierunku królewskiej trybuny. Tam przyklęknąłem na jedno kolano, na znak szacunku pochyliłem głowę.

– Powstań, rycerzu – rzekła królowa.

Powstałem i spojrzałem prosto w jej chłodne, zielone oczy. Jeśli nawet kryły w sobie jakieś uczucia, nie potrafiłem ich odgadnąć. Azawena rzekła:

– Michale z Wyspy Mgieł, ogłaszam cię zwycięzcą turnieju. Zgodnie z obyczajem możesz zatrzymać oręż pokonanego oraz jego rumaka.

Odpowiedź na te słowa miałem gotową już od wielu miesięcy. Gdy umilkły fanfary, złożyłem Glodsworda u stóp królowej i powiedziałem.

– Ten miecz od wielu stuleci jest chlubą Lothernelo, a ramiona, które nim władały, zawsze były na usługi władców tego miasta. Zwracam Glodsworda w twoje ręce, pani.

Zewsząd rozległy się oklaski oraz okrzyki pochwały, a na obliczu Azaweny wrócił uśmiech.

– Wielkie masz serce, Michale. Niewielu znam królów, którzy zdobyliby się na taki dar.

Skinęła na marszałka dworu, a ten zdjął z ozdobnego trójnoga stojącego przed trybuną małą, bogato zdobioną poduszkę. Na granatowym aksamicie wszystkimi barwami tęczy mieniła się wstążka Arieli.

– Nosiłam ten klejnot przez siedem kolejnych lat – rzekła królowa. – Dzisiaj ozdobi tę kobietę, którą ty wybierzesz, bowiem takie jest twoje prawo jako zwycięzcy turnieju.

Byłem zmęczony i zawiedziony odejściem Canaan. Wybrałem najprostsze wyjście.

– Tobie, królowo chcę ofiarować wstążkę!

Azawena zmarszczyła brwi.

– Jak mam to rozumieć, rycerzu? Pokonałeś mojego najwierniejszego sługę, który bronił mej czci i chcesz, bym przyjęła twoje trofeum?

– Nie tobie, pani, przeznaczałem wstążkę Arieli, gdy stawałem do walki. Teraz jednak widzę, że jesteś jedyną osobą, której uroda na to zasługuje.

Azawena nie byłaby kobietą, gdyby nie zadowoliła jej taka odpowiedź.

– Spodobały mi się te słowa – odparła – więc przyjmuję twój dar, Michale. Zajmij teraz miejsce obok mnie, gdyż należy ci się ono jako zwycięzcy.

– Jestem zmęczony, królowo – szepnąłem.

– Zatem idź odpocząć. Służba pokaże ci drogę.

Zdumiała mnie komnata, którą mi wskazano. Wszystkie meble były w niej białe, a na ścianie wisiał obraz przedstawiający nagą kobietę i łabędzia. Zmęczenie nie pozwoliło mi się nad tym zastanawiać – padłem bez życia na łoże.

Sone pochyliła się nade mną i rozpięła sprzączki pancerza, lecz jej zachmurzone czoło nie wróżyło pochwał.

– Wprost nie mogę uwierzyć – rzekła – że tak bardzo zdążyłeś wszystko pogmatwać. Wprost nie mogę uwierzyć.

– Sama wiesz, że nic nie mogłem poradzić – odparłem.

– Jak to nie mogłeś? Mogłeś prosić o przekazanie wstążki czarodziejce, mogłeś odwlec moment darowania do jutrzejszego balu...

– Nie mogłem! Nie mogłem! Och, Sone, Canaan o wszystkim wiedziała. Wiedziała, jak skończy się walka, znała moje zamiary i specjalnie zeszła z areny, by mi je pokrzyżować. Zrozum, ona nie chciała dostać tej wstążki.

Sone była zaskoczona.

– Skąd mogła wiedzieć?

– A skąd my wiedzieliśmy? Są sposoby.

Długo kręciła głową.

– To dziwne, że Canaan nie chciała zostać królową turnieju.

– Ja też byłem zaskoczony.

– I zrobiłeś głupstwo! To, że wstążkę dałeś Azawenie, było najgorszym wyjściem. Trzeba było...

– Do diabła! – wykrzyknąłem. – Nie mów mi, co mogłem zrobić, a nie zrobiłem!

Sone zerwała się spłoszona.

– Michale! – zawołała – nie mów do mnie w ten sposób.

– Przepraszam – odrzekłem. – Wiesz dobrze, jak wiele dziś przeżyłem.

– Masz rację. Nie mówmy już o tym dzisiaj.

Podszedłem do okna i otworzyłem je szeroko. Roztaczał się stąd piękny widok na całe Lothernelo. Sone stanęła obok, przytuliła się do mnie na znak zgody. Długo patrzyliśmy na miasto ozłocone promieniami zachodzącego słońca i na purpurową łunę, która biła nad złotą aleją.

Wśrodku nocy obudziło mnie delikatne stukanie do drzwi. Usiadłem na posłaniu. Sone była nie mniej zdziwiona ode mnie.

– Kto to może być?

Pukanie powtórzyło się.

– Proszę wejść – powiedziałem.

Przez uchylone drzwi wśliznął się do pokoju promień światła z korytarza, a zaraz za nim wśliznęła się drobna postać spowita w ciemną pelerynę.

– Wybacz, panie, tak niezwykłą porę mojej wizyty – rzekła zagadkowa osoba.

– Kim jesteś i co cię sprowadza? – zapytałem.

– Na imię mam Cinaalta, a przychodzę z polecenia Canaan-czarodziejki. Prosi cię ona, abyś udał się za mną do wieży Olightu. Ubierz się prędko, zaczekam na ciebie.

Cinaalta zniknęła równie bezgłośnie, jak się pojawiła, pozostawiając nas samych z naszym zdziwieniem.

– Pójdziesz tam? – zapytała szeptem Sone.

– Naturalnie. Pójdziemy oboje.

Szybko się ubrałem, wyszedłem na korytarz. Cinaalta bez słowa ujęła mnie za dłoń i powiodła za sobą. Na dziedzińcu pałacowym przystanąłem. Gwiazdy wskazywały północ, wszystko spało, nawet drzewa nie poruszyły liśćmi. Jedynie w oknach Olightu migotały światła kaganków. Cinaalta delikatnym uściskiem dłoni przywołała mnie do rzeczywistości. Poszliśmy przez dziedziniec, a później krętymi schodami prawie na szczyt wieży. Tam stanęliśmy przed ciężkimi, okutymi drzwiami.

– To tutaj? – zapytałem szeptem.

– Tutaj – odparła i pchnęła drzwi.

Wnętrze komnaty rozświetlały słabe błyski ognia płonącego w kominku. W ich blasku dostrzegłem postać czarodziejki. Siedziała na fotelu wpatrzona w płomienie, lecz na odgłos kroków zwróciła twarz w naszą stronę.

– Proszę, usiądź – wskazała mi krzesło.

Usiadłem, a Sone stanęła za mną i oparła dłonie na moich ramionach. Cinaalta cicho wyszła z komnaty. Poczułem się dziwnie nieswojo, lecz nie śmiałem o nic pytać. Canaan zaś nie kwapiła się z zaspokojeniem mojej ciekawości. Wróciła do poprzedniej pozycji i dalej patrzyła w tańczące na kominku płomienie.

– Rycerzu – rzekła w końcu – chcę, abyś jeszcze tej nocy spojrzał w kryształ Olightu.

– Co mówisz, pani? – zapytałem zdumiony.

Spojrzała na mnie z niezmąconym spokojem.

– Przecież po to przybyłeś do Lothernelo.

– Tak – jęknąłem – lecz... nie jestem chyba jeszcze gotów.

– Dzisiejszej nocy jest korzystny układ planet. Kryształ osiągnął wielką moc. Czy nie chcesz, by przemówił do ciebie?

Wbrew lękowi, który jak bryła lodu przygniatał me serce, skinąłem głową.

– Chcę – rzekłem przezwyciężając suchość gardła. – Doprawdy niewielką już miałem nadzieję, byś zechciała mnie wyróżnić takim zaszczytem.

– Żaden to zaszczyt i nie próbuj nawet dziękować za to, co robię, gdyż nie możesz wiedzieć, czy śpiew kryształu będzie dla ciebie błogosławieństwem, czy też będziesz przeklinał go do końca życia.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, lecz Canaan nie oczekiwała odpowiedzi. Podeszła do stołu i zdjęła chustę ze stojącej na nim szkatuły. Potem spojrzała na Sone.

– Ona będzie musiała stąd wyjść – powiedziała krótko.

– Ależ to niemożliwe! – zaprotestowałem gwałtownie.

Patrzyła na mnie zaskoczona.

– Proszę – powiedziałem łagodniej. – Sone to jakby druga strona mnie samego... Lepsza strona.

W oczach czarodziejki odbiło się wahanie, lecz w końcu przyzwalająco skinęła głową. Podeszliśmy oboje do stołu, a Canaan odkryła wieko szkatuły.

– Oto kamień – powiedziała bez wstępów.

Wstrzymaliśmy oddech z wrażenia. Klejnot był niespotykanej wielkości, miał zielonkawe zabarwienie i dziwny szlif, który nadawał mu postać smoczego oka.

– Co mam robić? – zapytałem zmienionym głosem.

– Patrz w kryształ – poleciła. – Zapomnij o wszystkim. Zapomnij o mnie, o sobie. Jest tylko kryształ i gwiazdy z zapisanym w nich przeznaczeniem. Spójrz uważnie, czy to nie gwiazdy odbijają się w krysztale?

Wbiłem wzrok w głęboką toń szlachetnego kamienia i po chwili zobaczyłem gdzieś daleko na dnie słabe rozbłyski. Czyżby istotnie gwiazdy? Nie. Rozbłyski zaczęły się rozprzestrzeniać, by po chwili wybuchnąć tysiącem barw. Przed moimi oczami rozpląsały się zwiewne, przesycone światłem kształty, prysnęły na boki, a potem zbiegły się ponownie i tak trwał ich szalony taniec. Zapalały się, to znowu gasły, te pląsy kusiły mnie, zdawały się zapraszać do dzikiej zabawy w ruch, kolor i światło. Nagle wstrzymałem oddech z zachwytu. Zrozumiałem, że to ja pobudzam barwy do ruchu, ja nadaję im kształty. Odgadując moje myśli rozbiegły się na wszystkie strony, a potem na powrót łączyły i wirowały aż do obłędu.

Upajało mnie to, co wtedy przeżywałem. Uległość, z jaką obraz dawał się kształtować mojej woli, wprowadziła mnie w stan niezwykłego podniecenia.

Stopniowo pulsujące kolory przestały rozbłyskać czerwienią i fioletem. Zbladły, stały się cieplejsze. Wciąż tańczyły, ale zauważyłem, że ich ruch powoli ustaje, a w centrum formują się dwie jasne plamy. Po chwili kontury wyostrzyły się i zrozumiałem, że patrzę na obraz, który zdobił ścianę w moim pokoju. Była to kobieta spleciona uściskiem z pięknym, białym łabędziem. Poczułem niezadowolenie, iż obraz pojawił się nie przywołany. Usunąłem go. Kolorowe plamy jeszcze raz zawirowały, by po chwili ponownie ułożyć się w ten rysunek. Skrzywiłem się z niesmakiem i kryształ zgasł.

– Nic z tego nie będzie – powiedziała gwałtownie Canaan. – Ona mi przeszkadza.

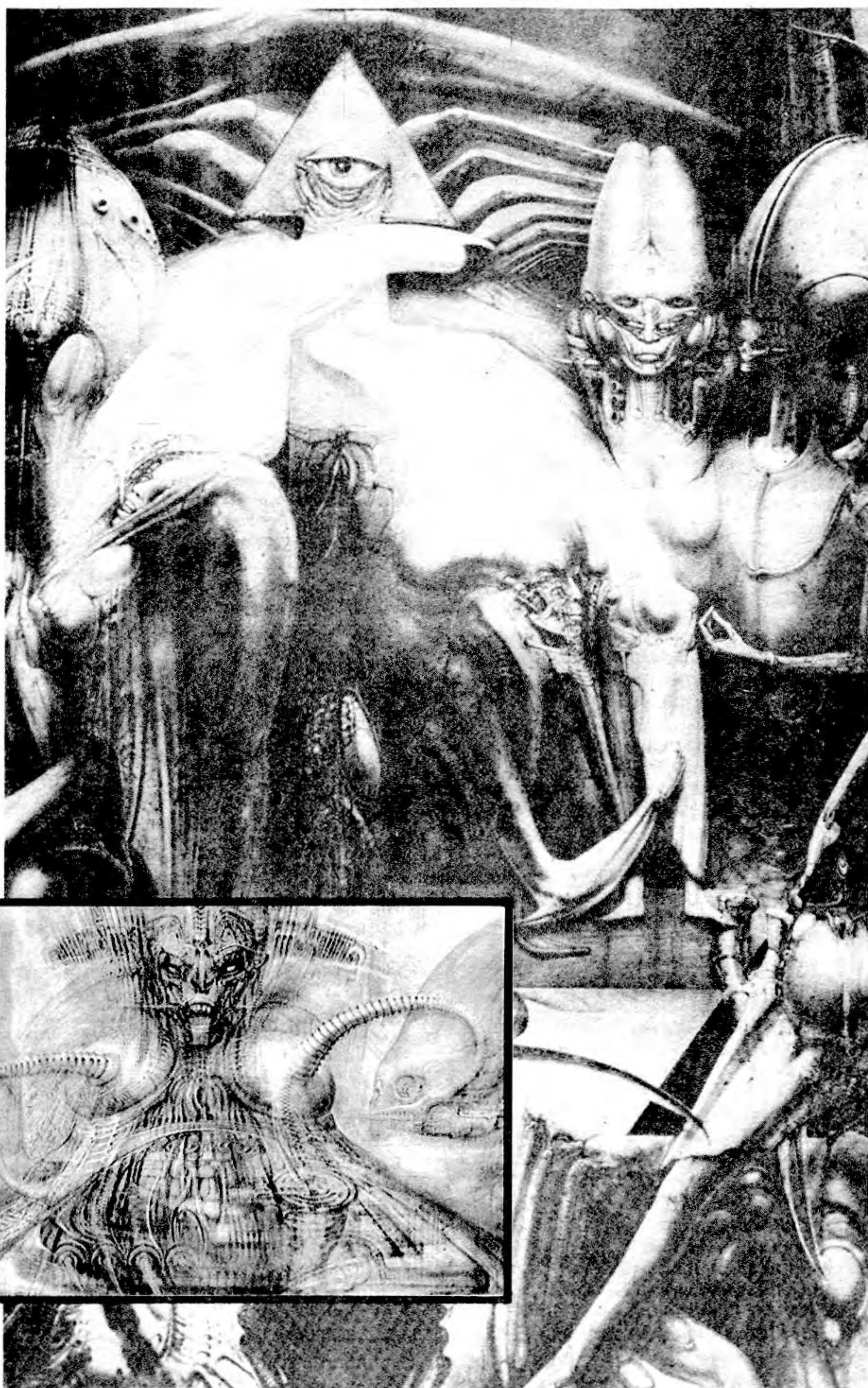
Nie rozumiejąc, co się stało, spojrzałem na Sone. Jej brwi były ściągnięte, a w oczach migotały iskierki gniewu.

– Sone – zapytałem – o co chodzi?

– Ona musi stąd wyjść – powiedziała czarodziejka, stanowczo, lecz już znacznie spokojniej.

– Proszę cię, odejdź – szepnąłem do Sone.

H.R.G.



2

1

1. Nr 210: „Aleph", 1972-73, tusz, 240 x 216 cm (fragment)
2. Nr 516: „Victory" V (Satan), 1983, akryl, 70 x 100 cm



Bez słowa, z zaciśniętymi wargami wyszła z komnaty. Poczułem gorycz, spóźniony żal, że tak szybko ustąpiłem.

– Czy to było konieczne? – zapytałem. – Co takiego zrobiła?

Canaan przerwała mi niecierpliwym gestem.

– Patrz w kamień – rozkazała. – Później będzie czas na wyjaśnienia.

Ponownie zatopiłem wzrok w klejnocie. Teraz od razu dostrzegłem. To była oaza Glosffi na szlaku z Adys Minar do Tradegranu. Kilka drzew, źródło i pochylona nad nim tysiącletnia skała, jej wielki spokój, doskonała obojętność wynikająca z pierwszego prawa Kosmosu – Prawa Trwania.

– To prawo skał, nie ludzi – doleciał mnie jak przez mgłę głos czarodziejki. Przesunęła dłonią po krysztale i obraz zmienił się zupełnie. Tym razem widziałem ciasne wnętrze drewnianej izby z dużym piecem, w którym buzował ogień. Po izbie krzątała się młoda kobieta o ujmującej urodzie i co chwila spoglądała na mnie z zagadkowym uśmiechem. W kołysce kwiliło niemowlę. Zaczęła mnie ogarniać atmosfera ciepła i bezpieczeństwa.

Canaan jeszcze raz przesunęła dłonią po krysztale. Zobaczyłem wtedy rycerza w złotej zbroi. Z zapartym tchem patrzyłem, jak dobywa miecz i z okrzykiem wznosi go do góry.

– Atarsdill! – wykrzyknąłem z niedowierzaniem.

Jego oręż lśnił blaskiem błyskawicy, to był Atarsdill!

Po moim okrzyku wszystko nagle zbladło, rozpłynęło się w zielonkawej toni klejnotu. Spojrzałem pytająco na Canaan.

– To już koniec – potwierdziła. Była bardzo blada.

– Wyglądasz na zmęczoną, pani – rzekłem.

– To przejdzie – odparła. – Na początku niepotrzebnie traciliśmy czas i później musiałam się spieszyć, by odczytać do końca znaki przeznaczenia.

– Znasz moje losy? – szepnąłem pobladłymi wargami. – Powiedz... czy umrę...

– Umrzesz, rycerzu, jak wszyscy – odparła z nikłym uśmiechem na ustach. – Ale teraz zawołaj Sone. To, co chcę powiedzieć, nie jest tajemnicą.

Ruszyłem ku drzwiom, lecz zatrzymałem się w pół kroku.

– Co ona takiego zrobiła, że musiała wyjść? – zapytałem. Canaan spojrzała na mnie czarnymi, spokojnymi oczami i rzekła:

– Czytanie w przyszłości jest trudne, Michale. Nie jest ona tak zakrzepła, tak kryształowo przejrzysta, jak przeszłość. Nawet losy pojedynczego człowieka niełatwo odgadnąć. A gdy w strumień świadomości, który budzi energię kryształu, mieszają się dodatkowo myśli innych osób...

– Ależ...

– Nie przerywaj mi. Wiem, kim jest dla ciebie Sone i tylko dlatego z początku pozwoliłam, by spoglądała w kamień. Kiedy jednak zrozumiałam, że kryształ odpowiada nie na twoje, lecz na jej pytania, musiałam ją wyprosić.

– Więc te obrazy na początku były przywołane przez Sone? – zapytałem.

Czarodziejka potrząsnęła przecząco głową.

– Wytłumacz mi zatem, co znaczyły. Chcę to zrozumieć.

– Zrozumiesz to kiedyś. Nie pytaj więcej. Nie mogę ci odsłonić całej przyszłości.

Zrozumiałem wtedy, że Canaan podzieli się ze mną tylko niewielką częścią prawdy. Powie mi tylko tyle, ile uzna za stosowne. Dla mojego własnego dobra.

– Ufam ci – rzekłem z trudem. – Mów to, co możesz powiedzieć.

Skrzypnęły drzwi i do komnaty weszła Sone. Zbliżyła się do mnie, objąłem ją ramieniem. Czarodziejka tymczasem wróciła przed kominek, znowu zapatrzyła się w gasnące już węgle.

– Jesteś rycerzem, Michale – zaczęła ostrożnie, z namysłem – i przeznaczony jest ci żywot rycerza.

– Czy zginę w boju? – zapytałem.

– Dokonasz wielkich i walecznych czynów, które rozsławią twoje imię na równi z imieniem Atarsdilla.

– Czy zginę w boju? – zapytałem ponownie.

– Nie – odparła – los oszczędzi cię w walce, gdyż przeznacza dla ciebie inny koniec.

– Jaki?

Canaan przymknęła na moment oczy. Było po niej widać wielkie znużenie.

– Mówiłeś przed chwilą, że mi ufasz – rzekła z wyrzutem, a ja umilkłem zawstydzony. – Na to pytanie nikomu nie odpowiadam.

– Czy znajdę szczęście w życiu?

– Szczęście już znalazłeś – odparła zagadkowo – i życzę ci, abyś długo umiał się nim cieszyć.

Długo myślałem nad tym, co powiedziała, by w końcu rozłożyć bezradnie ręce i oświadczyć, że nie wiem, o jakim szczęściu mówi.

– Zrozumiesz to kiedyś – odrzekła.

Tylko tyle miała mi do powiedzenia. Byłem zawiedziony.

– Po rozmowie z magicznym kamieniem nikt jeszcze nie opuścił tej wieży uradowany – rzekła Canaan ze słabo ukrywaną goryczą. – Ty chyba jednak nie masz powodu, by rozpaczać. Nie każdego może spotkać w życiu taka sława, jaka jest tobie pisana. Już jutro na balu poznasz jej smak.

– Masz słuszność, czarodziejko – powiedziałem ze skruchą. – Winien ci jestem podziękowanie, że pozwoliłaś mi zajrzeć w przeznaczenie. Moje ręce są zbyt krótkie, bym mógł się należycie odwdzięczyć, chyba że zostanę twoim sługą. Czy zechcesz mi rozkazywać?

– Rozkazywać? – uniosła w zdziwieniu brwi. – Nigdy tego nie robię.

– Więc ofiaruję ci wiersz, posłuchaj:

Gdy po szczęku srogim
Czerwone burzy ognie
Na twym ramieniu poskromić
Chcę smoków paszcze głodne

Wstążka Arieli, wszak
Bestii tych nie powali
Żadna rzeka płomieni
Ni czyn ramienia w stali

Kiedy skończyłem, czarodziejka obdarowała mnie uśmiechem.

– Piękny wiersz – rzekła. – Bardzo mi się podobał.

Skłoniłem głowę, a wtedy padły słowa, po których najchętniej zapadłbym się pod ziemię.

– Przyznaj jednak – rzekła Canaan – że chociaż wstążkę przeznaczałeś dla mnie, wiersze miały być raczej dla uszu królowej.

– Zauważ, pani – szepnąłem zmieszany – że ten wiersz nie mógł być dla królowej. Ty jedna w królestwie nosisz bransolety w kształcie smoków.

– Zauważyłam – odpowiedziała wciąż się uśmiechając, a po chwili dodała: – W zamian za wiersz udzielę ci pewnej rady. W czasie balu królowa zechce cię obdarować i wiem, że poprosisz ją o tarczę.

Przytaknąłem krótko. Nic już nie mogło mnie zdziwić.

– W zamian za zwrócenie Glodsworda proś o Tarczę Armitraja. Przeznaczone jej jest widzieć wielkie czyny. Być może w twoim ręku, Michale.

Byłem zawiedziony taką radą.

– Myślałem o Tarczy Książęcej lub Tarczy Artygów – powiedziałem niepewnie.

– Zrobisz jak zechcesz.

Później zauważyłem, że Canaan nikomu nie starała się narzucić swojego zdania. Pozwalała innym działać wedle ich własnego uznania, chociaż z całą pewnością lepiej od wszystkich wiedziała, co jest dobre, a co złe.

Biłem się jeszcze z myślami, gdy czarodziejka klasnęła w dłonie, by przywołać Cinaaltę.

– Do zobaczenia, rycerzu – powiedziała. – Niech nigdy nie braknie ci szczęścia w boju, ani siły twym skrzydlatym rumakom.

Dopiero wróciwszy do komnaty, przypomniałem sobie, że kiedyś słyszałem już takie słowa. Zbyt jednak byłem śpiący, by się nad tym zastanawiać. Za oknem szarzało.

Canaan spotkałem ponownie nazajutrz, na balu. Gdy ją dojrzałem, byłem już bardzo zmęczony natręctwem setek ludzi, z których każdy próbował wyrazić mi swój podziw i pochwalić odwagę. Przypadłem czarodziejce do ręki i jęknąłem:

– Pani, ratuj! – Mówiłaś mi o smaku sławy, sława to same ciernie.

Sądziłem, że mnie podniesie na duchu, lub pocieszy, lecz zawiodłem się. Canaan zmrużyła swe czarne oczy i rzekła:

– Najgorsze jeszcze przed tobą. Bądź dzielny, rycerzu.

W tym momencie zagrały trąby i do sali wkroczyła królowa wzraz ze świtą. Kiedy oznajmiła, że pragnie mnie obdarować, natychmiast dokoła zrobiło się tłoczno. Wszyscy chcieli zobaczyć, jakie otrzymam dary. Azawena powiedziała:

– Wszystkim wiadomo, że nasz dzielny gość pokruszył swoją tarczę podczas turnieju. Chcę mu ofiarować jedną z tarcz, jakie wiszą w tej sali. Michale – zwróciła się do mnie – czy przyjmiesz Tarczę Książęcą?

Usłyszałem głosy chwalące ten wybór i spojrzałem na czarodziejkę. Tak jak inni patrzyła na mnie z zaciekawieniem, czekała na moją decyzję. Niech się dzieje, co chce, pomyślałem, po czym rzekłem:

– Zbyt wielki to zaszczyt, królowo. Jeśli pozwolisz, to wolę dostać Tarczę Armitraja.

Zdumieni byli wszyscy, a najbardziej sama Azawena.

– Czyżbyś nie wiedział, że na tej tarczy ciąży klątwa? – zapytała. – Od czasów Armitraja próbowało ją wielu rycerzy, lecz każdemu przyniosła nieszczęście.

– Mimo to o nią właśnie proszę.

Królowa po długim wahaniu wyraziła zgodę, widać jednak było, że nie jest zadowolona. Kazała zdjąć tarczę ze ściany, a potem klasnęła w dłonie. Na ten znak wniesiono spory kobierzec i rozwinięto go u moich stóp. Trudno mi było powstrzymać okrzyk zachwytu; kobierzec był prawdziwym arcydziełem. Złotymi, srebrnymi i czarnymi nićmi wyczarowano na nim wielkie sceny z życia Atarsdilla. Nie mogłem oderwać wzroku od tak niezwykłego podarunku, tymczasem królowa ponownie dała znak i wniesiono dwie pokaźne szkatuły, których zawartość wysypano na kobierzec. Z piersi patrzących wyrwał się jęk, a ja, patrząc na stos złota, który wyrósł u moich stóż poczułem nagły chłód.

– To wszystko... dla mnie? – zapytałem ochrypłym głosem.

– Dla ciebie, Michale – odparła królowa zadowolona z wrażenia, jakie wywarła na wszystkich. – Kiedy powrócisz z tym skarbem na Wyspę Mgieł, zostaniesz najpotężniejszym wasalem króla Migradena.

– Nie mogę przyjąć tego złota – powiedziałem z desperacją.

Królowa zmarszczyła brwi.

– Rycerzu – zawołała niemal z gniewem – robisz wszystko, by zniweczyć hojność, jaką chciałam ci okazać. Rozkazuję, masz przyjąć dary!

Z niespodziewaną pomocą przyszła mi czarodziejka.

– Daruj mu ten głupi kaprys, Najjaśniejsza – rzekła – i nie czyń go szczęśliwym wbrew jego woli.

Wietrzyłem w powietrzu błyskawice, lecz Azawena zachowała kamienną twarz.

– Po namyśle pochwalam twoją skromność, rycerzu – powiedziała spokojnie, choć gniew, który błyszczał w jej oczach przeczył każdemu słowu. – Abyś jednak opuścił mój pałac z prawdziwie królewskim darem, ofiaruję ci coś, czego nigdzie indziej znaleźć nie zdołasz.

– Cóż to takiego? – zapytałem.

– Znajomość własnego przeznaczenia! Rozkażę, by jeszcze dzisiaj czarodziejka pozwoliła ci zajrzeć w magiczny kamień Olightu.

Spojrzałem zdumiony na Canaan, lecz ta skłoniła tylko głowę na znak posłuszeństwa. Potem spojrzałem na królową – triumfowała. I wtedy przyszło nagłe olśnienie. Zrozumiałem, że to Canaan jest wielka, a nie Azawena. Zrozumiałem, że Azawena, choć wielka gestami, bogactwem i wielka swoją władzą, jest żałosna w porównaniu z czarodziejką. Nawet gdy wydaje jej rozkazy.

Kiedy dwa tygodnie później opuszczałem Lothernelo, do bram miasta odprowadziła mnie Cinaalta.

– Do zobaczenia, rycerzu – powiedziała bardzo poważnie. – Nie mówię „żegnaj", gdyż myślę, że się jeszcze spotkamy.

– Do widzenia, Cinaalto – odparłem. A potem dodałem:

Obmyj z cienia swą twarz
Daj mi uśmiech na pożegnanie

Cinaalta była zaskoczona. Chciała chyba coś powiedzieć, lub zapytać, gdy dobiegły nas dalsze słowa wiersza:

Niech go zachowam w pamięci
Niech mi będzie słońcem na niebie
Aż po następne spotkanie

Obejrzeliśmy się. Od razu rozpoznałem mojego znajomego sierżanta – tego, który nie chciał mnie wpuścić do miasta. Pozdrowiłem go uniesieniem ręki. Wówczas rzekł:

– Brałem warty poza kolejnością, żeby nie przegapić pańskiego odjazdu.

– To bardzo miłe – odparłem życzliwie.

Cinaalta nic nie rozumiała.

– Co to znaczy, sierżancie? – zapytała. – Skąd zna pan te dziwne słowa o pożegnaniu?

Strażnik wydobył z kieszeni tomik poezji i podał go dziewczynie.

– Kupiłem to przed tygodniem i... ech, cóż to był za tydzień – powiedział rozmarzony.

Potem złapał mnie za łokieć i zawołał:

– Mistrzu, chcę pisać tak jak ty... ale nie wiem, jak to zrobić.

Cinaalta osłupiała.

– Żołnierzu – rzekła słabym głosem – chyba nie bardzo wiesz, do kogo mówisz.

Sierżant uśmiechnął się dobrotliwie i zapytał:

– Jak mógłbym nie wiedzieć? Jak mógłbym nie rozpoznać Michała de Brouillard, pierwszego apostoła poezji?

– Ależ to jest Michał z Wyspy Mgieł, zwycięzca tegorocznego turnieju! – wykrzyknęła.

Sierżant parsknął śmiechem. Umilkł jednak w pół tonu i teraz oboje spojrzeli na mnie w oczekiwaniu, że wyjaśnię nieporozumienie. Nie miałem takiego zamiaru. Spiąłem Arlufa ostrogami i odjechałem, śmiejąc się na całe gardło. A za mną w radosny pęd puścił się mój drugi pegaz – Arahal.

Tak było. To turniej w Lothernelo dał początek legendzie, którą znacie z pieśni i opowiadań. Nieważne, że w pieśniach rycerz nosi inne imię i że jego rumaki nie mają skrzydeł. Nie pora, by prostować nieważne szczegóły. Popełniłbym jednak błąd, gdybym nie przedstawił finału całej historii.

Powróciłem do Lothernelo wiele lat później. Czy byłem szalony, udając się do tego miasta, przed którym tyle razy ostrzegały mnie wróżby? Być może. Wszak istnieją na świecie moce, które każą robić ludziom rzeczy szalone... I tak w chmurną, deszczową noc zimowego przesilenia, po raz drugi w moim życiu znalazłem się w mrocznej Wieży Olightu, w tej samej komnacie, która była świadkiem wydarzeń pamiętnej nocy po turnieju.

– Witaj – rozległ się kobiecy głos.

☞

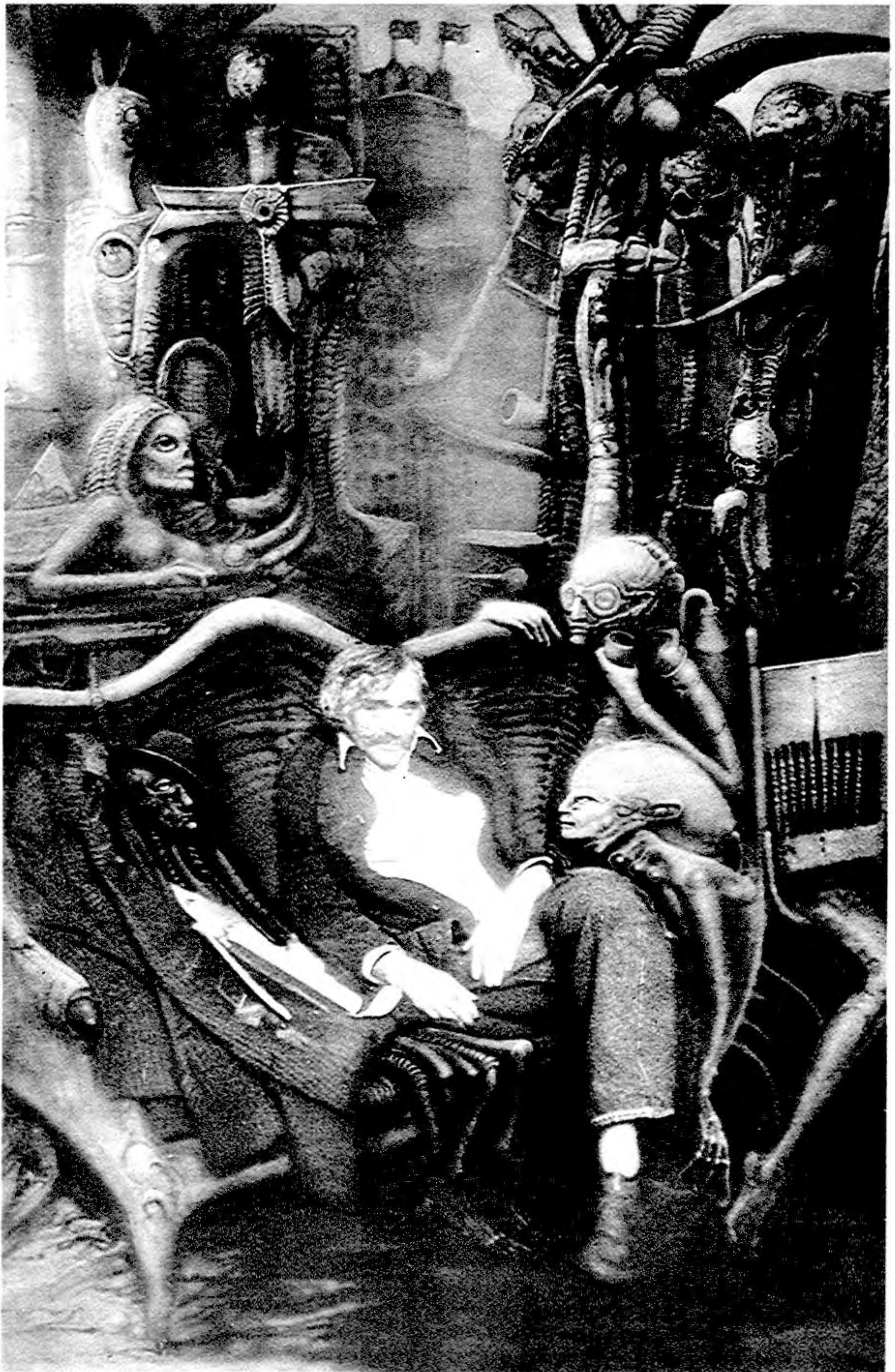
Waldemar PŁUDOWSKI

Urodził się w 1960 r. w Lublinie. Absolwent Wydziału Elektrycznego Politechniki Lubelskiej. Entuzjasta turystyki i narciarstwa. Opowiadanie „Ballada o rycerzu i dwóch pegazach" jest jego debiutem literackim.

(mp)

H.R.G.

GALERIA



Nr 220: „Friedrich Kuhn" I, 1983, akryl na fotografii, 80 x 60 cm

– Canaan? – zapytałem zdumiony, lecz w następnej chwili wiedziałem już, że się mylę. Przede mną stała Cinaalta. Jedynie powaga i skupienie na twarzy czyniły ją podobną do czarodziejki.

– Canaan odeszła – padło krótkie wyjaśnienie. – To ja ciebie wezwałam.

– Mów – rzekłem krótko – przybyłem, by cię wysłuchać.

Cinaalta skinęła głową.

– Michale – powiedziała – od kiedy na czele hufców królowej Azaweny zabrakło Rothryga van Gort i jego Glodsworda, wiele nieszczęść dotknęło to miasto. Kiedyś widziałeś je piękne i kwitnące, a dzisiaj... gdybyś wyjrzał przez okno, dojrzałbyś pogorzeliska i usłyszałbyś płacz. To miasto potrzebuje pomocy i ciebie o nią proszę.

– Mnie? – zapytałem ze zdziwieniem. – Dlaczego szukacie pomocy na drugim końcu świata?

– Bo potrzebne jest męstwo, równe męstwu Atarsdilla – odparła Cinaalta – i chęć służenia sprawiedliwości, nawet jeśli jest po stronie słabszych.

Uśmiechnąłem się w duchu. Wiedziałem od początku, że w rozmowie padnie imię Atarsdille.

– Piękne dobierasz słowa, czarodziejko – rzekłem. – Bacz jednak, by to co mówisz, nie było piękniejsze od rzeczywistości, a twe intencje nie wydały się szlachetniejsze, niż w istocie są.

Hardo potrząsnęła głową.

– Odrzucasz moje racje, jeszcze zanim je usłyszałeś.

– Cinaalto – rzekłem – oboje dobrze wiemy, dlaczego sąsiednie królestwa sprzymierzyły się przeciw Lothernelo. To miasto od tysiąca lat było zawsze pierwsze, najważniejsze. Jego władcy nie zwykli liczyć się z nikim. I metropolia rosła w siłę i we wspaniałość, a wokół niej rósł mur żalów, niechęci i zazdrości. Czy mogą dziwić miecze wymierzone teraz w Lothernelo?

– W tej chwili nie jest ważne, jak było dawniej – zaprotestowała Cinaalta. – Być może wielkość miasta wyrosła z krzywdy innych, lecz czy to coś zmienia? Ginie klejnot Południa, a wraz z nim kultura i piękno, jakiego próżno szukać gdzie indziej. Czy dawnymi żalami można usprawiedliwiać palenie i rabunek?

Zaczynałem mieć już dosyć tej rozmowy.

– Przestań – powiedziałem. – Nie chcę i nie mogę ci pomóc, Cinaalto. Przykro mi.

– Proszę cię, Michale...

– Dosyć, Cinaalto! – usłyszałem nagle czyjś głos za plecami. – Przestań go prosić. Czy nie widzisz, że robisz to daremnie?

Odwróciłem się. Stojąca w drzwiach dziewczyna potrząsnęła gniewnie głową, rozsypując złote loki. Wyzywająco spojrzała mi w oczy.

– Odejdź, cudzoziemcze – rzekła. – Twoja pomoc, nawet jeśli ją zaofiarujesz, nie będzie już nam miła.

– Agnieszko! – krzyknęła na nią czarodziejka. – Cofnij swoje słowa.

– Niczego nie cofnę! – w szarych oczach Złotowłosej zapłonął gniew. – Choćbym miała spłonąć już jutro razem z tym pałacem, mam swoją dumę i nie będę nikogo błagała o pomoc.

Po tych słowach wybiegła, trzaskając za sobą drzwiami. Dopiero wtedy zrozumiałem, że wbrew wróżbom i radom przyjaciół chcę zostać w Lothernelo, że dla tej gniewnej dziewczyny ze złotymi lokami gotów jestem to uczynić. Złapałem za łokieć Cinaaltę, która chciała pobiec za Agnieszką.

– Nie trzeba – powiedziałem. – Zostanę.

Rano w towarzystwie Abgala, sługi królowej wyszedłem na miasto. Zaraz też zobaczyłem, że Cinaalta przesadziła, mówiąc o pogorzeliskach. To, co najbardziej rzucało się w oczy, to były powybijane okna i śmieci, całe góry śmieci zalegających ulice i skwery. Pod moimi nogami poniewierały się stare gazety, puszki po piwie, sterty papierowych i plastykowych opakowań. Podszedłem do pierwszej napotkanej fontanny – była po brzegi wypełniona odpadkami.

Wkrótce miałem dosyć łażenia po mieście. Wróciłem na aleję, która wiodła w stronę pałacu i usiadłem tam na zwalonej kolumnie jednego z pomników. Byłem przygnębiony. Wyglądało na to, że przyczyną upadku Lothernelo była nie tyle zawiść sąsiadów, co obojętność własnych obywateli. Czy w takiej sytuacji jestem w stanie dopomóc Cinaalcie?

Rozmyślania przerwał mi Abgal, podsuwając paczkę papierosów.

– Zapal, przyjacielu – powiedział. – I nie przejmuj się smutnym końcem tego miasta, bo nie warto.

– Osobliwie służysz swojej pani – zmarszczyłem brwi.

– Królowa zalega mi z żołdem za dwa miesiące – odparł, jakby to było dostatecznym wyjaśnieniem. – Zaciągnąłem się do jej armii na wojnę z Allarem. Liczyłem, że dobrze zarobię, a tymczasem nasz marszałek, jak tylko zobaczył w polu przeciwnika, poddał się z całą kasą.

– Jak się skończyła wojna z Allarczykami? – zapytałem.

– A jak się mogła zakończyć?

– Wkroczyli do miasta?

– A co ich obchodzi ta kupa gówna?

Rozmowa się urwała. Patrzyliśmy w milczeniu, jak wiatr goni papiery po ulicy, gdy nagle w oddali pojawiła się kolumna jeźdźców oraz pieszych. Mój towarzysz zerwał się zaniepokojony i pociągnął mnie za rękaw.

– To baron Horge ze swoją bandą. Oddalmy się, bo nie omieszkają nas zaczepić.

Nie zważając na jego słowa powstałem i wyszedłem na środek alei. Oddział Horgego zatrzymał się na mój widok.

– Zejdź z naszej drogi, bo cię zabijemy! – zawołał baron. Roześmiałem się i odkrzyknąłem:

– Słyszałem, Horge, że pragniesz odwiedzić królową. Nic z tego! Jej Wysokość nie chce oglądać twej pryszczatej mordy i wysłała mnie, bym ci to oznajmił.

Horge poczerwieniał na twarzy i machnął ręką. Na ten znak trzech ludzi rzuciło się na mnie z mieczami. Nie było to rozważne z ich strony i za swoją głupotę zapłacili gardłami. Kilka chwil później wszyscy trzej leżeli w konwulsjach na zbryzganym krwią bruku, a ja skoczyłem w stronę barona i ściągnąłem go z konia.

– Posłuchaj, hultaju – warknąłem mu prosto w twarz – wynoś się z Lothernelo i nigdy tu nie wracaj. Jeśli przyjdzie ci do głowy zrobić jeszcze jakieś łajdactwo w tym mieście, będzie to ostatnia rzecz, jakiej dokonasz w swoim życiu.

Po tych słowach zawróciłem na pięcie. Nie zdążyłem zrobić nawet pół kroku, gdy instynkt kazał mi odwrócić się z powrotem. W ostatniej chwili odbiłem cios Horgego wymierzony w moje plecy. Nim baron zrozumiał, o jakim łajdactwie wspomniałem przed chwilą, jego głowa potoczyła się po ziemi.

Powiodłem wzrokiem po reszcie oddziału. Wszyscy byli przerażeni. Wskazałem na trupa i rzekłem:

– Taki los czeka każdego zdrajcę, który sprzeniewierzy się przysiędze wierności koronie.

– Zapamiętamy, panie – odparł jeden z nich. Skinąłem, by się zbliżył. Gdy to uczynił, powiedziałem:

– Od dziś mianuję ciebie baronem na włościach Horge. Rządź tam sprawiedliwie i bądź wierny królowej.

Ten jednak złapał mnie za łokieć i zawołał:

– Panie, ty jesteś Michał, rycerz z Wyspy Mgieł. Nie chcę być baronem. Pozwól mi dołączyć do twojej kompanii.

Kiedy padło moje imię, w oddziale zawrzało. Wszyscy krzyczeli jeden przez drugiego, że też chcą się oddać pod moje rozkazy.

Z pomocą przyszedł mi Abgal, który przez cały czas z bezpiecznej odległości obserwował zajście. Teraz wpadł jak pocisk w sam środek bandy i ryknął:

– Cisza, hołoto! Chcecie, bydlaki, w służbę do najmężniejszego rycerza na świecie!? Kara was czeka za zbrodnie, a nie zaszczyty!

Ludzie barona ucichli, pospuszczali głowy. Po dłuższej chwili ktoś z końca odezwał się nieśmiało:

– Odkupimy nasze winy.

– Tak jest, odkupimy!!!

Abgal podrapał się w głowę.

– Dobra – rzekł – możecie zacząć od wybierania śmieci w tej dzielnicy. Potem zobaczymy...

Spojrzeli na mnie, a gdy przyzwalająco skinąłem głową, cały oddział wiwatując rzucił się do roboty.

– Brawo, Abgalu – rzekłem z uznaniem i wyjąłem z kieszeni złotą monetę. – Oto twój żołd. Królowa przeprasza, że dostajesz go dopiero teraz.

Wyszczerzył zęby i ukłonił się po dworsku.

– Całusy dla królowej. Pozdrów ją ode mnie.

Pogroziłem mu palcem.

Zaraz po powrocie do pałacu wziąłem prysznic i poszedłem do królewskich apartamentów. Spotkałem tam złotowłosą Agnieszkę.

– Dzień dobry, księżniczko – pozdrowiłem ją. – Wstałem dziś rano równo ze słońcem i zdążyłem już zrobić spacer po mieście.

– Naprawdę? Cóż tam słychać nowego?

– Uciąłem krótką pogawędkę z baronem Horge.

Agnieszka zbladła słysząc to imię.

– Osobliwe zawierasz znajomości – rzekła sucho. – To właśnie on najbardziej buntuje naszych wasali.

– Buntował – sprostowałem, wyciągając złoty łańcuch z herbem barona. – Od dzisiaj nie będzie już źle czynił, gdyż go zabiłem.

– Zabiłeś? – zawołała zdumiona i cofnęła się o dwa kroki.

Podszedłem i ująłem ją za rękę.

– Agnieszko – szepnąłem – uśmiechnij się do mnie, a jutro przyniosę worek pełen takich herbów.

Oswobodziła się delikatnie z mojego uścisku. Oczekiwałem, że coś powie, lecz ona odeszła bez słowa.

– Księżniczko – zawołałem za nią – niech pani nie odchodzi... Kocham panią...

Agnieszka przystanęła zdumiona, a ja sam na równi z nią byłem zaskoczony swoimi słowami.

– Miłość to piękne słowo – odrzekła – lecz nie ma ono już dla mnie uroku.

– Och, proszę mi wybaczyć. Kiedyś umiałem mówić piękniej. Wtedy chodziły za mną muzy...

– Pan mnie nie rozumie. Nie mogę pana pokochać, nawet gdybym chciała. Tyle musi panu wystarczyć.

Po tych słowach odeszła.

Resztę przedpołudnia spędziłem w ogrodzie. Był niemiłosiernie zaniedbany, lecz mnie to nie obchodziło. Przed oczyma miałem obraz Agnieszki. Im dłużej jednak o niej myślałem, w tym większe popadałem przygnębienie, tym jaśniej dostrzegałem, jak wiele nas dzieli. Później wszakże zapytałem sam siebie: Jak mogłoby być inaczej? Ona jest taka piękna! Ta myśl bardzo mnie pocieszyła. Długo ją obracałem w myślach, potem poszedłem do Cinaalty.

Czarodziejka powitała mnie bez uśmiechu. Przy dziennym świetle wydawała się jeszcze bledsza i mizerniejsza, niż poprzedniej nocy.

– Posłuchaj, Cinaalto – oznajmiłem bez wstępów. – Prosiłaś mnie, bym bronił Lothernelo, a ja widzę, że nie ma czego bronić, bo Lothernelo już dawno zginęło. W każdym razie nie rycerzy tu potrzeba, lecz czaru, który by odmienił serca ludziom, wrócił im nadzieję.

Czarodziejka wydęła wargi.

– Nie ma takiego czaru.

– Jest, lecz nie wiesz gdzie go szukać. Zbyt wiele znasz czarów, a mało wiesz o ludziach. A ludziom wystarczy dać coś, w co zechcą uwierzyć. Wystarczy tylko tyle, a będą przesuwali góry...

Cinaalta wybuchnęła śmiechem, w którym usłyszałem nutki histerii.

– Czym chcesz ich skłonić, by przesuwali góry?

– Mieszkańcy tego miasta potrzebują pięknej królowej, którą mogliby kochać i mężnego króla, którego by mogli podziwiać. Spraw, by Agnieszka mnie pokochała i poślubiła...

Cinaalta pobladła.

– Twoja propozycja jest bezczelna – rzekła wzburzona. – Doprawdy nie wiem, jak śmiesz...

– Ta propozycja jest przede wszystkim rozsądna – przerwałem jej. – Z pewnością zdajesz sobie z tego sprawę.

Nie. Cinaalta z pewnością nie zdawała sobie z tego sprawy. Była rozgniewana. Z wypiekami gniewu na policzkach mówiła, że żadna sława nie daje prawa do arogancji i że na Południu w



Tomek Tomaszewski

większej cenie jest ogłada, niż umiejętność ścinania głów. Kiedy na koniec oświadczyła, że Agnieszka nie zostanie żoną żadnego przybłędy, straciłem cierpliwość. Chwyciłem ją za ramię i ścisnąłem mocno.

– Sama prosiłaś, bym tu przybył. Jestem gościem, a nie przybłędą – syknąłem przez zęby.

Szarpnęła się, lecz nie zwolniłem uścisku.

– Gościem, nie przybłędą – powtórzyłem. – Pamiętaj o tym i nie mów słów, których później będziesz żałowała.

Puściłem ją. Z grymasem bólu rozcierała bolące ramię.

– Ona nie zostanie twoją żoną – powtórzyła z uporem. – Nigdy!

– Zastanów się – odparłem. – Daję ci czas do jutra.

Ruszyłem ku drzwiom, lecz zatrzymał mnie okrzyk Cinaalty:

– Zaczekaj! – zawołała. – To, o co prosisz jest niewykonalne. Nie znam sposobu.

– Kłamiesz. Najgłupsza wiejska czarownica zna sposoby.

Potrząsnęła głową.

– Mylisz się – rzekła cicho. – Wiedz, że Agnieszka nie pojmie za małżonka ani ciebie, ani żadnego innego męża na świecie. Mogę co najwyżej sprawić, że spędzi z tobą jedną noc.

Długo patrzyłem jej w oczy, zanim nabrałem pewności, że nie skłamała.

– Spraw więc, by tak się stało – odparłem.

Gdy zapadła głęboka noc, prześliznąłem się pustymi pałacowymi korytarzami do sypialni księżniczki. Agnieszka we śnie była jeszcze piękniejsza niż za dnia. Długo patrzyłem na jej twarz, na złote włosy rozsypane po błękitnej poduszce. Otworzyła oczy.

– Pan tutaj? – zapytała zdziwiona

– Tak – szepnąłem – ta noc należy do nas, Agnieszko.

– Do nas?

– Nie rozumiesz? To takie proste...

Zbudziły mnie promienie wschodzącego słońca. Agnieszka spała z głową na mojej piersi. Delikatnie położyłem ją na poduszce. Wtedy otworzyła oczy a ja uśmiechnąłem się do niej.

– Dzień dobry, księżniczko.

Nie odpowiedziała. W jej oczach eksplodowało przerażenie. Otworzyła usta jak do krzyku, lecz zaraz zasłoniła je dłonią. Sięgnęła po prześcieradło, by przykryć swoją nagość. Byłem zaskoczony i przestraszony taką reakcją.

– Agnieszko... – szepnąłem.

Chciałem ją objąć, ale mnie odepchnęła.

– Wynoś się! – krzyknęła rozdzierająco.

Wyszedłem. Wracałem do swojego pokoju przybity, ze zwieszoną głową, gdy nagle do mych uszu doleciał urywany szloch. W końcu korytarza dostrzegłem drobną postać wtuloną w purpurową kotarę i zanoszącą się płaczem. Serce podeszło mi do gardła.

– Sone! – zawołałem.

Spojrzała na mnie i rozszlochała się jeszcze bardziej. Podbiegłem, objąłem ją ramionami. Nie potrafiłem nic powiedzieć, gdyż straszny żal ściskał mi krtań. Staliśmy jak sparaliżowani i tylko czułem, że na mojej koszuli rośnie słona plama łez. W końcu Sone pohamowała łkanie.

– Michale – rzekła z rozpaczą – coś ty zrobił? Dwa dni nie było mnie przy tobie i tyle zdążyłeś zepsuć.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Gorączkowo szukałem słów usprawiedliwienia, a kiedy ich nie znalazłem, jęknąłem:

– Sone, co teraz z nami będzie?

– Odejdę. Nie mogę zostać.

Wiedziałem, że tak powie, ale mimo to coś we mnie zaskowyczało z bólu.

– Sone, czy tak musi być?

Podniosła na mnie zapłakane oczy i zapytała:

– Czy ty nic nie rozumiesz? Czy nie widziałeś, jak ten dzień się zbliżał? Od dawna... od dnia tego nieszczęsnego turnieju wszystko ułożyło się niedobrze. Z każdym porankiem coraz bardziej przeklinałam chwilę, kiedy dostałeś do rąk Elencorda. Tyle krwi spłynęło po tym mieczu...

– Wiesz, że broniłem tylko słusznych spraw.

Zdawała się nie słyszeć moich słów.

– Tyle krwi – powtórzyła.

– Sone, czy naprawdę musisz mnie opuścić? – zapytałem jeszcze raz.

Z bólem spostrzegłem, że jej postać zaczyna blednąć.

– Sone – zawołałem.

Lecz ona na pożegnanie posłała mi już tylko uśmiech przez łzy, które szkliły się w jej oczach. Potem rozpłynęła się w powietrzu.

– Sone! – krzyknąłem rozpaczliwie.

Wydało mi się, że dostrzegam jej zwiewny kształt za oknem. Bez namysłu rozbiłem szybę i wyskoczyłem na dziedziniec.

– Sone! Sone! – krzyczałem, zanosząc się płaczem.

Mój żal był daremny. Jak po omacku wróciłem do swojego pokoju, rzuciłem się na łoże. Nie przyniosło mi to ulgi. Wtedy chwyciłem miecz i pobiegłem do Cinaalty. Musiała mnie oczekiwać, gdyż stała w otwartych drzwiach komnaty. Chwyciłem ją za gardło i potrząsnąłem.

– Ty jędzo! – krzyczałem. – Od początku wiedziałaś, co się stanie. To wszystko twoja wina!

Czarodziejka nie broniła się. Patrzyła tylko na mnie aż dostrzegłem, że w jej oczach odbija się mój własny smutek. Nie znalazłem dość siły, by uderzyć mieczem. Padłem na kolana i zaszlochałem. Było zbyt oczywiste, że zawiniłem przede wszystkim ja sam.

Powiadają, że czasem serce może pęknąć od wielkiego żalu. Wtedy chciałem, żeby tak właśnie się stało. To było najprostsze wyjście. Kiedy o tym myślałem, poczułem, że Cinaalta ociera chusteczką moje załzawione oblicze.

– Los bardzo z ciebie zadrwił, rycerzu – rzekła. – Zresztą nie tylko z ciebie.

Chciałem odpowiedzieć coś złośliwego, ale położyła mi dłoń na ustach.

– Nie oskarżaj mnie, sama dobrze wiem, ile jest mojej winy, w tym, co się stało. Wiedz jednak, że uczyniłam tyle tylko, ile uczynić musiałam.

Nie spodobały mi się te słowa.

– Dosyć, Cinaalto – powiedziałem ostro. – Nie lubię cię i nie chcę słuchać twoich usprawiedliwień. Niech cię piekło pochłonie!

Przez jej twarz przebiegł skurcz bólu i cofnęła się o krok.

– Odejdź, przeklęta – krzyknąłem jeszcze. – Nie chcę na ciebie patrzeć.

Potem ukryłem twarz w dłoniach. Gdy się ocknąłem, byłem sam. Pchnąłem uchylone drzwi i wszedłem do komnaty czarodziejki. Pustka i chłód, które tam panowały, przeniknęły mnie aż do szpiku kości. Chciałem już zawrócić, gdy dostrzegłem stojącą na stole szkatułę. Zamarłem. Zbyt dobrze pamiętałem tę szkatułę i magiczne rysunki namalowane na jej ściankach. Rozsądek nakazywał odejść, lecz jakaś dziwna siła pchnęła mnie do przodu, kazała uchylić wieko. Kamień milczał. Poczułem zawód, gdyż nie tego oczekiwałem. Mimowolnie wziąłem kryształ w dłonie, zamknąłem w uścisku. Chłonąłem chłód jego gładkich powierzchni i usiłowałem podjąć jakąś decyzję, postanowić, co zrobię dalej. Nie potrafiłem jednak zapanować nad rozbieganymi myślami. Wciąż miałem przed oczami Sone wtuloną w purpurę kotary i Agnieszkę z dłonią uniesioną do ust w niemym geście rozpaczy. Kiedy zrozumiałem, że za późno na żal i że nie naprawię już swoich błędów, odłożyłem magiczny kamień do szkatuły. Wtedy rozbłysnął czerwonym, intensywnym światłem.

Zmrużyłem oczy. W zamkniętych przestrzeniach kryształu tańczyły płomienie, a między nimi widziałem twarz Cinaalty. Mówiła:

– Myślisz, że nie miałam serca, lecz mylisz się. Ja je miałam i zabolało mnie, gdy zrozumiałam, jak gorzką cenę zapłacisz ty i Agnieszka. Nie wiem, czy było warto, nie wiem, czy drugi raz umiałabym postąpić tak samo... Nikt mnie nie nauczył, że jest cena, którą trzeba zapłacić, by mogło się spełnić przeznaczenie. Nikt mnie nie ostrzegł, że czasem trzeba poświęcić bardzo wiele...

– Cinaalto – rzekłem – z trudem wydobywając głos ze ściśniętego gardła – o jakim przeznaczeniu mówisz?

– Przeznaczenie jest tylko jedno... i moją sprawą była troska, by się spełniło...

– Nawet, gdy przynosi nieszczęścia? – zapytałem z bólem.

– Także wtedy – odparła i po jej twarzy spłynęły dwie wielkie łzy. – Tak przysięgałam. Tak przysięga każdy powiernik magicznego kamienia.

Głos się jej załamał, lecz szybko zapanowała nad sobą. Otarła rękawem policzki i rzekła:

– Michale... nim przepadnę... powiedz, że tak było trzeba, że przeznaczenie, nawet gdy niesie tragedie, jest lepsze od igraszek ślepego przypadku. Powiedz, że przeznaczenie to dobrodziejstwo, gwarancja, że świat... Powiedz to, proszę.

– Cinaalto jęknąłem – co teraz będzie?

– Z tobą nic, a ja... Pewnych rzeczy nie robi się bezkarnie.

Po jej twarzy znowu pociekły łzy. Chciałem coś powiedzieć, ale nie znajdowałem odpowiednich słów. Tymczasem obraz w krysztale zaczął się rozmazywać. Chwyciłem klejnot w dłonie, by z bliska w niego spojrzeć – daremnie. Przejrzyste do niedawna płaszczyzny zmatowiały, a w chwilę później kamień rozsypał się.

Spojrzałem na pył, który mi został w dłoniach – to było jak spojrzenie w czarną przepaść. Poczułem, jak w głębi mojej duszy zaczyna rosnąć lament i powoli, powoli wypełnia mnie bez reszty. Bardzo chciałem, żeby wszystko okazało się koszmarnym snem. Tak dobrze byłoby przebudzić się i zacząć życie od początku.

Waldemar Płudowski

Janusz Cyran

Ω

Jeruzalem

Rzekłem do mego Ojca:
Od tej chwili zwać cię będę Ojcem, a ty nazywaj mnie synem, aby zaczęło się pisać Pismo, które już przed wiekami było.
On zaś odpowiedział:
Dobrze, jeśli tego chcesz, niech tak będzie.
Rzekłem: Niech stanie się świat, taki jakim go znamy, niech prawa tego świata będą i lud pośród niego wolny w tym co dobre i złe, tak, aby mogło dokonać się Odkupienie.
I stał się świat i prawa jego, lud wolny w tym co dobre i złe powstał i obrócił się przeciwko swemu Stworzycielowi.
Rzekłem do Ojca:
Ześlij mnie do mego ludu, aby stało się Nowe Jeruzalem.

Ojcze mój, jak straszliwie cierpiałem! Pot i krew zalewały moje ciało, ból nie do zniesienia dławił oddech i wzywałem w duchu nadejścia ciemności. Ale ciemność nie nadchodziła i wciąż widziałem wokół siebie, niżej, głupkowate twarze gapiów, szydercze twarze moich prześladowców i obojętne żołnierzy.

Gdzież moi uczniowie, których tak umiłowałem, gdzie lud, który łaknął był mego słowa i chleba? Gdybym ujrzał choć jedną twarz oddaną mi i przyjazną... wytrwałbym. Ale pojąłem wtedy, w tej chwili największego cierpienia, że nie są go godni, i inaczej trzeba z nimi poczynać.

– Ojcze, ukarz moich prześladowców i wyzwól mnie! – krzyknąłem wielkim głosem.

Gwoździe wysunęły się z mego ciała, rany zasklepiły się i stanąłem twardo tuż przy krzyżu. Patrzyłem teraz na nich z gniewem, widziałem zdumienie malujące się na ich tępych twarzach z trudem kryjących swe zwierzęce powinowactwa. Oto jakiego cudu trzeba wam było!

– Ojcze, ukarz moich prześladowców i ześlij na nich zagładę!

Niebiosa rozwarły się i jasność ogarnęła ziemię. Gapie, moi sędziowie i kaci krzyczeli ze strachu, a potem upadli i wili się w boleściach. Niektórzy błagali:

– Panie, byliśmy ślepi i głusi, odpuść nam, nie zsyłaj na nas śmierci!

Jednak serce moje było sprawiedliwe, i oddawali ducha w bólu i poniżeniu, tak że mój gniew nasycił się pomstą.

Obszedłem całą górę karmiąc swe oczy widokiem spustoszenia. Ciemne chmury zakryły znów niebo i nadeszła burza. Deszcz obmywał moje rozgorączkowane ciało, pełne pamięci męki, a ja dumałem nad losem mego ludu.

Dzieło zbawienia nie dokonało się jeszcze. Szczęście mego ludu dalej leżało mi na sercu, i o niczym innym nie myślałem – mimo doznanego zawodu. Wszedłem w ciało cezara, panującego w stolicy światowładnego imperium. Nie objawiałem zrazu swej istoty otaczającym mnie doradcom, wodzom, dostojnikom, urzędnikom i służbie, choć przecież dostrzegali dziwną zmianę w zachowaniu imperatorskim.

Patrzyłem. Czytałem listy zarządców prowincji, dowódców legii, poborców podatkowych, donosicieli, szefów tajnych służb. Wreszcie, pewnego upalnego dnia, objawiłem swoją istotę. Byli zmieszani i zdziwieni, widziałem, że nie wierzą we mnie, aż poraziła ich niebiańska światłość i padli przede mną na kolana i łkając prosili, bym im przewodził i rozkazywał, ja, prawdziwy Syn Boży.

Przemówiłem do nich.

– Przyszedłem, by spełniło się Królestwo Boże na ziemi, by wszystkie ludy sławiły imię Wszechmogącego, w szczęściu i radości spożywały owoce Jego łaski. Porzućcie pychę i ułomną mądrość, porzućcie bogactwa i małe troski; pójdźcie za mną, a wejdziecie do Królestwa Niebieskiego na ziemi. Odtąd miłość i wzajemna dobroć będą prawem i budulcem Królestwa. Nie ma już niewolnika i pana, wszyscyście równi przed boskim majestatem, nie ma już bogatego i biednego, głupiego ani mądrego, silnego ani słabego, bo są tylko ci, którzy wierzą we mnie, a inni pójdą na zatracenie.

Wielu nie mogło pojąć tego, co się stało, i szemrano, że Cezar oszalał i ogłosił się bogiem. Było tak, że ci, którzy przedtem mieli wiele rozwagi i rozumu stawali się nierozumnymi szaleńcami, a ci, którzy nosili znaki szaleństwa, zadziwiali mądrością i podejmowali ochoczo moją naukę.

Pierwszym był Korneliusz, prefekt pretorianów. Miał twarz okrutną i szpetną, czytałem jego myśli, bo przypadł mi do serca. Przybył do mnie i rzekł:

– Panie, pozwól, bym był najpokorniejszym z twoich sług, rozkazuj, a będę narzędziem twoich boskich myśli.

– Cieszą mnie te słowa, Korneliuszu, wielkie żniwa przede mną i moim narodem, i trzeba wiele pracy, by im podołać. Potrzebuję twojego silnego ramienia i twoich bystrych oczu, nie nadeszła jednak jeszcze pora.

Zwołałem uczonych mężów i kapłanów Miasta, by oświecić ich moją nauką. Mieli w sobie obłudę i kłamstwo, kłaniali mi się nisko i uśmiechali przymilnie, ich usta były pełne gładkich słów, lecz skrywali nienawiść i pogardę. Wytraciłem ich co do jednego. Wezwałem ich uczniów i przedstawiłem im swoją naukę. Tak samo jak tamci wzgardzili mną, więc wytraciłem ich. Kazałem przywołać uczniów tych ostatnich, i przekonałem się, że wielu z nich otworzyło swe uszy na moje słowa. Tych oszczędziłem, choć wiele w nich było pogańskiego jadu. Dałem im swoją naukę obleczoną w kształt Pisma, by nauczali ją aż po krańce ziemi.

Zebrałem senatorów i powiedziałem:

– Od dzisiaj nie ma już pana i niewolnika, i to, co należy do pana, należy też i do niewolnika. Bogactwo z mojej łaski dzierżone będzie przez pana, tak że nie będzie już niedostatku i niesprawiedliwości.

Oburzyli się na to senatorowie, poczęli spiskować przeciwko

mnie. Próbowali zadać mi śmierć, jednak ich sztylety obracały się przeciwko nim, i marnie poginęli. Poruszyli się też niewolnicy i biedni, kiedy doszły do nich wieści o Odkupieniu. Zabijali panów i rabowali bogactwa, nie pojmowali, że moje bogactwa trwonią zmierzając do nędzy. Wezwałem Korneliusza i powiedziałem:

– Czyń, co do ciebie należy.

Korneliusz skłonił się nisko i poszedł ze swymi żołnierzami niosąc śmierć buntownikom. Tak też i senatorowie, i wielcy możni zaczęli pojmować moją naukę. Ci, którzy ocaleli, przyszli do mego pałacu i bijąc pokłony składali mi dary i ogłaszali się mymi uniżonymi sługami.

Aż dotąd lud stolicy czcił pogańskie bożki w ich starych świątyniach, oddając się szatanowi i jego pomocnikom. Rozkazałem zburzyć te siedziby zła, a kiedy ich mury waliły się, bezbożni złorzeczyli mi i ogłaszali nadejście końca świata. Lud poduszczony przez pomocników piekła podniósł bunt, i Korneliusz znów musiał użyć swojej siły i bezwzględności. Ogień pożarów nie dogasł jeszcze, a ja myślałem już o prowincjach imperium, które czekają na Radosną Nowinę, i o tych nieznanych obszarach lądów, gdzie barbarzyńskie plemiona żyły w mrokach grzechu. Nie chciałem nadużywać swej mocy czynienia cudów, pragnąłem, by sam mój lud włączył się w dzieło zbawienia, by weszło mu ono w ciało i krew, i w samo sedno duszy, a nie mogło to dokonać się lepiej, niż przez budowanie Królestwa jego własnymi rękoma.

Moi słudzy słowem i mieczem szerzyli Naukę Bożą. Wielu pogan odrzuciło moją naukę, wiele ludów powstawało przeciwko moim namiestnikom. W całym państwie powstał zamęt, a barbarzyńcy wykorzystując to, uderzyli na nasze granice paląc, mordując i grabiąc. Na Wschodzie Eliusz Severus, dowódca legii syryjskiej, podniósł bunt. Wkrótce wszystkie wschodnie prowincje przyłączyły się do niego ogłaszając mnie uzurpatorem, szaleńcem i wrogiem ojczyzny. Severus zebrał wielką armię i ruszył na Zachód, zamierzając pokonać mnie i objąć władzę. Wysłałem przeciw niemu swe wojska.

Mogłem porazić całe wojsko severusowe nagłą zagładą, mogłem też zesłać śmierć na samego Severusa. Mogłem zstąpić na świetlistym obłoku, przerazić ich objawieniem mojej boskości i tak zmusić do uległości.

Jednak nie uczyniłem tego.

Czytałem tylko dochodzące do mnie raporty. Jak już rzekłem, nie chciałem nadużywać swej boskości. Cóż warta byłaby wiara oślepionych wyraźnymi dowodami mej niezwykłej mocy? Niech wierzą lepiej w to, czego nie widzieli, tu czekała ich próba wierności. Błogosławieni ci, którzy nie widzieli, a uwierzyli. Błogosławieni ci, którzy oddali życie za wiarę we mnie. We krwi, pocie i znoju winna była gruntować się moja nauka, mój święty kościół, gdyż nie ma lepszego spoiwa i budulca.

Moje wojska doznały wielu klęsk, cofały się w ciężkich i zaciekłych bojach, jednak ostatecznie szala zwycięstwa przechyliła się na moją stronę i cieszyłem się moją cierpliwością i powściągliwością. Odparłem najazd, a Severus, pokonany i upokorzony, popełnił samobójstwo.

Lud, wygłodzony i wymęczony wojnami, prowadzony żelazną ręką przez moich apostołów, bardziej był teraz skory do zmiany wiary i błędnych przyzwyczajeń. Wszędzie powstawały świątynie nowej wiary, wszędzie moi kapłani głosili Radosną Nowinę i chwałę Jedynego. Kiedy moc Pisma starła z powierzchni ziemi zewnętrzne znaki pogańskiego wszeteczeństwa, nadszedł czas na głębszą i ważniejszą zmianę – w samym rdzeniu dusz. Nowa wiara była jak wierzchnie odzienie, noszone dla niepoznaki. W kręgu rodziny i przyjaciół nadal trwały stare zwyczaje i przesądy. By wykorzenić to zło, powołałem Tajną Radę, która z kolei stworzyła sieć donosicieli. Tajna Rada czuwać miała nad czystością życia obywateli, nad tym, by przyjęli do swoich serc naukę miłości i braterstwa. Działalność Rady nie była krępowana żadnymi ustawami, mając na względzie dobro społeczności i bliźniego jako cel swój najwyższy, nie mogła być spętana niedoskonałymi prawami ludzkimi. Wielka rzesza ludzi pracowała dniem i nocą prowadząc Królestwo Boże ku coraz większej doskonałości. Państwowi informatorzy spełniali rolę nieocenioną, w znacznej mierze dzięki nim urzeczywistniała się zasada równości i sprawiedliwości – zarówno zarządca dóbr ziemskich Królestwa jak i podległy mu pracownik byli poddani ustawicznej czujności sług pańskich, i dzięki jednemu donosowi role ich mogły się odwrócić. Nikt nie był pewny dnia ani godziny, i tylko wielka gorliwość w służbie i ufność pokładana w łaskawość Wszechmogącego stanowiły pewne zabezpieczenie.

Olbrzymia lawina donosów i raportów zadławiała cesarską administrację, dlatego też zaczęła się ona rozrastać niepomiernie i zyskiwać coraz większe znaczenie. Obawiałem się, by członkowie Tajnej Rady nie popadli w grzech pychy, i utworzyłem kilka innych ciał, które miały kontrolować się nawzajem i badać stan dusz obywateli.

A tu już i nowe niezmierne zadania zaprzątały moją uwagę. Wprawdzie trwała żwawo budowa Królestwa Bożego w granicach imperium, ale liczne ludy barbarzyńskie, w puszczach Germanii, w śnieżnych krainach Północy, w piaskach Arabii, w Persji, na niezbadanych obszarach Afryki, Indii, w dalekich Chinach, a także w innych nieznanych jeszcze zakątkach świata czekały w mękach grzechu na nadejście Odkupiciela.

Armia imperatorska stale rosła w siłę, lecz pochłaniało to masę pieniędzy, i ogromne podatki przytłoczyły wszystkich obywateli państwa. Dochodziły do tego wydatki na rosnącą administrację, tak że w końcu całe prowincje zaczęły przymierać głodem. Nie przejąłbym się tym bardzo – wszak budowa Królestwa Niebieskiego warta była każdych wyrzeczeń, i odrywała słabe dusze ludzkie od niskich, materialnych celów – cóż, kiedy w końcu odbiło się to na sumie wpływających podatków. Niedożywieni i przemęczeni pracowali coraz gorzej, i mimo zabiegów Tajnej Rady i kilku jej wspomożycielek, z coraz mniejszym zapałem, albo, lepiej powiedzieć, z zapałem coraz lepiej udawanym.

Jeszcze raz trzeba mi było stanąć wobec słabości i małostkowości mego ludu.

Z drugiej strony zmysły ludzkie, jakimi przystroiłem moją boską istotę były niedoskonałe i ułomne. Nie byłem nawet w stanie przejrzeć wszystkich donosów napływających choćby z samej tylko stolicy! Musiałem w ogromnej mierze polegać na moich współpracownikach. A ci nie byli doskonali i chociaż często doświadczali mej boskości – musiałem od czasu do czasu wzmagać w nich słabnącego ducha – to zdarzało się, że błądzili i stawali się wrogami Pisma. Karałem ich przykładnie, ale skoro w moim najbliższym otoczeniu zdarzali się odstępcy, to jak mogło być na krańcach imperium? Nie mogłem się przecież uobecnić wszędzie naraz, a gdybym nawet to uczynił, czy nie ucierpiałaby na tym powaga i dostojeństwo Pisma? Czy miałem być krzakiem gorejącym przy każdym obywatelu? A może mieczem damoklesowym zawieszonym nad wszystkimi głowami?

W pewnym sensie byłem nim – poprzez moje sługi w różnych tajnych służbach. Jednakże każdy z nich był tylko ułomnym człowiekiem, a ja pragnąłem doskonałości i absolutnej pełni. Jak można było osiągnąć ową wymarzoną doskonałość w państwie, w którym wieści z jednego jego krańca do drugiego docierały w miesiąc, a żołnierze uzbrojeni byli w miecze, proce i włócznie?

Wszystko to trzeba było zmienić. Królestwo Boże potrzebowało nowych, potężnych środków, aby zdławić swoich licznych wrogów i wydajniej kontrolować umysły obywateli. Tych nowych środków dostarczyć miała nauka, i to ona miała zastąpić działanie mojej boskiej woli. Dałem więc swemu ludowi światło wyższej wiedzy, wkrótce zaczęły powstawać fabryki, do których spędzono tłumy wieśniaków, a też nowe miasta, drogi, maszyny, i wszystko uległo zdumiewającemu przeobrażeniu.

A pośrodku wszystkich przeobrażeń byłem ja, nowy Prometeusz, boski Odkupiciel.

Nastał czas dziwnego pomieszania, wielkie masy ludzkie przemieszczały się z miejsca na miejsce, całe narody ginęły z głodu lub w wyniku wyniszczających wojen, moi doradcy przychodzili do mnie ubrani w peruki, kontusze, garnitury, mundury polowe, fraki, długie kolorowe płaszcze, suknie; moja gwardia uzbrojona była w pistolety maszynowe, muszkiety, szable, halabardy, a cały świat stawał się zawrotnym wirowaniem.

Zdawało mi się, że każdy z ludzi ma dwa oblicza i jest rozdwojony w sobie: jedno oblicze dla mnie, pobożne i skupione, pełne miłości i najczystszego oddania, i drugie, niewidoczne, mroczne i nieodgadnione, oblicze, którego tylko się domyślałem jako możliwej przeciwności tego pierwszego. Jak miałem odkryć, czy oblicze to istnieje naprawdę? Jak miałem przebić się przez maskę, która jedno stanowiła z twarzą? Schodziłem do lochów, gdzie przesłuchiwano odszczepieńców i heretyków, gdzie w męczarniach wydobywano z nich ich najskrytsze, grzeszne tajemnice, a potem oczyszczano ogniem. Lecz nie odnalazłem tego, czegom szukał. Ogarnęła mnie rozpacz i trwoga, rozwiesiłem się boskim płomieniem przy każdym mieszkańcu ziemi, zajrzałem każdemu w oczy i zobaczyłem, że wszystkie przeczą memu istnieniu, więc poczułem się najbardziej samotnym z ludzi. Rozpacz i gniew targnęły moim sercem, stałem się wielkim pożarem trawiącym cały zapadający się wszechświat, byłem teraz tym, czym na początku – rozżarzoną, gorejącą pustką.

Janusz Cyran

Janusz CYRAN

Urodził się 20 stycznia 1959 r. w Rybniku. Studiował fizykę na Wydziale Matematyczno-Fizycznym Politechniki Śląskiej w Gliwicach, a potem podjął pracę programisty w Ośrodku Informatycznym w rodzinnym mieście. Debiutował wierszami w „Radarze"; publikował opowiadania w „Tak i nie", „Kamenie", „Radarze". „Jeruzalem" – swoista fikcja teologiczna, to jedno z ciekawszych ostatnio dokonań dokumentujących filozoficzne i metafizyczne zainteresowania najnowszej fantastyki polskiej, połączone zręcznie z jej pasjami politycznymi. Pokazuje Cyran w tym nieco Borgesowskim opowiadaniu-eseju jak mógłby wyglądać nasz świat, gdyby Bóg był bardziej podobny do człowieka.

(mp)

Reymont Władysław

(1867–1925)
Powieściopisarz, nowelista

Urodził się 7 maja 1867 r. we wsi Kobiele Wielkie (pow. Radomsko) jako syn tamtejszego organisty Józefa Reymonta i Antoniny z Kupczyńskich. W 1883 r. uzyskał świadectwo Warszawskiej Szkoły Niedzielno Rzemieślniczej, w 1884 r. wyzwolony na czeladnika, w 1888 r. podjął pracę na Kolei Warszawsko–Wiedeńskiej. Od 1893 r. zajął się wyłącznie twórczością literacką. Od 1896 r. wiele podróżował – odwiedził Berlin, Brukselę, Londyn, w 1897 r. był w Paryżu, w 1907 r. przebywał w Bretanii we Francji. W 1917 r. został prezesem Komitetu Warszawskiej Kasy Przezorności i Pomocy dla Literatów i Dziennikarzy. Był jednym z propagatorów powołania PAL. Zmarł 5 grudnia 1925 r. w Warszawie.

Autor wielu powieści i zbiorów opowiadań, m.in. „Fermenty" (pisane w latach 1895–1896), „Ziemia obiecana" (1896–1899), „Chłopi" (1899–1908; Nagroda Nobla w 1924), „Rok 1794" (1913–1918). Jego sylwetka figuruje w zagranicznych leksykonach literatury fantastyczno–naukowej ze względu na paraboliczny utwór opowiadający o buncie zwierząt i pośrednio związany z sytuacją społeczno–polityczną epoki –**„Bunt"** (w: „Tygodnik Ilustrowany" 1922/27–52, wyd. os. zmien. Warszawa 1924; przekł. na j. holenderski, niemiecki). O wiele bliższy koncepcji fantastyczno–naukowej jest jednak **„Wampir"** (1904) – powieść ogłoszona na łamach „Kuriera Warszawskiego" (2–76) pod pierwotnym tytułem „We mgłach" (przekł. czeski, francuski, łotewski, niemiecki, rosyjski, serbochorwacki, węgierski). Jest to zapis psychiki spirytysty, teozofa, człowieka obdarzonego zdolnościami mediumicznymi (warto przypomnieć, że sam autor „Buntu" był medium – powieść nosi zatem charakter autobiograficzny; powszechnie znany jest epizod z życia Reymonta: jego zagraniczna podróż pod opieką niemieckiego spirytysty Puszowa). „Wampir" tylko pozornie odbiega od motywacji scjentyficznych – w istocie rzeczy pozostaje w zgodzie z zainteresowaniami epoki, która zjawiska paranormalne i parapsychologiczne usiłowała wyprowadzić z przesłanek naukowych (zob. „Miranda" Antoniego Langego). Sensacyjna akcja książki rozgrywa się w posępnym, otulonym mgłą Londynie, na tle seansów spirytystycznych, wykładów tajemniczej mahatmy, orgiastyczno–biczowniczych korowodów tanecznych, wśród ludzi pragnących dotrzeć do tajemnicy istnienia, za co płacą własnym życiem. Władysław Reymont jest również autorem noweli **„Czekam"** (pierwodruk: „Gazeta Codzienna" 1907/75–78; wyd. os., w: W. Reymont, Na krawędzi, Opowiadania, Warszawa 1907; przekład rosyjski i francuski), która stanowi interesujące studium psychiki człowieka opanowanego manią prześladowczą, żyjącego w nieustannym strachu przed śmiercią, przekonanego, że siła ludzkiej woli zdolna jest zniszczyć, osłabić, pokonać moce życiowe.

Bibliografia wybrana:

K. Wyka, *Władysław Reymont*, (w:) *„Obraz Literatury Polskiej"*, S.V, t. 3,
B. Kocówna, *Władysław Reymont*, Warszawa 1977.
J. Rurawski, *Władysław Reymont*, Warszawa 1977.

Recenzje:

– H. Galle, „Książka" 1908,
– W. Opat, „Krytyka" 1908 t. I,
– T. Sinko, „Kurier Literacko-Naukowy", 1925//43,
– Z. Dębicki, „Kurier Warszawski" 1911/177,
– H. Galle, „Książka" 1911,
– T. Jeske-Choiński, „Kronika Powszechna" 1911/32,
– W. Lutosławski „Gazeta Warszawska" 1911//187. ■

Wampir

Władysław Reymont

Znalazł się w ogromnej, prawie ciemnej sali, na środku niski trójnóg podtrzymywał miedzianą olbrzymią kadzielnicę, wypełnioną rozżarzonymi węglami, z których buchały upajające ciężkie wonie, a za nią majaczył jakiś kolosalny posąg przysłoniony fiołkową draperią – i nic poza tym, nagie ściany, gładkie, lśniące kamienie z których gdzieniegdzie wyrywały się zgaszone w nocy malowidła, jakieś głoski złote, tajemnicze symbole ognia, wody i powietrza, halucynacyjne skręty jakichś potworów i zwierząt, larwy krzyczące w trwodze, wszystko ledwie dojrzane przez pasma krwawych dymów, przez roztlałe purpurą ciemności.

Rozglądał się, nie mogąc dojrzeć nikogo, przerażony tą martwą ciszą, co jak grobowa płyta przywaliła mu duszę, gdy poczuł, że kamienna tafla, na której stał, drgnęła i z wolna zaczęła z nim płynąć, z jakimś ledwie odczuwalnym spadkiem. Nie poruszył się, nawet nie drgnął, tylko przymknął oczy, bo strach go dławił i zatrząsł lodowatym dreszczem, ale wnet oprzytomniał uderzając sobą o ścianę, zupełna noc go oprzędła w nieprzeniknione mroki, nie miał pojęcia gdzie jest, przez to mgnienie obawy stracił poczucie; co się z nim stało, to rozumiał tylko, że jest w jakimś niskim i wąskim korytarzu. Trzymając się ścian, przychylony, zaczął iść naprzód nieustraszenie.

Chór głosów odległych, stłumionych i głębokich, podobnych do szmerów fal konających u dalekich wybrzeży rozbrzmiewał gdzieś przed nim...

Korytarz urwał się nagle przy jakiejś ścianie zimnej i śliskiej, dźwięki rozwiały się w ciszy, zaczął po omacku, gorączkowo odszukiwać drzwi, gdy znowu podłoga się pod nim ugięła... poczuł że się zapada... że leci w przepaść z błyskawiczną szybkością...

Kiedy ochłonął, siedział na jakiejś ławie kamiennej, ostrożnie jął suwać rękami po ścianach, zimne były i gładkie jakby z porfiru, pokój był mały, kwadratowy i bardzo wysoki, bo stanąwszy na ławie nie mógł dosięgnąć sufitu, tylko jedna ze ścian wydała mu się zimniejsza, jakby ze szkła i pełna dziwnych wypukłości i twardych poskręcanych linii, a nigdzie śladu drzwi ni okien...

Był już tylko milczeniem skamieniałej trwogi, śniąc bezprzytomny sen o sobie i jak przez sen majaczył, że jego oczy zaczynają coś postrzegać, że staje się coś w nim widmowymi zarysami... ściana naprzeciw wyłaniała się z wolna z nocy, czyniła się przejrzystą, stając się jak toń zielonawa, przez którą chwieją się blade kontury dna... dziwaczne groty... fantastyczna roślinność i cicho przemykające larwy jakiegoś potwornego życia...

Tak, snem musiała być ta grota olbrzymia, zasnuta stalaktytami, co jak sople potworne zwieszały się ciężkimi spływami, zalana zielonym mrokiem, w którym zaczęły poruszać się nikłe, złote mżenia jak rój motyli świetlistych, a spoza nich wynurzały się ciężkie, nierozpoznane postacie, wypełzały jakby spod głazów z tych jam zielonych, z gąszczów zielonych cieniów i procesją cichą, ledwie dojrzaną, poruszały się w szmaragdowej toni niby w wodzie rozedrganej... jakby płynęły okrążając krwawą wizję płomieni... dźwięki jakieś zadrgały, jakby tysiące harf naraz zajękły i skonały... rozsypały się po głazach niby rdzawe ropuchy... a zaraz potem wysunął się znowu długi orszak biało ubranych postaci o bosych nogach i obnażonych piersiach kobiecych... głowy wężów... głowy ptaków... głowy zwierząt... cały piekielny orszak złowróżbnego Seta, szli wolno, rytmicznie, dźwigając na ramionach długie, czarne mary nakryte, okrążyli płomień i ustawiwszy mary tuż przed nim, rozwinęli się po jego bokach jak dwa skrzydła białe...

Nagle rozległ się przerażający huk, błyskawica złotą pręgą przewinęła się wskroś groty, wszyscy padli na twarze, krwawe promienie trysnęły w górę jak wulkan i opadły cicho, a natomiast jęły bić kłęby złotawych dymów kadzielnych, z których z wolna, w śmiertelnej ciszy stawania się... wyłaniała się postać Bafometa... wynurzał się z tych wylękłych, rozchwianych płomieni... wyrastał jak groźna chmura z dogasającej otchłani... aż się zjawił cały, jak noc posępny i jak śmierć straszny... przykucnął na koźlich nogach...

Złote rogi półksiężyca rozbłysły na wąskiej, obnażonej czaszce... nagi był cały, wysmukły, młodzieńczy... siedział z szeroko rozwartymi kolanami, między którymi jak wąż jadowity wiła się krwawa błyskawica... opuszczone, długie ręce dotykały zakrzywionymi pazurami całunu mar stojących mu u kopyt złotych... był okropny w piękności zimnej jak ostrze i zatrutej czarem śmiertelnym... posępny tak nieubłaganie... dzika słodycz lśniła się w boleśnie zaciętych ustach...

Śpiewy się rozwijały, w stłoczonych i mętnych ciemnościach zaczynało się coś



Andrzej Brzezicki

dziać... nie mógł rozróżnić chwiejnych zarysów, mgliste, białawe cienie wiodły się korowodem... opływały posąg... snuły się jak drgające światła... a jakiś cień nachylił się nad marami... wyraźnie rozróżniał stąpanie niewidzialnych nóg po ostrym żwirze... szepty jakieś, syczenie płomieni...

Naraz rozległ się przeciągły, żałosny ryk.

– To Bagh! Bagh! – szepnął spostrzegając zarys pantery rzucającej się na mary... opadła z nich płachta cieniów i naga wysoka postać podniosła się wolno... Zadrżał do głębi, dałby w tej chwili całe życie za możność dojrzenia tej twarzy... widział tylko jak przez mgłę wysmukłe nagie ciało, owiane płaszczem rdzawych w oddali włosów, stojące między kolanami Bafometa!

Głos mocny spiżowym dźwiękiem rozległ się donośnie.

– Czego chcesz?

– Umrzeć dla niego! – odpowiedział śmiało drugi.

– Chcesz poślubić śmierć?

– Poślubiłam zemstę i tajemnicę.

– Przeklinasz „A"?

– Przeklinam.

– Przeklinasz „O"?

– Przeklinam.

– Przeklinasz „M"?

– Przeklinam – padały dźwięczne, nieustraszone słowa odpowiedzi. Nie rozumiał już dalszej litanii przysiąg straszliwych i zaklęć mrożących krew, bo zasłuchał się całą duszą w oddźwiękach przysięgającego głosu, czuł po dreszczu, jaki w nim budził, że już go gdzieś słyszał... łowił go więc w sobie jak motyla, nie zwracając uwagi na przerażający rytuał, ciągnący się bez przerwy, aż w końcu zrozumiał jasno, że to była Daisy, że to ją poświęcano Bafometowi w tych tajemniczych obrzędach, ale nie zdziwił się temu, jakby już wyzbyty zdolności zdumiewania się czymkolwiek.

Ciemności pobladły i grota zaczęła się nieco rozjaśniać. Daisy siedziała między kolanami Bafometa w takiej samej jak i on pozycji, opuszczone ręce dotykały pantery siedzącej u jej nóg, a nad jej głową opłyniętą w złoty dym kadzielny, pochylała się zielonawokrwawa, smutna twarz Diabła, a jego długie ręce zdawały się obejmować ją wpół i przytulać do siebie, to jedno tylko widział dobrze, a reszta majaczyła przed olśnionymi oczyma jak korowód sennych, ledwie przypomnianych mar i zjaw.

Gryzące dymy przysłoniły postać Daisy wzbijały się wysoko rozwichrzonymi słupami, zaciemniając grotę ponurym, nieprzeniknionym tumanem. Pochylił się w sobie, jakby nad krawędzią świata nieznanego, spoglądał w tajemnice i jego oczy duszy pierwszy raz wybiegły poza siebie, poza głupią i leniwą myśl, poza fakty i rzeczy widome...

... – Nie trwóż się! Jestem przy tobie! – zadźwięczał tuż przy nim głos Daisy.

Ukorzył się nagle w sobie, padł na twarz jakby u stóp niewidzialnej i głosem pokory najwyższej i oddania szepnął:

– Nic nie rozumiem, nic nie wiem, ale czuję, że jesteś przy mnie.

– Myśl, a znajdziesz mnie zawsze i wszędzie!

Dusza mu się zawarła na wszystko i padła w długie odrętwienie. Kiedy powstał z ziemi grota była w bladych, błękitnawych jasnościach skąpana. Bafomet stał jak krzew purpurowych ogni, a u jego stóp na rozkrzyżowane, białe ciało Daisy wpełzał czołgający się cień, jakby pantery biorącej ją w uścisk.

Grota była pusta, nadludzki strach o nią tak spręzył mu siły zwątlałe, że krzyknął z całej mocy trwogi i szaleństwa, rzucając się na przejrzystą ścianę, jakby chcąc biec na ratunek.

Wszystko naraz przepadło, brązowe drzwi zatrzasnęły się z hukiem, znalazł się znowu przed tą ponurą ruiną, niepewny, wahający i znowu bezradny jak przedtem, jakby tam nigdy nie wchodził. Wodząc zdumionymi oczyma po rozwalinach, obszedł dom i znalazłszy wszystkie wejścia zabite na głucho, stanął zniechęcony, nie wiedząc, co z sobą począć.

Władysław S. Reymont, „Wampir", wyd. powojenne „Książka i Wiedza", Warszawa 1986, wybór ze stron 157-166.

Przygotował **Andrzej Niewiadowski**

Górą nasi!

Ukazująca się od wielu już lat seria „Zarubieżnaja fantastika" (Zagraniczna fantastyka) moskiewskiego wydawnictwa „Mir" zajmuje w mojej biblioteczce dość dużo miejsca i – jeżeli można uczynić tu osobiste wyznanie – cieszy się moją dużą sympatią. Wszak to dzięki niej mogłem poznać utwory Simaka, Sheckleya, Harrisona, Clarke'a i wielu innych pisarzy, do których oryginalnych wydań nie udało mi się dotrzeć, a których polskie przekłady albo nie istnieją, albo ukazały się stosunkowo niedawno. Seria ta pozwoliła mi również zapoznać się z fantastyką japońską, włoską, francuską, niemiecką, z ciekawymi tematycznie zbiorkami. Innymi słowy, była to bogata ilościowo, dobrze opracowana i dostarczająca solidnej porcji materiału porównawczego (a także niezłej lektury) prezentacja światowej fantastyki naukowej. Nie ukrywam, że zazdrościłem radzieckim czytelnikom tych możliwości kontaktu ze światową SF, choć z drugiej strony zdawałem sobie sprawę, iż choć zakrawa to na paradoks, owa seria w Polsce jest bardziej dostępna, łatwiejsza do zdobycia, niż w kraju wydawcy.

Niestety, wiek złoty przeminął – seria chyba straciła swój rozmach – tomiki zaczęły ukazywać się rzadziej – 2-3 razy do roku, brak w niej takich „hitów" jak dawniej, a i na nasz rynek trafia jakby mniej egzemplarzy (a może po prostu nabywców jest więcej). Dlaczego tak się dzieje? Może to sprawa papieru, problemy ze zdobyciem licencji na przekłady, sprawa założeń programowych (o których za chwilę). Mimo wszystko, nie ulega jednak wątpliwości, że seria „Miru" zachowuje swój nader prestiżowy charakter i zdecydowana większość wydawanych w niej utworów zasługuje na uwagę. A choć sytuacja na naszym rynku wydawniczym uległa poprawie i przekładów mamy więcej (choć wciąż za mało) niż 15-20 lat temu, to jednak każdy nowy tomik „Zarubieżnoj fantastiki" jest cennym uzupełnieniem biblioteki SF i wart jest bliższej znajomości.

Zbiór „W tieni Sfinksa" (W cieniu Sfinksa), który niedawno udało mi się zdobyć, zasługuje na dokładniejsze omówienie, bowiem jest to prezentacja fantastyki krajów socjalistycznych z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Możemy więc zobaczyć, co i jak piszą autorzy SF w państwach socjalistycznych i jak na tym tle wyglądają notowania polskiej fantastyki. Tu od razu małe zastrzeżenie – w zbiorku przedstawione są kraje europejskie oraz Kuba. I choć Albania to kraj europejski i socjalistyczny, nie ma fantastyki albańskiej (może zresztą w ogóle jej nie ma) – a szkoda. Mongolia, Wietnam, KRLD i Chińska Republika Ludowa, w której podobno zaczęło ukazywać się pismo SF, może czekają na osobny wybór.

Tom „W cieniu Sfinksa" zawiera 21 opowiadań poprzedzonych interesującym wstępem J. Parnowa i najliczniej, bo aż pięcioma utworami reprezentowana jest fantastyka polska. („Ukochany z Księżyca" Adama Hollanka, „Telefon wigilijny" Konrada Fiałkowskiego, „Złudzenie" Zbigniewa Pietrzykowskiego, „Kongres futurologiczny" Stanisława Lema i tytułowe opowiadanie „W cieniu Sfinksa" Krzysztofa Rogozińskiego i Wiktora Żwikiewicza.). Po trzy opowiadania przypadają na Czechosłowację, Węgry, NRD i Kubę, dwa na Jugosławię, po jednym utworze – Bułgaria i Rumunia. Chyba nie zostanę posądzony o szowinizm, jeżeli stwierdzę, że jest to chyba właściwe rozłożenie proporcji, odpowiadające pozycji, jaką fantastyka zajmuje w życiu kulturalnym poszczególnych krajów. Jednakże taka statystyka może być też nieco myląca. Cóż bowiem wynika z takiego zestawienia? Na przykład to, że fantastyka kubańska jest równie dobra jak czeska, a lepsza od jugosłowiańskiej, a NRD-owska równie ciekawa jak węgierska – a jest to teza, której raczej nie odważyłbym się postawić, biorąc pod uwagę zarówno to, co zamieściła w zbiorze autorka wyboru J. W. Umniakowa, jak i inne, znane mi teksty. (O zależności ilości opowiadań bułgarskich i rumuńskich od ich poziomu i wartości dyskutować chyba nie trzeba – tu proporcje są zupełnie prawidłowe).

Z notki informacyjnej dowiadujemy się, że tomik „W cieniu Sfinksa" zawiera utwory, które ukazały się w języku oryginału w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Warto jednak spojrzeć i na informacje bibliograficzne zamieszczone przy poszczególnych utworach, bowiem dzięki nim możemy się zorientować, że z lat siedemdziesiątych pochodzi pięć utworów – trzy polskie i dwa z NRD. Cóż się jednak okazuje? Choć brzmi to może paradoksalnie, to nie utwory Lema, Hollanka czy Rogozińskiego i Żwikiewicza sprawiają wrażenie najdawniej napisanych. Są w nich propozycje innych tematów, innej poetyki, nowa jakość nadawana tej literaturze – a właśnie tego mi brak w bardzo wielu innych, o dobrych parę lat późniejszych opowiadaniach napisanych przez kolegów z bratnich krajów.

Być może w jakimś stopniu zjawisko pewnej anachroniczności sporej części opowiadań można wytłumaczyć formułą przyjętą przez wydawnictwo „Mir", polegającą na prezentowaniu fantastyki naukowej, opartej na scjentycznych założeniach. Formuła ta jest oczywiście sporym utrudnieniem, łatwo bowiem zauważyć, że współczesna fantastyka coraz częściej odchodzi od naukowych motywacji, ucieka od podboju kosmosu, robotów, genialnych wynalazków jako czynnika nadrzędnego, najważniejszego, albo zachowując elementy scenograficzne, stara się wypełnić te dekoracje nową treścią, nie zawsze przylegającą do tradycyjnych wyobrażeń.

Ukazana w wyborze polska fantastyka zdołała w mniejszym lub większym stopniu pogodzić wymogi wydawcy z nową formułą fantastyki, podobnie fantastyka czeska i w jakimś stopniu węgierska potrafiła w tradycyjnej formule umieścić nowe treści, ciekawe podteksty. Niestety, wiele innych utworów, które znalazły się w „W cieniu Sfinksa" sprawia wrażenie, jakby były napisane nie kilka, ale kilkanaście, czy kilkadziesiąt lat temu. Może wtedy banalne historyjki o przypadku w Trójkącie Bermudzkim, o starożytnym Egipcie – spadkobiercy Atlantydy, szlachetnych badaczach kosmosu i szlachetnych przybyszach z kosmosu, problemach z adaptacją po powrocie z wyprawy międzygwiezdnej (skąd my to znamy) itd., itp. mogły nas zafascynować. Teraz już nie. Szczególnie wzruszyła mnie opowieść rumuńskiego pisarza-fantasty (?) o personalnym komputerze, który w trosce o dobro swego właściciela wymaga doskonalenia poziomu intelektualnego, a także zarządza mu ścisłą dietę i uniemożliwia korzystanie z samochodu. To w kraju autora tym zajmuje się komputer?

Lektura takiej antologii wywołuje zazwyczaj pytania. W jakim stopniu wybór ten stanowi odbicie rzeczywistego stanu fantastyki w krajach uwzględnionych przez autorkę? Czy we właściwy sposób ustala hierarchię? Chyba można na dwa pytania odpowiedzieć twierdząco i na opinię tę nie wpływa fakt, iż to właśnie polska fantastyka prezentowana jest w największym wyborze i przedstawia się najlepiej. Widać tu bowiem wyraźnie, że polska fantastyka jest chyba najbardziej żywa, najbardziej poszukująca, rozszerzająca problematykę gatunku. Warto również odnotować wysoki, profesjonalny poziom czeskiej SF (choć można żałować, że autorka wyboru nie spojrzała łaskawym okiem na świetne opowiadanie O. Neffa „Największy szajbus w dziejach swangu", znane czytelnikom „Fantastyki") i w pewnym stopniu węgierskiej. Zawiodłem się na fantastyce z NRD – tradycyjnej (w nie najlepszym tego słowa znaczeniu) i tradycyjnie dydaktycznej – a przecież, o ile wiem, pojawia się i tam coś nowego, odmiennego, choćby utwory Fühmanna. Rozczarowaniem była też fantastyka kubańska. Z trzech opowiadań zawartych w tomie, tylko jedno ma pewien koloryt lokalny, próbuje choć trochę odejść od stereotypowych konceptów SF. Czyżby fantastyka kubańska w niczym nie nawiązywała do tradycji prozy iberoamerykańskiej, nie szukała własnych rozwiązań? O bułgarskim i rumuńskim utworze lepiej nie będę się wypowiadał.

Antologia ta jest dla sympatyków fantastyki nader pouczająca i na swój sposób ciekawa. Takie nagromadzenie i zestawienie tekstów w bolesny sposób uświadamia czytelnikom słabości sporej części fantastyki powstałej w krajach socjalistycznych – wtórność, nadmierny dydaktyzm i łopatologię w przedstawianiu „słusznych" postaw, tradycjonalizm artystyczny.

Polski czytelnik natomiast czerpie z kart tej antologii niewątpliwą satysfakcję. Okazuje się bowiem, że w tych ciężkich czasach jest jednak jakaś dziedzina, w której się liczymy, zajmujemy eksponowaną pozycję, jesteśmy doceniani. „W cieniu Sfinksa" jest tego dowodem – ale apetyt rośnie w miarę jedzenia. Należy tylko mieć nadzieję, że wydawnictwo „Mir" zechce zdyskontować ów fakt i że wkrótce będziemy mieli okazję zrecenzować kolejny (trzeci) wybór polskiej fantastyki wydany w zasłużonej serii „Zarubieżnoj fantastiki".

Stanisław Belina

W tieni Sfinksa (W cieniu Sfinksa). Antologia utworów fantastyczno-naukowych. Wybór J. W. Umniakowa. Przedmowa J. Parnowa. Wydawnictwo „Mir", Moskwa 1987.

Nietoperze piszczą cienko

Debiutant jest jak nieboszczyk – pisze się o nim albo dobrze, albo w ogóle. Ta słuszna zasada pozwala recenzentom uniknąć moralnego kaca, wywołanego kopaniem słabszych. Jeżeli ją dziś łamię, zabierając się za debiutancką powieść Mariusza Piotrowskiego „Pisk", to wcale nie dla niezdrowej radości, jaką daje wklepanie kolegi po piórze w glebę. Tym bardziej nie z niechęci do młodego autora, przeciwnie – z życzliwości. Piotrowski dowiódł bowiem swą powieścią, że znajduje się na bardzo złej drodze. Trzeba go z niej zawrócić, póki czas.

Akcja „Pisku" rozgrywa się w USA. To źle, bo cała wiedza autora o tym kraju pochodzi wyraźnie z niezbyt wiarygodnych publikacji prasowych. Stąd też stoi Piotrowski twardo na gruncie tezy, iż źródłem wszelkiego zła na świecie jest jedna z tamtejszych instytucji, zwana popularnie Pentagonem. Jej niecni pracownicy zmajstrowali podstępnie bardzo wrednego wirusa do prowadzenia wojny. Pomysł dość głupi, wirusy z reguły nie rozróżniają mundurów i koszą każdego, kto się napatoczy – ale wiadomo, że amerykańska generalicja pomyślunkiem nie grzeszy. Nieszczęśliwym trafem wirus uciekł i zaraził stado nietoperzy-wampirów, te zaś dostały amoku i napadają spokojnych obywateli, sprzedając im wirusa w myśl epidemiologicznej zasady „podaj dalej". Autor nie szczędzi tu zapewnień, że sytuacja jest wręcz katastrofalna, szczęściem znajduje się na podorędziu bohater pozytywny, który ze zdumiewającą łatwością demaskuję zbrodniczą szajkę i jej mundurowych mocodawców. Najpierw śmiało wali im prawdę w oczy i nie daje się przekupić, po czym mężnie wraca do domu i mieszka spokojnie z żoną i dziećmi, dając nietoperzom parę dni na zrobienie należytego zamieszania. Nie przeraża go nawet telefon z pogróżkami. Jak gdyby nigdy nic idzie spacerkiem do najbliższej rozgłośni radiowej i wygłasza miażdżące oświadczenie, po którym szwarccharaktery zmuszone są podać się gromadnie do dymisji. Potem wespół z przyjaciółmi zwabia zmyślnie zarażone nietoperze do jaskini na odludziu, żeby poczęstować je tam płonącą benzyną i fosgenem. Tu – uwaga – puenta: niektóre nietoperze jednak wydostają się z pułapki i w zwartym szyku odlatują w mrok nocy, pozostawiając czytelnika w przerażeniu, że powieść może mieć dalszy ciąg.

Wszystko to gdzieś już czytaliśmy i oglądaliśmy, i to w lepszym wykonaniu, ale młody autor czuje się w prawie do przetasowania po raz setny postrzępionych od paluchów kart. Być może ta układanka z cudzych klocków ma być pretekstem do obsmarowania wrażych imperialistów, którzy wyraźnie musieli bydgoskiemu debiutantowi nieźle zaleźć za skórę. Podejrzewam jednak, że nie miał on takich ambicji. Więcej, że w ogóle nie miał żadnych ambicji poza chęcią napisania czytadła. Ktoś musiał mu widać powiedzieć, że to najłatwiejsze.

Nic bardziej błędnego – w przeciwieństwie do różnych rewolucji artystycznych, czytadło wymaga od autora sprawnego rzemiosła i długiego myślenia. Żeby spełnić swą rolę musi od początku do końca trzymać czytelnika w napięciu i dostarczać mu emocji. Nawet przepisywać trzeba umieć. Tymczasem warsztatowo Piotrowski leży na łopatkach. Tekst pełen jest nielogiczności, naciąganych rozwiązań, urywanych w środku wątków i zwykłych bzdur. Język zaledwie zasługuje na miano poprawnego. Denerwują młodopolskie ochy i achy, uparte zaprzysięganie się, że widok był straszliwy, przyprawiający o zgrozę i tak dalej. Ostatecznie zaś irytuje maniera traktowania czytelnika jak idioty, któremu trzeba wszystko dokumentnię objaśnić. Nawet to, że jeżeli herbata w szklance jest zimna, to znaczy, że zaparzono ją dawno.

Podobno prawdziwego harcerza poznać po tym, że rozpala ognisko jedną zapałką. Dla pisarza takim harcerskim testem jest umiejętność budzenia w czytelniku emocji. Autor „Pisku" urabia się przy tym po łokcie, wplata w powieść katastrofę statku kosmicznego, pożar na polu naftowym, wybuch w fabryce paliwa atomowego, trupy można u niego wiązać w pęczki po tuzinie – i nic, tekst przecieka przez palce jak woda. Naprawdę, starczy się nauczyć i dość będzie jednej zapałki. Inaczej nie pomogą nawet eksplozje jądrowe. Powieść czyta się może i szybko, ale nie można powiedzieć, żeby przyprawiała o bicie serca. Chyba że z irytacji.

Nie flekowałbym młodego autora tak okrutnie, ryzykując że po przeczytaniu niniejszych słów strzeli sobie w łeb i będę go miał na sumieniu, gdyby nie wymagało tego dobro sprawy – to znaczy rodzimej SF. „Pisk" jest bowiem zaledwie jednym z wielu podobnych tekstów, które ostatnio zwaliły się niczym lawina na nasz i tak cienko piszczący rynek. Lokuje się niebezpiecznie blisko twórczości Jabłońskiego czy Ziemiańskiego, całego nurtu, który na własny użytek nazywam „antyimportowym". Kto powiedział, że fantastyka jest literaturą, że ma o czymś mówić? – zdają się twierdzić coraz liczniejsi autorzy. – Nie ma głupich, szarpmy cudze słowa i sceny, kawałek stąd, kawałek stamtąd, i młóćmy te paździerze radośnie, będziemy pysarzami (tak ma być, to nie błąd korekty). Te po stokroć wtórne, nieudolne kompilacje nie porywają wprawdzie odbiorców, ale bardzo żywo przyjmowane są przez wydawców i krytyków głównego nurtu, spełniając doskonale ich oczekiwania wobec SF. Chwali się je w literackiej prasie za rzekomą „ rzemieślniczą sprawność", za „wartkie, pomysłowo zawiązane fabuły" itp. – Piotrowski również się na te pochwały załapał – boję się, żeby nie wziął ich za dobrą monetę i nie uległ deprawacji. Ostrzegam, przyjacielu: nie daj się wpuścić w ten kanał! Głównonurtowcy i tak będą cię zawsze mieli za tandeciarza, a u miłośników SF zszargasz sobie opinię. Debiutant nie ma nic poza własnym nazwiskiem i nie wolno mu go sobie psuć. Autor scenariusza do pewnego komiksu przekonał się o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

Nie podejrzewam Piotrowskiego (w przeciwieństwie do autorów, porównaniem z którymi go tutaj obrażałem) o szalbierczy, chałturniczy stosunek do fantastyki. Przypuszczam raczej, że bydgoski autor w nieokiełznanej żądzy debiutu zbyt łatwo dał się skusić perspektywą własnej książki.

„Pisk" uważam za debiut przedwczesny. Natura jest nieubłagana. Zanim ktoś wyjdzie na estradę i złapie za mikrofon, musi poczekać aż przejdzie mutację i dojdzie do przyzwoitego głosu. Inaczej z gardła wydobędzie mu się tylko nieartykułowany pisk.

Rafał A. Ziemkiewicz

Mariusz Piotrowski: *Pisk*. Wydawnictwo „Pomorze", Bydgoszcz 1988. Cena 350 zł.

Fantastyczne budowle świata

Znany wszystkim miłośnikom fantastyki Kir Bułyczow wydał pod swoim prawdziwym nazwiskiem drugą już w Polsce książkę, poświęconą tematyce całkowicie odmiennej od SF, bardziej związanej z historycznymi zainteresowaniami i wykształceniem Autora. Nie oznacza to bynajmniej, że książka jest mniej ciekawa, czy mało fantastyczna. Monumentalne budowle starożytności zawsze pobudzały wyobraźnię człowieka, prowokując do snucia rozmaitych fantastycznych hipotez o ich pochodzeniu i przeznaczeniu. Najdziwniejsze jest zaś to, że najbardziej fantastyczne poglądy odnośnie do siedmiu (i więcej) cudów świata bywały wyrażane w epokach schyłkowych. Ostatnio często spotykamy się z monstrualną fantazją wyznawców tzw. paleoastronautyki, utrzymujących, iż to Kosmici, nie mając nic innego do roboty, zabawiali się wznoszeniem tych budowli. Najwięcej emocji wzbudzają bodajże piramidy – czego tylko się w nich dopatrywano! W tym miejscu nie mogę się oprzeć zacytowaniu opinii wybitnego polskiego architekta Jana Knothego: „... *obiektem konstrukcyjnym o osobliwej długowieczności jest piramida. A trudno nie zauważyć, że jest to rozwiązanie techniczne bardzo prymitywne. Niech nikogo nie łudzą uczone dzieła o trudności budowy i osobliwych sposobach technicznych, zastosowanych przy ich budowie*". Igor Możejko słusznie zatem kwestionuje hipotezę o „wszechpotężnych Kosmitach". Natomiast opisując roboty publiczne w starożytności, trzyma się niestety przestarzałych schematów. Jak już wiemy, dzięki „przebudowie", wiele z socrealistycznych pomysłów i posunięć okazało się absurdalną fantasmagorią.

Muszę też przyznać, że rozczarowała mnie relacja o klasycznych siedmiu cudach świata. Przedkładam nad nią książkę innego fantasty – „Wielcy i mali twórcy cywilizacji" L. Sprague de Campa, będącego również znakomitym popularyzatorem nauki. Być może Igor Możejko także odczuwał pewien niedosyt, skoro do pobieżnego opisu siedmiu starożytnych cudów świata dołączył najpierw 27 innych cudów (z terenu Azji), a potem jeszcze 10 cudów (z terytorium Afryki) – i tak powstała ta książka. Właśnie owe 37 „dodatkowe" opisy (zajmujące aż 8/9 tekstu książki) wyżej sobie cenię od poprzednich siedmiu (nawiasem mówiąc, nie wiadomo dlaczego Autor zaliczył Rodos do Azji).

7 i 37 – to zestawienie pozwala sobie uzmysłowić, że świat (ekumena) nie kończy się na basenie Morza Śródziemnego, że Główny Pas Cywilizacji sięgał – według wspomnianego L. Sprague de Campa – od Atlantyku na zachodzie do Pacyfiku na wschodzie, ale poza nim również istniały lokalne ogniska (oazy) cywilizacji. Być może nie wniosły one niczego istotnego (w swoim czasie) do głównego nurtu cywilizacji, lecz również pozostawiły po sobie wiele zadziwiających dzieł sztuki czy architektury, które są naszym wspólnym, ogólnoludzkim dziedzictwem. Więc warto i należy o nim wiedzieć. Zwłaszcza, kiedy niektórzy domorośli „specjaliści" straszą nas Kosmitami, odmawiając ludzkości prawa do własnej historii, do pomysłowości w tworzeniu fantastycznych niekiedy budowli, co Igor Możejko najdobitniej podkreślił w rozdziale „Baalbek. Tarasy jak z baśni".

T. Zbigniew Dworak

Igor Możejko: *7+37 cudów świata*. Przełożyli Anita Tyszkowska i Tadeusz Gosk. Ossolineum, Wrocław - Warszawa - Kraków - Gdańsk - Łódź, 1988. Cena 600 zł.

Temat konferencji naukowej „Kontynuatorzy czy kontestatorzy?" odnoszący się do współczesnej polskiej fantastyki naukowej brzmi prowokująco. Pytanie domaga się odpowiedzi, ale alternatywne sformułowanie z kolei ją uniemożliwia. Alternatywa bowiem jest prawdziwa, jeśli przynajmniej jeden z jej członów jest prawdziwy. A który w tym wypadku jest prawdziwy: pierwszy czy drugi? Najogólniej rzecz ujmując: i pierwszy, i drugi. Przy czym bynajmniej we współczesnej literaturze fantastycznej jeden nie wyklucza drugiego. Nie wyklucza, oczywiście, gdy istnieją warunki; okoliczności umożliwiające kontestację.



Kontynuatorzy czy kontestatorzy?

Rzecz o trzech antologiach fantastyki

Antoni Smuszkiewicz

Zawsze spotkać można kontynuatorów, zawsze (choć rzadziej) mamy do czynienia z nowatorami, którzy wzbudzają największe zainteresowanie, bo oni właśnie wnoszą do sztuki ożywczy ferment. Oni są zaczynem zmian. Oni poszukują oryginalnych rozwiązań. Ale nie każdy nowator jest kontestatorem. Łączy ich jedynie to, że obaj nie są zadowoleni z istniejącego stanu rzeczy. Nowator stara się tworzyć dzieła oryginalne, unikalne, odmienne od tych, które są, a które go nie zadowalają; nie musi przy tym manifestować niechęci wobec poprzedników, nie musi protestować otwarcie przeciw zastanym konwencjom. Jego protest można jedynie wyinterpretować, odczytać pośrednio z odmienności rozwiązań artystycznych. Nie jest więc on w pełnym znaczeniu tego słowa kontestatorem. Kontestator bowiem przede wszystkim wyraża protest, demonstruje sprzeciw, w tym wypadku kwestionuje obowiązujące konwencje artystyczne, ale nie musi przy tym proponować rozwiązań lepszych, innych, takich, które by go zadowalały. Tego z reguły domaga się od innych twórców.

Podejrzewam, że w temacie naszej konferencji te dwa pojęcia: nowatorstwa i kontestacji nałożyły się na siebie. Skoro jednak tak się stało, pójdźmy – chcąc nie chcąc – przynajmniej na razie tym tropem. Nie można jednak zgodzić się na alternatywność pytania. Wydaje się, że bardziej właściwa byłaby tu koniunkcja. Sytuacja bowiem we współczesnej, powojennej fantastyce polskiej przypomina trochę scenkę początkową ze znanego wiersza Fredry:

Paweł i Gaweł w jednym stali domu,
Paweł na górze, a Gaweł na dole.
Paweł spokojny, nie wadził nikomu,
Gaweł najdziksze wymyślał swawole.

Przyjrzyjmy się zatem owym „najdzikszym swawolom", jakie kontestator Gaweł wymyślał w naszym „fan-domku" w różnych okresach powojennej historii science fiction.

Ponieważ nie sposób w krótkim szkicu przedstawić cały złożony proces ścierania się nowych tendencji z tradycyjnymi konwencjami, zatrzymać się pragnę tylko na trzech wybranych momentach. Owe trzy momenty to trzy konkursy, których plon wydany został w formie trzech antologii opowiadań fantastycznych. Pierwszy z nich ogłoszony został w roku 1962 przez redakcję „Młodego Technika", a jego najlepsze utwory zostały wydane w zbiorze „Posłanie z Piątej Planety" (1964). Drugi konkurs ogłoszony w roku 1973 zaowocował zbiorem „Wołanie na Mlecznej Drodze" (1976). I wreszcie trzeci – tym razem ogłoszony już przez redakcję miesięcznika „Fantastyka" – w roku 1982, przyniósł obszerny tom pt. „Trzecia brama" (1987).

Dlaczego zwracam uwagę na te trzy antologie? Otóż:

1. Każda z nich rejestruje „zapasy narodowej wyobraźni" z innego dziesięciolecia: początek lat sześćdziesiątych, siedemdziesiątych i osiemdziesiątych.

2. Każda z nich powstała z utworów w owym czasie najlepszych, wyłonionych kolegialnie przez jury konkursu. Nie jest więc wynikiem pracy jednej osoby, nie dokumentuje gustu jednego autora-antologisty, jak wiele innych antologii autorskich.

Oczywiście porównywanie utrudnia fakt, że w każdym konkursie wybierał owe utwory inny zespół oceniający i stosował rzecz jasna inne nieco kryteria. Ponadto zdać trzeba sobie również sprawę i z tego, że plon konkursu nie jest – obiektywnie rzecz biorąc – najlepszą podstawą do śledzenia przemian w literaturze i do ferowania wyroków na tej tylko podstawie. Mamy tu bowiem do czynienia z podwójnym często adresatem utworów. Autor pisze dla czytelnika, ale także (w wielu wypadkach głównie) dla jurorów. Nietrudno zauważyć, że w dwu pierwszych antologiach, którym patronowała redakcja „Młodego Technika", dominowały utwory bliższe klasycznej definicji science fiction, jako utworu opartego na motywie fantastycznego środka technicznego. W „Trzeciej bramie" takich utworów jest niewiele. Można powiedzieć, że redakcja „Fantastyki" preferuje inne nieco kryteria, ale także trzeba też stwierdzić, że zmienił się kształt literatury fantastycznej.

Mimo tych metodologicznych zastrzeżeń,



porównanie (pod pewnym przynajmniej względem) tych trzech antologii nie jest zupełnie bezzasadne. Przekonuje o tym dość duża różnorodność tekstów w każdej z nich; różnorodność świadcząca o chwalebnym braku uprzedzeń jury do utworów jakiegoś określonego typu i o braku preferencji dla innego z kolei rodzaju.

Cechą wspólną wszystkich tych konkursów było nastawienie na odkrycie talentu, na odkrycie utworu najlepszego, nie spotykanego, oryginalnego. Ta sytuacja z kolei nie stwarza dogodnej, sprzyjającej atmosfery dla kontynuatorów. Cenieni są natomiast wysoko kontestatorzy. Utwory wtórne (może nie zawsze bezwartościowe) przegrywają w wyścigu po nagrody z utworami kontestującymi, odmiennymi, wyłamującymi się z utartych schematów, nawet za cenę zrywania związków nie tylko z fantastyką naukową, ale niekiedy nawet z fantastyką w ogóle, chociaż wszystkie konkursy miały na celu ocenę utworów fantastyczno-naukowych. W tej sytuacji do antologii (zwłaszcza ostatniej) weszło parę utworów tylko – jak się zdaje – na zasadzie odmienności. Rację ma niewątpliwie Maciej Parowski, gdy pisze w posłowiu do „Trzeciej bramy", że takie właśnie teksty *ratują lektorów od nudy; stają się ożywczym wytchnieniem po lawinie tekstów standardowych i nijakich.* Ale czy oryginalność jest jedyną wartością? Powiedzmy sobie od razu, że awangarda nie zawsze tworzy dzieła doskonałe, ale mimo to jej usiłowania zawsze przyjmowane są przez krytykę z sympatią (jeśli nie z aplauzem), bo zwiastują nadzieję na przyszłe arcydzieła, bo otwierają nowe drogi twórczych poszukiwań.

Przyjrzyjmy się teraz bliżej wspomnianym antologiom. Utwory zebrane w tomie „Posłanie z Piątej Planety" trafnie charakteryzuje Zbigniew Przyrowski, podkreślając, iż intencje autorów wszystkich opowiadań są „wyraźnie jednoznaczne": *Z jednej strony pochwała ofiarności, nawet poświęcenia się w imię przyjaźni czy wypełnienia obowiązku, pochwała odwagi, szlachetnych uczuć. Z drugiej strony głęboka troska o to, aby wszelkie zdobycze nauki i techniki służyły rzeczywiście dobru człowieka, czujne wychwytywanie i sygnalizowanie niebezpieczeństw, do jakich może prowadzić nie poddany kontroli sumienia naukowy eksperyment i nieodpowiedzialne posługiwanie się coraz potężniejszym orężem nauki i techniki.* Jest to, krótko mówiąc, fantastyka dziś już uznawana za klasyczną, wywodząca się z verne'owskiej szkoły popularyzowania przyszłych osiągnięć technicznych, wzbogacona oczywiście o pewną nutę refleksji humanistycznej. Fantastyka ta ma zdecydowanie optymistyczną wymowę.

Nie to nas wszakże teraz interesuje, ale problem kontynuatorów i kontestatorów. W

tych kategoriach trudno jednak ujmować „Posłanie z Piątej Planety", bo brak tu śladów jakiejkolwiek artystycznej, literackiej kontestacji. Nietrudno zresztą odpowiedzieć na pytanie, dlaczego nie ma tu śladu kontestatorów. Nowoczesna konwencja polskiej fantastyki naukowej dopiero się kształtowała. Starsza fantastyka tego typu nie była znana (zwłaszcza młodym autorom, którzy jeszcze długo będą powoływać się na Stanisława Lema, jako swego mistrza).

Gdyby jednak rozpatrywać zjawisko na szerszym tle naszej powojennej literatury polskiej, wówczas można by co najwyżej całą tę młodą literaturę fantastyczną (a zatem wszystkie utwory owej antologii) uznać za przejaw kontestacji wobec współczesnej literatury realistycznej, a ściślej – socrealistycznej, preferującej tematykę współczesną, niechętną nawet baśni, niechętną wszystkiemu, co oderwane od realiów codzienności. To nic, że w literaturze głównego nurtu realizm socjalistyczny skompromitował się dziesięć lat wcześniej, że mamy za sobą już popaździernikową odwilż. Pamiętajmy, że autorzy „Posłania z Piątej Planety" to ludzie młodzi, w większości debiutanci, którzy wyrażają w ten sposób bunt przeciw realistycznym lekturom szkolnym i tym tendencjom w podejściu do dzieła literackiego, które długo jeszcze będą w szkolnej praktyce funkcjonować. Jest to zjawisko, które tu zaledwie sygnalizuję. Dokładniejsze omówienie wymagałoby obszernego studium. Zastanawiające jest przecież, do jakiego stopnia rozkwit literatury fantastycznej (w różnych zresztą okresach) jest wyrazem ukrytej niechęci do literatury realistycznej. Do jakiego stopnia jest buntem, kontestacją właśnie, wobec nie niosącej odpowiedzi, nie dającej zadowolenia literatury realistycznej.

Przejdźmy jednak do drugiej antologii. Tu dopiero w „Wołaniu na Mlecznej Drodze" odnaleźć można utwory, w których ujawnia się wyraźniej zaznaczona postawa kontestacyjna. Na pierwszy rzut oka, tzn. po pierwszej pobieżnej lekturze, odnieść można wrażenie, iż nowa antologia też niczego nowego w zasadzie nie zapowiada. Dominują te same tematy, co w pierwszej, lecz ich literackie opracowanie jest bardziej pogłębione, a całość reprezentuje wyższy poziom artystyczny. Jeśli jednak dokładniej przyjrzeć się poszczególnym opowiadaniom, okaże się, iż wprawdzie istotnie mówi się mniej więcej o tym samym, to jednak inaczej. Jest przyszłość ziemskiej cywilizacji, ale bez zachwytu nad wszechwładną i dobrodziejską techniką (np. „Metoda Mortona" Gajewskiego, „Termity" Mercika, „Odmieniec" Fotymy, czy „Poczucie pełni" Parowskiego). Jest też motyw kontaktu z kosmitami, ale z przymrużeniem oka (np. „Dziwny spadający kamień" Dworaka, „Grzechotka" Gołębiowskiego, czy „Ambasadorowie" Czechowskiego). A jeśli poważniej ów temat się traktuje, to bez entuzjazmu (np. w tytułowym opowiadaniu Wiktora Żwikiewicza „Wołanie na Mlecznej Drodze"). Więcej tu zadumy, znaków zapytania, niż bezkrytycznego optymizmu (jeśli pominąć dwa dość naiwne, przygodowe – prawda, że zgrabnie napisane – opowiadania: „Vindicta" Mateoszka i „Ręka" Prostaka).

Na tym tle wyraźnie zaznaczają się utwory zdecydowanie kontestujące wobec optymistycznych wizji świata przyszłości w fantastyce lat sześćdziesiątych (np. „Poczucie pełni" Parowskiego, „Wizja II" Malinowskiego). Ale nie tylko te utwory. Niemal połowa tekstów „Wołania na Mlecznej Drodze" podejmuje wspomnianą wcześniej tematykę w sposób przekorny, groteskowo zdeformowany, czasem humorystyczny.

Kontestacja wobec utrwalającej się konwencji fantastyczno-naukowej objawia się więc w postaci form parodystycznych np. temat kontaktu („Ambasadorowie" Czechowskiego, „Dziwny spadający kamień" Dworaka), temat robotów buntujących się przeciw człowiekowi („Maks" Grajka i Streicha, „Na przykład gopsofix" Szypulskiego). Szczególnie jednak charakterystyczne dla takiej postawy wobec tradycyjnej science fiction jest opowiadanie Andrzeja Stoffa „Kiedy gwiazda umiera", w którym żona głównego bohatera podpowiada mu, jak powinien napisać opowiadanie o umierającej gwieździe. Jej wypowiedź jest bardzo znamienna:

Na planecie (tu powinieneś wymyślić jakąś ładnie brzmiącą nazwę) okrążającej słońce (tu możesz dać skomplikowane oznaczenie literowo-liczbowe, to zawsze robi wrażenie na czytelniku) istnieje wysoko rozwinięta cywilizacja. Zlikwidowano wszystkie rodzaje niesprawiedliwości, zlikwidowano choroby, zapewniono wszystkim materialny dostatek i dostęp do wiedzy... Sam wiesz zresztą najlepiej, jak autorzy science fiction malują świetlaną przyszłość Ziemi w utopijnych obrazach innych cywilizacji.

Albo inny fragment:

Przecież dla autora science fiction to nic trudnego. Wystarczy wynaleźć któryś tam z kolei wymiar, w którym statki kosmiczne mogą poruszać się jeśli nie z dowolną, to w każdym razie z większą od światła prędkością, i problem dostarczenia uczestników misji do innych układów planetarnych jest już rozwiązany. A jeżeli chodzi o łączność, to



zawsze można odkryć nowy rodzaj fal elektromagnetycznych lub nawet zupełnie nowy rodzaj promieniowania.

Takie podejście autorów science fiction do schematów fabularnych i stereotypów narracyjnych fantastyki naukowej nie jest oczywiście odkryciem absolutnie nowym. Dość wspomnieć „Eden" Stanisława Lema. W owym czasie również w literaturze zagranicznej można spotkać utwory o parodystycznym nastawieniu wobec gatunku, np. Ilii Warszawskiego „Ściśle według reguł" z charakterystycznym podtytułem: „Opowiadanie napisane według wzorów współczesnej ultrakosmicznej fantastyki". Albo tegoż autora „Poradnik pisarza science fiction", w którym ironicznie udzielane porady obnażają schematyczność, szablonowość współczesnej fantastyki naukowej. To też przejaw kontestacji, choć nie w naszej literaturze.

Tak więc, jeśli chodzi o drugą antologię, powiedzieć można, iż rację ma autor wstępu, Zbigniew Przyrowski, pisząc, *że z głównego nurtu fantastyki naukowej, którym była kiedyś wielka przygoda i wizja przyszłości wynikająca z rozwoju nauki i techniki, wyodrębnił się drugi równoważny – zaduma.* Ale dodać także trzeba, że fantastyka naukowa w nowszej wersji demonstruje czytelnikom również świadomość własnych ograniczeń i niezadowolenie z upowszechniających się konwencjonalnych rozwiązań konstrukcyjnych. Wspomniana kontestacja wyraża się przede wszystkim w parodystyczno-groteskowych ujęciach dawnych tematów oraz w nieśmiałym jeszcze, ale już się zaznaczającym, rozluźnieniu mechanizmów motywacyjnych.

Wiemy doskonale z pracy Ryszarda Handkego „Polska proza fantastyczno-naukowa. Problemy poetyki", że wyznacznikiem science fiction obok fantastycznego środka technicznego jest motywacja zachowująca pozory naukowego, racjonalistycznego myślenia. Ta motywacja ulega teraz pewnej modyfikacji. Brak ścisłości maskowany jest jednak poetyckim językiem. Tak przynajmniej jest w opowiadaniu „Wołanie na Mlecznej Drodze" Wiktora Żwikiewicza. I to opowiadanie jest właśnie owym nieśmiałym jeszcze (na tle innych opowiadań zbioru) przekroczeniem granic gatunkowych tradycyjnej fantastyki naukowej.

Dopiero trzecia z omawianych antologii („Trzecia brama") potwierdza, iż kierunek nieśmiało zaznaczający się w drugiej, teraz zaczyna dominować. Fantastyka polska (trudno byłoby ją dziś nazwać naukową) zmienia swoje oblicze. Dokładną charakterystykę tego zbioru przedstawił Maciej Parowski w posłowiu pt. „Czwarta generacja". Nie mam zamiaru polemizować z tymi ustaleniami, bo w zasadzie zgadzam się z ukazaną tam różnorodnością, która oddaje wielobarwność całej polskiej literatury fantastycznej. Jest to – powiedzmy – antologia reprezentatywna. Nie podzielałbym jednak tak bardzo zachwytów nad literackimi dokonaniami najmłodszej generacji, ale to sprawa gustu.

Nie widzę tu jednak kontestatorów.

Sytuacja, jaka wytworzyła się we współczesnej literaturze fantastycznej, nie tylko utrudnia, ale wręcz uniemożliwia kontestację. Jeśli to zjawisko rozumieć jako kwestionowanie czegoś, jako demonstrowanie sprzeciwu wobec ustalonych konwencji, to oczywiście – aby kontestacja miała rację bytu – musi istnieć jakaś trwała, uznana, powszechnie akceptowana konwencja. Muszą istnieć mocne, niepodważalne zasady właśnie po to, aby można było je podważać, kwestionować, parodiować. W sytuacji, gdy takich kanonów nie ma, nie ma również kontestacji.

Zakwestionowanie kanonów fantastyki naukowej zaznaczone w drugiej antologii dokonało się w latach siedemdziesiątych, a więc między druga a trzecią antologią. Ta ostatnia prezentuje nam już „krajobraz po bitwie". Teraz już „wszystko wolno", jeśli tak można powiedzieć. Nawet takie utwory, jak „Piloci ultrafioletowych dali" Dariusza Lebiody, czy nie mająca nic wspólnego z fantastyką (inna rzecz, że świetna, choć przerażająca) parabola Marka Hemerlinga „Droga", nikogo już nie dziwią, ani nie szokują. Doskonale funkcjonują obok siebie magiczne praktyki, hipnoza dziedziczna i wymyślne strzelby miotające błękitne kule w opowiadaniu Feliksa Kresa „Mag". A skoro wszystko wolno, skoro wszystkie konwencje zostały rozbite, nowe zaś jeszcze się nie wykształciły, cóż może być odczytane jako przejaw kontestacji? Chyba tylko zerwanie z jakąkolwiek fantastyką, jeśli np. autor „Delirium w Tharsys" napisze powieść realistyczną o pracy we współczesnym kombinacie budowlanym.

Kim są zatem współcześni twórcy fantastyki polskiej, zapytajmy w zgodzie z hasłem naszej konferencji: kontynuatorami, czy kontestatorami? Odpowiedź jest niemożliwa. Kontestatorami nie są, ale nie są też kontynuatorami. Są poszukiwaczami. Poszukiwaczami nowej, innej formuły literatury fantastycznej, a także – mam tu na myśli zwłaszcza młodych autorów – poszukiwaczami własnego stylu wypowiedzi, własnego języka, którym mogliby wyrazić „wszystko, co pomyśli głowa": wszystkie niepokoje, obawy, i nadzieje współczesnego człowieka, ciągle zaskakiwanego zmianami, łudzonego nadziejami i straszonego wciąż nowymi zagrożeniami. ■

Ponad pięć miliardów żyjących dziś ludzi pochodzi od jednej kobiety – oznacza to, iż wszyscy mieliśmy jedną pramatkę! Owych „pra" trzeba by użyć około 10 tysięcy, bo mniej więcej tyle pokoleń przeminęło od czasu pramatki, którą oczywiście nazwano Ewą. Ewa żyła około 200 tysięcy lat temu i... była czarną Afrykanką. Jeśli „hipoteza Ewy" jest prawdziwa, biologiczne braterstwo pomiędzy ludźmi różnych ras (nie mówiąc już o różnych narodach tej samej rasy) jest daleko głębsze, niż przypuszczaliśmy.

Z tamtej strony lustra

EWA — nasza czarna pramatka

Maciej Iłowiecki

Hipoteza Ewy, pramatki całego ludzkiego rodzaju doskonale zgadza się z przekazem Biblii i także z wielką liczbą różnych starych mitów, wywodzących się z różnych kręgów kulturowych z całego świata. Hipoteza ta wyraża w sposób naukowy jedno z najstarszych i najpowszechniejszych przekonań ludzi – o tym właśnie, że wszyscy wywodzimy się od pierwszych, wspólnych rodziców. Fakt zbieżności z Biblią stanowi dla niektórych uczonych powód do podejrzeń: czy aby twórcy nowej hipotezy nie zasugerowali się zanadto Księgą Rodzaju. Jednakże większość antropologów odrzuca z gniewem podobne podejrzenia – właśnie dlatego, że ich zdaniem zgodność lub niezgodność stwierdzeń nauki z przekazami świętych ksiąg nie może w żadnym wypadku służyć do oceny tych stwierdzeń. Weryfikacja hipotez naukowych może dokonywać się tylko na gruncie nauki i metodami, które powszechnie uznaje się za naukowe.

Od razu trzeba powiedzieć: hipoteza Ewy, uznana za najbardziej „intrygującą i prowokacyjną" hipotezę antropologiczną ostatnich lat, spotkała się z ostrą krytyką naukową i nie należy sądzić, że jest to hipoteza przyjęta. Niemniej w chwili, gdy o niej informuję Czytelników, nie zdołano dowieść jej fałszywości – pozostaje na razie jedną z wielu, choć może najciekawszą i oczywiście nową koncepcją na temat pochodzenia ludzi. W każdym razie warto poznać przesłanki, przemawiające za hipotezą jednej pramatki nas wszystkich. Tym bardziej że dowody znaleziono poza obszarem tradycyjnych poszukiwań antropologii – to znaczy nie dzięki badaniom odkrytych w ziemi szczątków, a w skomputeryzowanym laboratorium biologii molekularnej.

Musimy zacząć od początków i przypomnieć pewne sprawy natury ogólniejszej. Otóż współczesna nauka nie pozostawia wątpliwości, że wszystkie żywe istoty na Ziemi mają tyle wspólnego, iż muszą wywodzić się z jednego pnia, od jednego przodka. Na pozór jest to oczywiście dziwne: cóż może mieć wspólnego na przykład słoń z pszenicą, albo człowiek z... pleśnią. Ale tylko na pozór! Wiemy doskonale, że i słoń, i pszenica, i człowiek, i pleśń, i wszystko co żyje, zbudowane jest wedle – jakby powiedzieli technicy – jednego schematu ideowego, złożone z takich samych elementów podstawowych, spełniających takie same podstawowe funkcje. Można to ująć ostrożniej: podobieństwa wydają się znacznie istotniejsze, głębsze, niż różnice, zaś przyczyną tych podobieństw może być tylko wspólnota pochodzenia. Wiemy też, że rozwój różnych form życia przypomina drzewo. Można owo ewolucyjne „drzewo życia" różnie przedstawiać graficznie, zależnie od przyjętej koncepcji przebiegu ewolucji. W tej chwili nie interesują nas spory na temat owego przebiegu, czyli kształtu drzewa życia – chodzi o to, że właśnie sama idea pozostaje trwała. To znaczy, jeśli gałązki drzewa życia oznaczają współcześnie istniejące gatunki, to miejsca, skąd rozchodzą się gałązki, stanowią wspólną podstawę, wspólnego przodka danych gatunków. Cofając się dalej, ku korzeniom, odnajdziemy kolejny wspólny konar – będzie to ogniwo wcześniejsze, wspólne dla jakichś grup pokrewnych. Potem natrafimy na dalsze konary, wspólne dla coraz większej liczby grup istot żyjących i tak, schodząc coraz niżej (czyli cofając się w czasie), dojdziemy w końcu do wspólnego pnia całości, wreszcie do samych początków drzewa ewolucji. Powtórzę: niezależnie od tego, jak ustalimy połączenia określonych gałęzi (czyli pokrewieństwa i następstwa różnych grup istot żyjących teraz lub kiedyś), zawsze musimy się liczyć z istnieniem samego połączenia – czyli wspólnego przodka.

Zatem przyjmując za wiarygodne ustalenia dzisiejszej nauki, musimy stwierdzić, co następuje: około 3 miliardów lat temu zamieszkiwał Ziemię maleńki, mikroskopijny stwór, prakomórka, od której pochodzą wszystkie współczesne formy życia, wszystkie gatunki, wszystkie żywe istoty. Wspólnota pochodzenia oznacza pokrewieństwo. Dochodzimy znowu do tego, o czym wspomniałem wcześniej: my, ludzie, jesteśmy spokrewnieni nie tylko z człekokształtnymi małpami, ale także, na przykład, ze szczurami, wężami, karaluchami, dżdżownicami, a nawet z drzewami, trawą i pleśnią.

Istnieją różne szczegółowe dowody tego pokrewieństwa i znajdziemy je w każdym podręczniku biologii. Dopiero wszakże w latach sześćdziesiątych, kiedy już potrafiono rozpoznawać cząsteczkową strukturę poszczególnych składników komórki, znaleziono dowody najbardziej przemawiające do wyobraźni. Muszę teraz opowiedzieć o tych dowodach – nie będzie to najprostsze, ale pozwoli nam pojąć tok rozumowania naukowców i doprowadzi do przesłanek, na których wsparto hipotezę Ewy-pramatki.

Zatem okazało się, że wiele podstawowych struktur w komórkach wszystkich gatunków zbudowanych jest tak samo – mówiliśmy o tym. Wśród tych struktur – właściwie identycznych u tak przecież różnych organizmów, jakie istnieją na planecie – otóż wśród tych struktur są białka-enzymy, sterujące podstawowymi procesami życiowymi komórek, jest też słynny DNA (i jego pochodne), materialny nośnik kodu genetycznego, są różne organelle komórkowe. Jest to tak, jakby raz w toku ewolucji „wynalezione" urządzenia okazały się najlepsze z możliwych i wobec tego przetrwały miliardy lat. Zmieniały się – i to jak! – struktury wyższego rzędu, czyli organizmy, gatunki, ale podstawowe urządzenia komórkowe pozostały w tej skali praktycznie niezmienne. Nie mogę się powstrzymać od dygresji: to właśnie dziwi mnie najbardziej, ponieważ zdaje się sprzeczne z samą ideą ewolucji! Oto struktury jakby najdoskonalsze pojawiły się najwcześniej i pozostały najtrwalsze. W ewolucyjnym ciągu rozwojowym z pierwotnej komórki wyłonił się Homo sapiens, ale polinukleotydy (DNA, RNA) czy enzymy w jego komórkach są prawie takie same, jakie tkwiły w tamtej pierwszej i jakie dziś tkwią w ciele najprymitywniejszej bakterii!

Wracamy do badań pokrewieństwa gatunków. Na przykład enzym, katalizator biologiczny, zwany cytochromem C. Białko to pośredniczy w procesach oddechowych komórki, zbudowane jest (z nielicznymi wyjątkami) ze 104 aminokwasów, ułożonych w określonej kolejności. Z jakąkolwiek komórką mielibyśmy do czynienia – czy to ludzką, czy kurzą, czy owadzią, małpią lub wręcz roślinną – zawsze rozpoznamy cytochrom C. Różnice w kolejności ułożenia aminokwasów są niewielkie i nieistotne. Różnice te wywołane są mutacjami, a mutacje, jak wiadomo, są to swoiste, skokowe zmiany (jakby omyłki) we „wzorze genetycznym", w tym wypadku wzorze cytochromu, przekazywanym z pokolenia na pokolenie. Byłoby niepojęte, gdyby ów wzór pozostał bez zmian przez miliardy lat, ale łatwo też zrozumieć, dlaczego zachowały się tylko zmiany (mutacje) nieważne, neutralne. Po prostu każda mutacja znacząca na tyle, że zmieni strukturę enzymu, zarazem go unieczynnia, a tym samym uniemożliwia komórce oddychanie. Komórka ginie i nie przekazuje już dalej mutacji szkodliwej, błąd zostaje wyeliminowany.

Mutacje niegroźne, neutralne, nic nie znaczące, mogą być przekazywane w ciągu podróży cytochromu w czasie, to znaczy w trakcie odtwarzania jego cząsteczek z pokolenia na pokolenie. Znane są metody obliczania „gęstości mutacji w czasie" – to znaczy można ocenić czas, jaki musiał minąć, by pojawiła się taka a nie inna liczba mutacji. Zrozumiałe też, że im dłużej dwie formy życia (gatunki, rodzaje, rodziny, gromady itd.) rozwijały się oddzielnie – jako odrębne gałęzie drzewa życia – tym więcej musi być różnych mutacji w ich strukturach komórkowych. Mutacje tożsame dotyczą tylko czasów, kiedy istniał jeszcze wspólny przodek. Porównując więc cytochromy różnych gatunków (trzymam się wciąż tego przykładu, bo na tym enzymie przeprowadzono pierwsze porównania) i znając średni czas pojawiania się mutacji, można ustalić, kiedy dwie dane gałęzie życia wyłoniły się ze wspólnego pnia, kiedy dwa różne gatunki miały wspólnego przodka. Posługując się komputerami ustalono więc na tej podstawie, że wspólny przodek na przykład ssaków (więc nasz także) i owadów musiał żyć przed 750 milionami lat... Żyła więc wtedy istota, o której zarówno mucha (gdyby umiała to ocenić i wypowiedzieć) jak i człowiek mogą powiedzieć: oto nasz wspólny prapra... rodzic! Płazy – z których potem poprzez gady wydzieliły się linie ptaków i ssaków – wyodrębniły się z pnia „rybiego" przed około 490 milionami lat. A wspólnym praprzodkiem czło-

wieka i na przykład kury było stworzenie, żyjące na Ziemi przed około 280 milionami lat! Naturalnie, oceny czasu na podstawie porównania różnic w cytochromach są zbieżne z ocenami dokonanymi innymi metodami, co tylko uprawomocnia uzyskany wynik.

Cytochrom człowieka i rezusa różni się tylko w jednym miejscu, jednym aminokwasem – i nic dziwnego, małpy są naszymi na Ziemi najbliższymi krewnymi...

W podobny sposób porównano strukturę wielu innych białek – np. albuminy, białka krwi. Okazało się, że albuminy konia i zebry różnią się bardzo mało – są to gatunki sobie bliskie, od wspólnego przodka dzieli je ok. 3 milionów lat (to nic w skali paleontologicznej). Albuminy konia i człowieka różnią się dużo więcej – to oczywiste, praprzodek człowieka i konia biegał sobie zapewne przed 70 milionami lat. Był to przełom er mezozoicznej i kenozoicznej, kończyła się epoka, zwana kredą i wtedy właśnie zaczęła się katastrofa dinozaurów, co otworzyło możliwości gwałtownego rozwoju ssaków.

Porównanie białek człowieka i małp człekokształtnych doprowadziło do wniosku przewidywanego: że najbliższym nam krewniakiem na Ziemi jest szympans.

Co to wszystko ma wspólnego z naszą pramatką?

Otóż uczeni z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley – Rebecca Cann, Mark Stoneking i Allan Wilson zbadali w podobny sposób DNA, znajdujący się w mitochondriach ludzkich komórek. Mitochondria są to dość wyodrębnione w komórce struktury, pełniące rolę swoistych „siłowni" (to znaczy, że w nich wytwarza się, mówiąc w uproszczeniu, energia potrzebna komórce do życia). Odznaczają się tym, iż mają swój własny DNA, własny przekaz genetyczny, nie korzystają więc w tym względzie z DNA jądra macierzystej komórki. (Fakt ten nb. jest podstawą hipotezy, iż mitochondria były kiedyś odrębnymi organizmami, które potem „stopiły" się z innymi – ale to też dygresja.) Nie wdając się w skomplikowane wyjaśnienia, stwierdzę tylko, że ludzie dziedziczą geny (DNA) mitochondrialne wyłącznie po matce, zaś mutacje w tychże genach zachodzą z pewną stałą szybkością, określaną jako 2 do 4% na jeden milion lat. Mając te dane i porównując mitochondrialny DNA z komórek wielu ludzi różnych ras (ściślej, populacji, zamieszkujących różne regiony geograficzne), uczeni z Berkeley doszli do nieoczekiwanego wniosku: ponieważ mitochondria wszystkich ras zawierają różne mutacje, które w komplecie występują tylko u czarnych Afrykanek, właśnie czarna Afrykanka musi być pramatką wszystkich ras! Nie chodzi, oczywiście o *pierwszą* kobietę gatunku człowieczego, ponieważ w owym czasie żyło już wiele grup ludzkich, wiele kobiet i mężczyzn, a wyłonienie się gatunku ludzkiego nastąpiło dużo wcześniej (zwracam na to uwagę, bo niektóre doniesienia prasy w Polsce na temat hipotezy czarnej Ewy sugerowały, iż była to w ogóle pierwsza kobieta). Chodzi o to, że – wedle wspomnianych danych – *tylko jedna* kobieta pozostawiła jakby swój ślad w komórkach wszystkich ludzi na Ziemi. Ślad ten prowadzi do Afryki (poniżej Sahary), zaś obliczenia częstości mutacji wskazują, że owa kobieta żyła w granicach pomiędzy 140 tysięcy a 290 tysięcy lat temu, zapewne przed dwustu tysiącami lat.

W owym pradawnym czasie istniało już ludzkie plemię, wiele kobiet rodziło dzieci – przetrwała jednak tylko jedna linia mitochondrialna, wywodząca się od jednej matki. To znaczy, że jej właśnie potomstwo przetrwało i rozprzestrzeniło się na całej Ziemi. Z punktu widzenia tak zwanego zdrowego rozsądku wydaje się to wręcz niemożliwe, ale genetycy twierdzą, że genetyczny rachunek prawdopodobieństwa potwierdza taką możliwość, nawet ją sugeruje.

Potomkowie Ewy zaczęli wędrować po świecie przed 90 tys. – 180 tysiącami lat – i zdominowali wszystkich innych ludzi. Podaje się różne przyczyny tej dominacji i uzasadnia, że mogła się wydarzyć. Jest to tzw. hipoteza Arki Noego – grupa, która przetrwała na Arce skolonizowała świat.

Oczywiście, toczą się spory na temat miejsca życia pramatki Ewy, niektórzy twierdzą, że pochodziła ona z Azji, z południowych Chin. Ważne jest to, iż wszystkie zespoły uczonych, badających różnymi metodami DNA mitochondrialny potwierdzają hipotezę „jednego ciągu dziedzicznego" tj. wywodzenia się tego DNA od jednej kobiety i ustalają podobną datę jej życia – około 200 tys. lat temu.

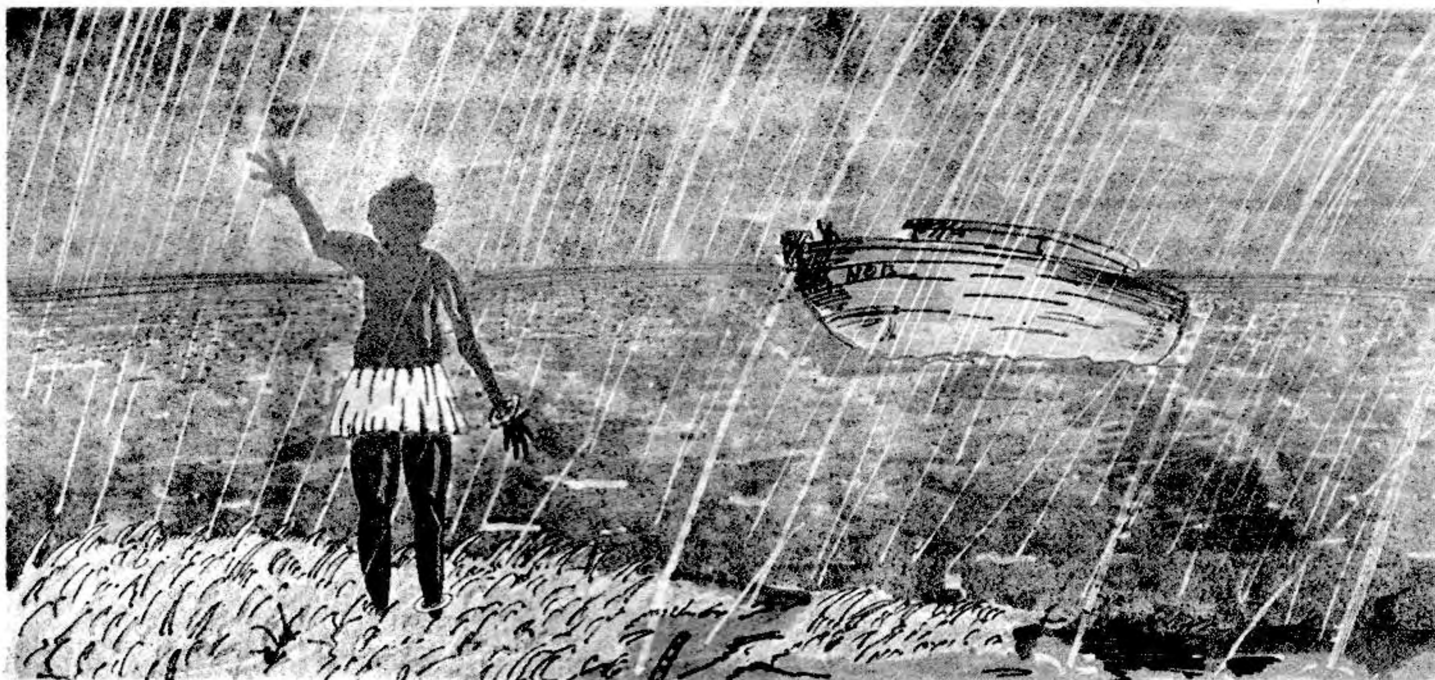
Jeśli nawet okaże się, że oceny czasu są niedokładne (bo np. mutacje zachodziły częściej lub rzadziej, niż przyjęto), jeśli nawet jakieś znaleziska podważą hipotezę Ewy i Arki Noego – to i tak pozostanie do wyjaśnienia pytanie bardzo trudne: dlaczego DNA w mitochondriach ludzi dzisiejszych jest właśnie takie jakie jest. Jeśli odrzucić hipotezę „wspólnej matki", nie ma dziś innego dobrego wyjaśnienia. Co nie oznacza, że lepsze wyjaśnienie nie może się znaleźć jutro i o tym zawsze trzeba pamiętać.

Jeśli jednak istniała jedna pramatka, musiała – twierdzą antropologowie – przypominać dzisiejszych Buszmenów. Była niezwykle silna, wytrzymała, miała płaską, wysuniętą do przodu twarz, pochyłe czoło, grube, wystające łuki brwi. Nie była piękna – ale była doskonale przystosowana do polowań. Żyła na pewno w niewielkiej wspólnocie i zapewne miała kilku mężów. Należała do gatunku Homo sapiens – to znaczy zdawała sobie sprawę z własnego istnienia, z własnej tożsamości i z własnego przemijania.

Genetycy, nie zrażeni sceptycyzmem czy nawet niechęcią wielu wybitnych antropologów do koncepcji jednej pramatki rozpoczęli już poszukiwania praojca – Adama. Jest to z wielu względów trudniejsze, a może nawet niemożliwe do ustalenia. Wprawdzie jeśli pojawiły się dzieci Ewy, ktoś niewątpliwie musiał być ich ojcem, ojców mogło być też kilku lub więcej. Muszę znowu podkreślić okoliczność, którą błędnie interpretuje się w wielu popularnych wersjach hipotezy Ewy: otóż nie chodzi o to, iż Ewa była *przed* Adamem, tylko o to, że istnienie jednej Ewy-pramatki daje się uzasadnić naukowo, na temat praojca brak na razie danych.

Nie wydaje się, by dla ludzi miało znaczenie, skąd się ostatecznie wywodzą, choć zawsze warto o tym się dowiedzieć. Natomiast ma zapewne jakieś znaczenie rozstrzygnięcie dylematu, czy gatunek ludzki wywodzi się z różnych szczepów i różnych miejsc na Ziemi, czy też wszyscy mieliśmy wspólną pramatkę. Jeśli to ostatnie okaże się prawdą, będziemy musieli pogodzić się z faktem, że z jednej strony twierdzenie, iż „wszyscy ludzie są braćmi" zyskuje nową podstawę, z drugiej strony, że ów braterski szczep musiał wyprzeć z Ziemi (zdominować? zniszczyć?) wszystkie inne szczepy człowiecze. I jeśli już trzymamy się biblijnej symboliki, wówczas cała ta historia miałaby coś wspólnego z Kainem. ■

Marek Zalejski



1982 (ciąg dalszy)

1670. WEINFELD Stefan: *Zamieszkała planeta.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 4° ss. 79, nlb. 1. 100 000 egz. – Fantazja – Przygoda – Rozrywka (seria zeszytowa).
WOLSKI M.: *Enklawa...* – zob. U.
1671. WUL Stefan [pseud.]: *Remedium.* Tłum. [z franc.] Andrzej Pruszyński. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 152, nlb. 8. 100 000 egz. – Fantazja – Przygoda – Rozrywka. – Właśc. nazw. aut.: Pierre PAIRRAULT.
1672. ZAJDEL Janusz A[ndrzej]: *Limes inferior.* Warszawa. Iskry. 8° ss. 180, nlb. 2. 50 000 egz. – Fantazja – Przygoda.
1673. ZAJDEL Janusz A[ndrzej]: *Ogon diabła.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 222, nlb. 2. 100 000 egz. – Fantastyka – Przygoda – Rozrywka.
1674. ZNAMIEROWSKI Juliusz Stefan: *Pożeracz ciepła.* Warszawa. Wyd. MON. 8° ss. 277, nlb.3. 50 000 egz.
1675. ZSOLDOS Péter: *Zadanie.* Tłum. [z węg.] Tomasz Kulisiewicz. Warszawa. Iskry. 8° ss. 183, nlb. 1. 50 000 egz. – Fantastyka – Przygoda.
1676. ŻWIKIEWICZ Wiktor: *Druga jesień.* Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 225, nlb.3. 20 000 egz. – SF.

SF dla dzieci i młodzieży (CJSF):

1677. BROSZKIEWICZ Jerzy: *Ci z dziesiątego tysiąca.* [Wyd. XIV] Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 181, nlb. 3. 100 000 egz. – Biblioteka Młodych.
1678. MASSEPAIN André: *Wyspa potworów.* Tłum. [z franc.] Janina Karczmarewicz-Fedorowska. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 170, nlb.6. 30 000 egz. – Klub Siedmiu Przygód.
1679. RAY Satyajit: *Podróże profesora Śanku.* Tłum. [z bengalskiego] Elżbieta Walterowa. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 176, nlb. 4. 20 000 egz.
1680.(?) SŁYK Marek: *Gra o supermózg.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 318, nlb.3. 40 000 egz. – Elementy fantast. (właśc. surrealistyczne).
SWIFT J.: *Podróże...* (wersja dla młodzieży) – zob. U.
1681. TOMIN [Ůrij]: *Karuzele nad miastem.* Tłum. [z ros.] Janina Olszewska. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 223, nlb. 4. 20 000 egz. – Na k. tyt. imię aut.: Jurij.
1682. TRYBUSIEWICZ Janusz: *Wyprawa do małpoludów.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 8° podl. knlb. 18. 30 000 egz. – Właśc. popularnonaukowa.
1683. TWAROGOWSKI Tadeusz: *W krainie Srebrnego Hariki.* Wyd. III. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 218, nlb.2. 20 000 egz.

Utopia (U):

1684.(?) AFANASJEW Jerzy: *Biurowiec.* Warszawa. Czytelnik. 8° ss. 127, nlb. 1. 20 000 egz. – Elementy fantast.
1685. BELLARD J[ames] G[raham]: *Wyspa.* Tłum. [z ang.] Lech Jęczmyk. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 141, nlb. 3. 20 000 egz.
1686. BRATNY Roman: *Radość nagrobków.* Wyd. II. Warszawa. Iskry. 16° ss. 230, nlb.4. 20 000 egz. – Elementy fantast.
1687.(?) GOMBROWICZ Witold: *Zdarzenia na brygu Burbury.* Wstęp Maria Janion. Gdańsk. Wyd. Morskie. 16° ss. 112, nlb.3. 50 000 egz. – Elementy fantast. – (właść. surrealistyczne).
1688. GRZESZCZYK Władysław: *I stało się!* (Humoreski z serii SF). T. I–III. Olsztyn. Nakładem autora. 32° T.I ss. 62, nlb. 1; T.II ss. 61, nlb.2; T. III (wyd. 1983) ss. 61, nlb. 2. 1000 egz. – U/ASF.
1689. von HERZMANOVSKY-ORLANDO Fritz: *Straszykoń w różanych sidłach. Opowieść dziwaczna.* Tłum. [z. niem.] Sławomir Blaut. Posłowie Hubert Orłowski. Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 121, nlb.3. 10 000 egz.
1690. PARNICKI Teodor: *Muza dalekich podróży.* [Wyd. II]. Warszawa. Inst. Wyd. Pax. 8° ss. 646, nlb.2. 10 000 egz. – Dzieła.
1691. PRANDOTA Mirosław: *Ostatnia walka gladiatorów.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 226, nlb.2. 7 000 egz.
1692. STYCZEŃ Janusz: *Trujące piękno.* Wrocław. Ossolineum. 8° ss. 143, nlb.1. 2 000 egz.
1693. SULIMA-KAMINSKI Jerzy: *Patriarcha.* Bydgoszcz. Wyd. Morskie. 16° ss. 162, nlb.2. 10 000 egz. – Opow. „Jak ryby" – ASF, niektóre pozostałe U lub U/AF (groteski).
1694. SWIFT Jonathan: *Podróże do wielu odległych narodów świata. W czterech częściach przez Lemuela Guliwera, początkowo lekarza okrętowego, a następnie kapitana licznych okrętów.* Tłum. [z ang.] Maciej Słomczyński. Posłowie Juliusz Kydryński. Wyd. II w tej edycji. Kraków. Wyd. Literackie. 8° ss. 324, nlb.3. 150 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.
1695. SWIFT Jonathan: *Podróże Guliwera.* Wg... oprac. Jacek Bocheński i Marian Brandys. Wyd. III w tej edycji. Z. I–II. Szczecin. Kraj. Ag. Wyd. 4° Z.I ss. 79, nlb. 1; Z.II ss. 46, nlb.1. 220 000 egz. – Opis wg okładki.
1696. SWIFT Jonathan: *Podróże Guliwera w nieznane kraje. Przez Jonathana Swifta. Polskie wydanie ozdobione 450 drzeworytami przez J.J. Grandville [Właśc. Grandville'a] z przydaniem krótkiej wiadomości o Swifcie [tłumaczonej] z Waltera Scotta przez J[ana] N[epomucena] Bobrowicza.* [Tłum. z ang.]. T.I–II. Warszawa. Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe. 8° T. I ss. nlb.8, LXII, nlb.2, 277, nlb.1; T.II ss. nob.3, 315, nlb.3, portr. 1500 egz. – Przedruk fotooffsetowy z wyd.: Lipsk 1842. J. Baugärtner.
1697. TWAIN Mark: *Tajemniczy przybysz.* Tłum. [z ang.] i posłowie Teresa Truszkowska. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 120, nlb.3, bibliogr. 100 000 egz. – U/AF.
VERISSIMO E.: *Incydent...* – Zob. AF.
1698. Wolski Marcin: *Enklawa. Neomatriarchat. Świnka.* Kraków. Wyd. Literackie. 8° ss. 293, nlb.3. 20 000 egz.
1699. ZIELIŃSKI Stanisław: *Lot Werminii.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 189, nlb.3. 20 000 egz.
1700. ŻYLIŃSKA Jadwiga: *Wyspa Dziwnego Żartu.* Opowiadania. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 259, nlb.4. 20 000 egz.

Fantazja dla dorosłych (AF):

1701. ADAMS Richard: *Wodnikowe Wzgórze.* Tłum. [z ang.] Krystyna Szerer. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 420, nlb. 4. 50 000 egz. – Współczesna Proza Światowa.
1702. BLAGOJEVIČ Lona: Wszystkie zwierzęta, które są z tobą. Tłum. z serbochorw. Ewa Getter. Łódź. Wyd. Łódzkie. 16° ss. 116, nlb.4. 15 000 egz. – Biblioteka Jugosłowiańska. – 8 opow. w tym 4 fantast.
1703. von DODERER Heimite: *Ostatnia przygoda. Romans rycerski.* W: *Ostatnia przygoda. Wybór małej prozy.* Tłum. z niem. Henryk Paweł Anders. Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° s. 161–224. 25 000 egz.

cdn.

Przygotował **Jacek Iworski**

W Galaktyce bardzo, bardzo, bardzo, bardzo daleko stąd żyła rasa okrutnych istot zwanych...

SPACEBALLANIE

Nieodpowiedzialni przywódcy Spaceball po zmarnowaniu cennej atmosfery planety opracowali sekretny plan zrabowania powietrza od swych miłujących pokój sąsiadów z planety Druidii.

Tak zaczyna się historia opowiedziana w najnowszym filmie Mela Brooksa. Jest to parodia „Wojen Gwiezdnych". Ponieważ, jak zwykle u tego reżysera dowcip sytuacyjny przeplata się z humorem językowym, proponujemy czytelnikom „Fantastyki" mały słowniczek, który może pomóc w zrozumieniu niektórych, bardzo amerykańskich skojarzeń.

Spaceballs – Spaceballanie, mieszkańcy planety Spaceball. Space – przestrzeń kosmiczna. Ball – kula, jajo. W slangu amerykańskim słowa oddballs czy screwballs oznaczają dziwacznych ludzi;

Lord Helmet (także Dark Helmet) – Czarny Hełm. Karykatura Dartha Vadera. Twarz Helmeta zakrywa duży, w praktyce o wiele za duży hełm wzorowany na nakryciu głowy Vadera;

Colonel Sandurz – komendant sił powietrznych planety Spaceball. Jego nazwisko wymawiane jest tak jak Colonel Sanders – twórca popularnych w Ameryce i Europie Zachodniej sieci restauracji „Kentucky Fried Chicken";

Prezydent Skroob – prezydent planety Spaceball. Jego nazwisko pochodzi z połączenia słów: screw – w slangu amerykańskim „oszukiwać" i boob – również w slangu „głupiec". Skroob jest również anagramem nazwiska Brooks (który kreuje w filmie rolę prezydenta);

Vespa – tu imię księżniczki. Nazwa popularnych w Ameryce skuterów;

Valium – tu imię księcia. Nazwa lekarstwa uspokajającego (uważa się, że jest to najczęściej przez Amerykanów zażywany lek);

Druidzi – tu mieszkańcy planety Druidia. W religii celtyckiej duchowni i nauczyciele. Słowo druid brzmi też bardzo podobnie do wyrazu droid, skrótu od android, czyli robot o wyglądzie człowieka (Dot Matrix, służąca księżniczki Vespy jest właśnie takim androidem);

Eagle 5 – tu nazwa statku Lone'go Starra. Nazwa modułu kosmicznego Apollo 11, który wylądował na Księżycu w 1969 r.;

Barf – imię towarzysza Starra, pół-człowieka, pół-psa. W slangu amerykańskim „wymiotować" (to tak jakby kogoś nazwać Rzyg);

Pizza the Hutt – kosmiczny ojciec chrzestny, pół-człowiek, pół-pizza. Pizza hut – sieć amerykańskich restauracji serwujących pizzę. Jobba the Hut był postacią z „Wojen Gwiezdnych";

Yogurt – parodia elfo-człowieka imieniem Yoda z filmu „Imperium kontratakuje". Nazwa napoju mlecznego. ■



Pasja czy rzemiosło?

Do twórczości Mela Brooksa mało kto odnosi się obojętnie. Rozkład sił jest zazwyczaj następujący: recenzenci każdą kolejną komedię tego reżysera krytykują, zarzucając autorowi aż do znudzenia prostackość czy wręcz wulgarność jego żartów, a widzowie nie zwracając na to uwagi oglądają ją, nieźle się bawiąc. W Polsce mogliśmy obejrzeć prawie całą twórczość Brooksa. Na naszych ekranach były wyświetlane: „Młody Frankenstein", „Ostatni film o Legii Cudzoziemskiej", „Być albo nie być", „Nieme kino" i „Lęk wysokości".

Ten ostatni, zadedykowany Alfredowi Hitchcockowi, składał się ze scen będących pastiszami słynnych ujęć z różnych filmów mistrza suspensu. Identyczną metodę Brooks zastosował w „Niemym kinie", a następnie w znanej u nas jedynie z wideo „Historii Świata" (History of the World, 1981), gdzie przedmiotem karykatury stały się wielkie produkcje hollywoodzkie, przedstawiające sfabularyzowaną historię, niewiele mającą wspólnego z prawdą. Jego ostatni film, „Spaceballs" jest z kolei parodią „Gwiezdnych Wojen", a po trosze całego filmowego gatunku science fiction.

„Spaceballs" rozpoczynają napisy wprowadzające widza w opowieść. Podobnie jak w „Gwiezdnych Wojnach" biegną one jakby w głąb ekranu. Ostatnia linijka, gdzie litery są najmniejsze, głosi: „Jeżeli możesz to przeczytać, nie musisz używać okularów". Tylko jedno zdanie, a wystarczy, żebyśmy już wiedzieli co nas czeka To pierwszy z dowcipów. Oczywiście nie ostatni. Kiedy w następnej scenie na ekranie pojawia się statek kosmiczny, jest on karykaturalnie duży. Większy, o wiele większy, od jakiegokolwiek pojazdu gwiezdnego pokazanego dotąd w filmach SF.

Potem zjawiają się kolejno krzywe odbicia postaci stworzonych niegdyś przez Georga Lucasa. Mały, chuderlawy i krótkowzroczny Dark Helmet (Rick Moranis), kompensujący swoje nieudacznictwo butą, zza której co chwila wyziera głupota, to nie kto inny tylko Darth Vader. Księżniczka Leia zastąpiona została księżniczką Vespą (Daphne Zunig) nieco mniej zaangażowaną w sprawy królestwa, za to bardziej sexy. Podobnie jak w oryginalnej wersji heroina spotyka gwiezdnego zabijakę. Jest to Lone Starr (Bill Pullman) – bohater do wynajęcia, któremu towarzyszy pół-pies, pół-człowiek, imieniem Barf (John Candy), będący niestety tylko słabym cieniem Chewbacca'y. Zresztą nie tylko on nie dorównuje oryginałowi. Wiele scen w filmie jest słabych. W innych humor jest dla nas po prostu niezrozumiały, bowiem często opiera się na skojarzeniach typowo amerykańskich, odwołując się do popularnych tam reklam, seriali telewizyjnych, programów radiowych, czy wyrażeń slangowych (obok zamieszczam mały słowniczek, który mam nadzieję, ułatwi Państwu zrozumienie niektórych z nich).

Filmy Brooksa są bardzo mocno osadzone w popularnej kulturze amerykańskiej. Reżyser, a równocześnie komik, dobrze zna swoją publiczność i umie z nią nawiązać kontakt. A tym, że nie jest to więź na wysokim poziomie intelektualnym zdaje się zupełnie nie przejmować. Wydaje się raczej, że właśnie do tego dąży.

Z drugiej jednak strony utwory Brooksa świadczą o stałej fascynacji reżysera kinem. I to kinem dużego formatu. Sposób, w jaki realizuje on swoje filmowe pastisze, wskazuje nie tylko na rzetelną wiedzę o słynnych pierwowzorach, ale na każdym kroku zdradza fakt zauroczenia nimi. Czy Brooks, zakochany w dziełach innych twórców, nie jest w stanie pokazać nam czegoś naprawdę własnego? Czy potrafi jedynie parodiować tematy i wątki pokazane już wcześniej przez innych?

A przecież to właśnie jego filmy mogłyby otrzymać etykietkę „autorskie", zwłaszcza na tle innych produkcji w systemie amerykańskim, w którym niezwykle wyraźnie rozdziela się różne funkcje przy realizacji filmu. Brooks jest zazwyczaj scenarzystą i reżyserem, kompozytorem i aktorem.

Niewątpliwie jest to osobowość filmu amerykańskiego, żerująca na innych twórcach. Wykorzystując osiągnięcia innych, Brooks stworzył jednak własny styl. Gdy oglądamy „Spaceballs" nie mamy wątpliwości, spod czyjej ręki wyszła ta komedia.

Pełno w niej gagów, aluzji, dowcipów. Sytuacyjnych, językowych, skojarzeniowych. Dobrych i kiepskich. Na szczęście część (większość?) z nich jest zrozumiała także dla polskiej widowni. Na przykład okazuje się, że słowo „przeszukiwać" nie tylko po polsku można zastąpić wyrazem „przeczesywać". I stąd mamy scenę przeciągania ogromnych grzebieni przez piaski księżyca Vegi.

Brooks, pisząc scenariusz do „Spaceballs", oparł się głównie na treści „Wojen Gwiezdnych", do której jednak dodał kilka scen z innych obrazów SF, oczywiście w swojej wersji. Jest tu „Obcy" (najlepsza scena filmu, będąca karykaturą najlepszej sceny oryginału), „Gwiezdna Wędrówka", „Planeta Małp", „Indiana Jones", a nawet „Metamorfoza" Franza Kafki (opowiadania, którego teatralną wersję wystawił w Paryżu Roman Polański).

Materiału do filmu miał więc reżyser bardzo dużo. Gorzej wypadło połączenie go w całość. Film zapamiętuje się raczej jako zbiór scen – na bardzo zróżnicowanym poziomie. Są momenty, kiedy z ekranu po prostu zionie nudą.

Zagadnienie gry aktorskiej w przypadku filmu-pastiszu jest tematem na osobny artykuł. Bohaterowie tego typu komedii powinni być osobowościami charakterystycznymi. Limituje ich jednak wymagane podobieństwo do bohaterów oryginalnych. Najlepiej broni się Dark Helmet, którego komizm wynika z odwrócenia cech Vadera. Gorzej już jest w pozostałych przypadkach. Para: Księżniczka Vespa plus Lone Starr pasowałaby niewątpliwie do jakiegoś melodramatu, tu jednak okazuje się dość blada. Najlepszy jest niewątpliwie sam Mel Brooks (w podwójnej roli prezydenta i Yogurta).

Interesujące jest, czy reżyser zastanawiał się, do kogo kieruje swój film? Czy do miłośników gatunku, wypełniających niegdyś szczelnie kinowe sale, gdzie na ekranach zmagali się Han Solo i Luke Skywalker z siłami Dartha Vadera, czy właśnie do przeciwników tego rodzaju twórczości. Wydaje się, że przynajmniej ci pierwsi wyjdą przekonani o przewadze oryginału. Może tylko z uczuciem nostalgii, że już tak długo nie mieliśmy okazji oglądać filmu równie dobrego, jak stare, dobre realizacje „Wojen Gwiezdnych".

Dorota Malinowska

SPACEBALLS. Reżyseria: Mel Brooks. Scenariusz: Mel Brooks, Thomas Meehan, Ronny Graham. Muzyka: John Morris. Zdjęcia: Nick McLean. Obsada: Mel Brooks, John Candy, Rick Moranis, Bill Pullman, Daphne Zunig, Dick Van Patten. USA 1987.